SEMKA KONTRA ZIEMKIEWICZ

Kto chce wypchnąć prezydenta Dudę z obozu „dobrej zmiany”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 40/242 2–8 PAŹDZIERNIKA 2017

Terlikowski przedstawia nowych metropolitów w polskim Kościele

JAK POLITYCY REAGUJĄ NA „UCHO PREZESA”

Ranking Horubały: najlepsze i najgorsze nowe polskie filmy

Ujawniamy, czego się boi Hanna Gronkiewicz-Waltz

PREZYDENT WARSZAWY WIE WIĘCEJ, NIŻ MÓWI

ŚLEDZTWO DO RZECZY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 103 tys. egzemplarzy

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

OSTATNI TYDZIEŃ ZGŁOSZEŃ

DO TYTUŁU STRAŻNIK PAMIĘCI 2017
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

KANDYDATURY PRZYJMUJEMY DO 8 PAŹDZIERNIKA 2017

PATRONAT HONOROWY:

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 87d60c29ab

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ryzykowne pomysły

Tak jak wielu innych czekałem na to, co zaprezentuje – jeśli chodzi o nowe ustawy dotyczące Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądownictwa – prezydent. Teraz, kiedy Andrzej Duda przedstawił już swoje projekty, zastanawiam się, czy są one lepsze od tych, które przedstawił wcześniej PiS. I, szczerze mówiąc, trudno mi dostrzec ich wyższość.

Po pierwsze, dziwny, by powiedzieć eufemistycznie, jest pomysł nowej instytucji prawnej, czyli skargi nadzwyczajnej. Zgodnie z intencją prezydenta ma ona pozwolić na dochodzenie swoich praw ludziom, którzy dotychczasowe prawomocne rozstrzygnięcia sądów uważają za niesprawiedliwe. Dotyczy to spraw osądzonych po 1997 r. Właściwie jedynym ograniczeniem jest to, że obywatel może wnosić skargę nie sam, ale za pośrednictwem określonej grupy podmiotów – prokuratora generalnego, kilku rzeczników, wreszcie 30 posłów lub 20 senatorów. Krąg uprawnionych jest zatem bardzo szeroki i łatwo sobie wyobrazić, że takich skarg nadzwyczajnych pojawić się będzie mogło wiele. Jak się ma ten pomysł do obowiązującej wciąż zasady mówiącej o „powadze rzeczy osądzonej"? Co zrobić w sytuacji, w której obowiązujące już od lat prawomocne wyroki wywołały nieodwracalne skutki społeczne, życiowe, finansowe?

Nowa propozycja Andrzeja Dudy wygląda dość zagadkowo. Trudno też powiedzieć, jaki będzie jej pozytywny efekt

Kolejnymi skutkami pomysłu prezydenta mogą być chaos oraz utrata zaufania, i tak już przecież ograniczonego, do całego systemu prawnego. Co gorsza, jak pokazują wszystkie znane mi badania opinii społecznej, podstawową bolączką polskiego systemu prawnego jest przewlekłość postępowania – teraz za sprawą skargi może się ono jeszcze wydłużyć. Kto będzie poważnie traktować wyroki sądów, jeśli tak łatwo będzie się od nich odwołać? Istniejąca obecnie instytucja skargi kasacyjnej ma inny charakter – Sąd Najwyższy bada postępowania wyłącznie pod kątem formalnym. Teraz miałby raz jeszcze badać fakty. Wreszcie nie bardzo rozumiem, dlaczego wśród sądzących w Sądzie Najwyższym mają się pojawić, zgodnie z zamysłem prezydenta, ławnicy – robi to wrażenie powołania jakiegoś nadsądu. Oczywiście warto rozmawiać o podniesieniu rangi i pozycji ławników. Jednak dlaczego akurat mieliby się oni znaleźć w Sądzie Najwyższym?

Po drugie, prezydent zapowiadał wcześniej, że nie zgodzi się, aby izba złożona z sędziów w KRS była wybierana zwykłą większością głosów sejmowych, bo to oznaczałoby – twierdził – upartyjnienie sądownictwa. Dlatego zaproponował, słusznie mniemam, zasadę większości kwalifikowanej, trzech piątych głosów, koniecznej przy wyborze sędziów. Tylko że w trakcie dalszych prac okazało się, że prezydent chciał przy okazji zwiększyć swoje uprawnienia – w sytuacji, gdyby nie udało się Sejmowi wskazać sędziów, wybór należałby do niego. Pomysł na tyle jawnie sprzeczny z obecnymi regułami konstytucji, że zgłaszając go na konferencji w poniedziałek, Andrzej Duda od razu zapowiedział podjęcie rozmów z przedstawicielami klubów parlamentarnych, żeby konstytucję zmienić. Wygląda to mało poważnie.

Skoro wiadomo, że w Sejmie trudno będzie zdobyć trzy piąte głosów do jednorazowego wyboru sędziów, to jak można wierzyć, że znajdzie się jeszcze trudniejszą większość, dwie trzecie, do zmiany nie jednorazowej, ale stałej? Jeśli nie był to przejaw dezynwoltury, to propozycja prezydenta byłaby jedynie formą zasłony dymnej – praktycznego wycofania się z dążenia do faktycznie niepartyjnego wyboru. Nowa propozycja Andrzeja Dudy – jeden poseł, jeden głos – wygląda dość zagadkowo. Trudno też powiedzieć, jaki będzie jej pozytywny efekt.

Nie mniej wątpliwości musi budzić to, że prezydent najwyraźniej zaaprobował regułę pozwalającą odwoływać obecnych członków KRS, mimo że teoretycznie przynajmniej każdy z nich z osobna został powołany na czteroletnią kadencję. W efekcie nowa Krajowa Rada Sądownictwa z góry już będzie miała osłabioną pozycję, co jest oczywistym skutkiem majstrowania przy pojęciu „nieodwoływalności". To samo zresztą dotyczy też pierwszej prezes Sądu Najwyższego. Prawdą jest, że Małgorzata Gersdorf dała w zeszłym tygodniu dość groteskowy popis nieudolności i, ostrożnie mówiąc, braku zdolności rozumienia swoich słów oraz zachowań, ale nie zmienia to faktu, że jeśli konstytucja mówi o sześcioletniej kadencji, to trwa ona dokładnie sześć lat. Ani mniej, ani więcej – niezależnie od tego, ile razy dany sędzia będzie dokonywał spektakularnych aktów medialnego samozaorania się.

W istocie zatem projekty prezydenckie niewiele różnią się od wcześniejszych, przygotowanych przez PiS. Jeśli wadą tych pierwszych był brak wystarczająco silnych gwarancji niezależności dla sędziów, to nie widzę, na czym polega wyższość projektów prezydenta. O ile jednak wcześniejsze były przynajmniej spójne, o tyle te obecne, za sprawą nowych pomysłów, mogą powodować dodatkowo bałagan. ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CO WIE PREZYDENT
Ujawniamy, czego boi się Hanna Gronkiewicz-Waltz

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DRUGA WOJNA NA GÓRZE
Kto chce wypchnąć prezydenta Andrzeja Dudę z obozu „dobrej zmiany"?

26 PIOTR SEMKA
SAMOTNY REJS PREZYDENTA

30 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
PLATFORMA UTOŻSAMIA SIĘ BARDZIEJ Z UE NIŻ Z POLSKĄ

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PIĘĆ MINUT KRÓLIKOWSKIEGO

36 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
NAROBIĆ RABANU

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
UCHO Z ZĘBAMI

40 ŁUKASZ WARZECHA
MIEJSKIE FIKSACJE

KULTURA

42 ANDRZEJ HORUBAŁA
NASZE BIEDNE DZIECI I ICH ŚWIAT
Po festiwalu filmowym w Gdyni

45 JOANNA BOJAŃCZYK
HISTORIE Z ZACHODNIEGO WSCHODU

46 ROZMOWA Z GRZEGORZEM ROGOWSKIM
POLSKIE AKTORKI FILMOWE NA EMIGRACJI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 GRZEGORZ KUCHARCZYK
WROGIE PRZEJĘCIE
Lewica zdobywa Europę

60 ROZMOWA Z PAWŁEM LISICKIM
PYCHA REFORMATORA

HISTORIA

64 PIOTR WŁOCZYK
POLAK LEGENDĄ RAF
100-letni polski pilot bohaterem wystawy na 100-lecie RAF

66 ADAM HLEBOWICZ Z WYSP SOŁOWIECKICH
ARCHIPELAG SŁON

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
NIEMIECKA LEKCJA POKORY
Nacjonaliści trzecią siłą w Bundestagu

74 OLIVIER BAULT
RATUNEK POZOROWANY

78 TERESA STYLIŃSKA
ZAPOMNIANY TESTAMENT ALFREDA NOBLA

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
JP MORGAN NAD WISŁĄ
Największy amerykański bank w Polsce

SPORT

86 ŁUKASZ MAJCHRZYK
PIŁKĄ RZĄDZI PIENIĄDZ
Brzydsza strona sportu

ZDROWIE

90 KATARZYNA PINKOSZ
PACJENCI ZAKŁADNIKAMI PRZEPISÓW
Nadzieja chorych na raka prostaty

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 87d60c29ab

Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth łącząc się z telefonem przenosi elegancję klasycznego zegarka na wyższy poziom funkcjonalności.

Eco-Drive

Bluetooth

citizen.pl

CITIZEN

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 87d60c29ab

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list na temat gorącej premiery jesieni – książki Pawła Lisickiego poświęconej Marcinowi Lutrowi.

Chybiona Lutra obrona

W „Gościu Niedzielnym" 38/2017 został zamieszczony artykuł ks. Tomasza Jaklewicza pt. „Czy samo zło" formalnie traktujący o Marcinie Lutrze. W rzeczywistości artykuł ten dotyczy nowo wydanej książki Pawła Lisickiego „Luter. Ciemna strona rewolucji". Za pomocą takiego zabiegu Jaklewicz sugeruje, że Lisicki opisuje Lutra jako „samo zło", której to tezy w żaden sposób w książce o Lutrze znaleźć nie można i z pewnością nie można jej uznać za „filipikę" przeciwko Lutrowi. Książka jest pracą popularno-historyczną analizującą historię Lutra, przedstawiającą hipotezy co do jego motywacji i ukazującą skutki reformacji.

Jaklewicz zarzuca autorowi nierzetelność: „Lisicki opiera się w swojej książce na kilku jednostronnych opracowaniach Lutra, które widzą w nim jedynie »wcielonego diabła«". Lisicki rzeczywiście opiera się na opracowaniach Lutra, ale są to obszerne opracowania historyczne i wyraźnie oddziela opisane w nich fakty od hipotez (wielokrotnie przedstawia różne możliwe interpretacje) oraz ocen moralnych. Bardzo często w historii ludzie krytycznie nastawieni do jakiejś postaci bądź idei przedstawiali ją bardziej obiektywnie od wyznawców.

Główna teza Lisickiego brzmi, że Luter odrzucił katolicką naukę o usprawiedliwieniu (odpuszczeniu grzechów i działaniu łaski) na skutek swojej potrzeby prędkiego osiągnięcia doskonałości własnym wysiłkiem. Gdy to okazało się niemożliwe, przekreślił wszelką możliwość doskonalenia natury ludzkiej, także przez łaskę Bożą.

Odrzuciwszy naukę Kościoła, Luter zaczął dążyć do odrzucenia samego Kościoła, żeby w ten sposób usankcjonować swoją naukę jako jedyną prawdziwie chrześcijańską. „Protest" przeciwko nadużyciom przeprowadzany stopniowo i dyplomatycznie był środkiem, a nie celem. Nie chodziło Lutrowi o reformę. Lisicki uzasadnia to w sposób przekonujący, Jaklewicz odrzuca bez żadnych argumentów.

Książka ma pewne mankamenty szczególnie dla teologa. Lisicki np. regularnie używa terminu „sumienie skrupulatne" zamiast prawidłowo „sumienie skrupulanckie" (skłaniające do przesadnych skrupułów). Nie w pełni prawidłowo jest też przedstawiona katolicka nauka o zbawieniu i roli uczynków. Wady te jednak nie wpływają na główną treść książki.

Pisze Jaklewicz: „Drogą do uzyskania odpowiedzi na te poważne pytania [o słabości protestantyzmu wynikające z jego doktryny] nie może być pełne emocji bluzganie na Lutra, tanie psychologizowanie i powtarzanie w kółko, że w gruncie rzeczy wszystkiemu winny jest ów prymitywny gbur". Wystarczy przeczytać kilka dowolnych tekstów Pawła Lisickiego lub posłuchać jego wystąpień, żeby wiedzieć, że te zarzuty nie mogą go dotyczyć.

ks. Jacek Dunin-Borkowski

RYSUNEK TYGODNIA

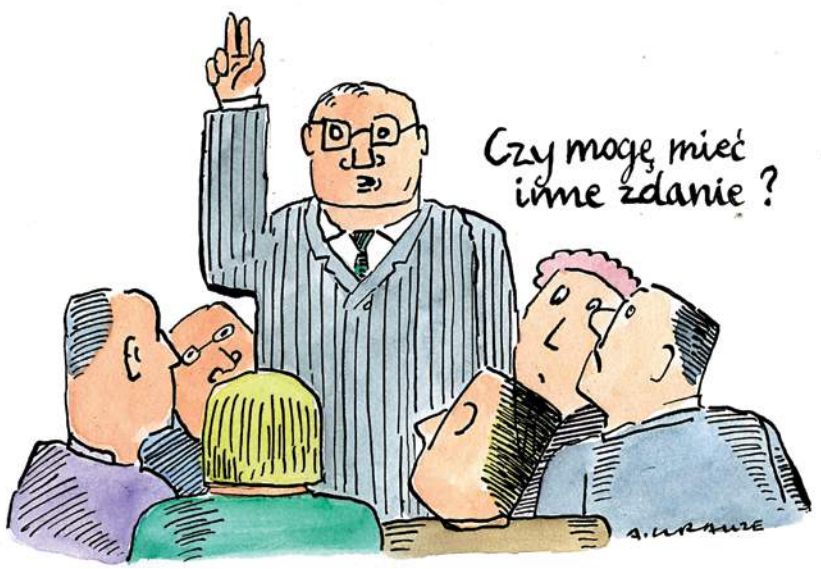

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 103 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 87d60c29ab

Z Krystyną Pawłowicz, posłem PiS
rozmawia Agnieszka Niewińska

Czekam na przeprosiny

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Rozpętała się burza po pani wpisie na FB, który pojawił się po doniesieniach o samobójstwie 14-letniego chłopca, który rzekomo miał być dręczony przez rówieśników ze względu na jego homoseksualizm. Może trzeba było sobie darować ten wpis?

KRYSTYNA PAWŁOWICZ: To ja już nie mogę wyrazić opinii? Napisałam bardzo grzecznie o tym, że liberalno-lewackie środowiska najpierw propagują wśród dzieci nienaturalne postawy i relacje, a potem, gdy te zaburzone zachowania są przez rówieśników brutalnie wytykane i dochodzi do tragedii, lewaccy ideolodzy bezczelnie lamentują nad „morderczą nietolerancją" rówieśników. Zaapelowałam: „Nie siejcie patologii, nie będzie jej śmiertelnego żniwa. Nie demoralizujcie dzieci i młodzieży, dajcie im w spokoju, zgodnie z naturą, przeżyć ich dzieciństwo i młodość". I co w tym wpisie jest złego? Mój pogląd w tej sprawie podziela większość Polaków. Podkreśliłam, że postępowanie młodzieży jest brutalne. Moim przeciwnikom nie podoba się, że uznaję ideologie obyczajowe lewicy liberalnej za patologię. I za ten pogląd chcą mnie linczować? Mam do niego prawo. Każdy dzień zresztą potwierdza jego prawdziwość.

To nie był najlepszy czas na taki post. Zginął uczeń.

Każdy pretekst do atakowania mnie jest dobry, nawet jakbym przeszła na czerwonym świetle, lewactwo zrobiłoby z tego aferę międzynarodową. Lewica atakuje mnie, bo kończą się jej wpływy i nieograniczone finansowanie ze środków publicznych. Wyżywają się więc na mnie zastępczo wulgarnie mnie lżąc. Wykorzystują to, że wchodzę z wyborcami w dialog w Internecie i lubię potyczki słowne. Jednak manipulowanie moimi słowami, tak jak to robi jakaś blogerka wzywająca do bojkotu mojej osoby, czy nazywanie mojego wpisu „podłym i chamskim" – jak określiła go pani Lubnauer z partii neopalikotów – to dopiero jest szaleństwo – czysta nagonka i napędzanie przemysłu pogardy.

Nie odnosiłam się we wpisie do tego chłopca, nawet nie wiedziałam, o kogo chodzi. Przemknęły mi w Internecie dyskusje o sterroryzowanym dziecku, ale w to nie wnikałam. Przyszła mi tylko do głowy myśl o tym, że lewactwo, które najwięcej krzyczało, najpierw demoralizuje dzieci. Przez dwie kadencje rządów PO-PSL watahy lewackich „edukatorów" grasowały w szkołach i przedszkolach. Teraz, gdy doszło do nieszczęścia, lewacy pierwsi fałszywie rzucają się do „obrony" molestowanych wcześniej przez siebie dzieci. A przecież tego typu nieszczęścia w znacznym stopniu powodują chore ideologie, które lewica siłą propaguje. Krzewi nienaturalne postawy, na które zwłaszcza młodzież jest bardzo podatna. Jeśli dzieci widzą coś, co jest nienaturalne, niezgodne z ich codziennym doświadczeniem, to potrafią być brutalne, potrafią dokuczyć.

Dręczenie młodzieży przez rówieśników to poważny problem. Dotyka wielu dzieci, i to z różnych powodów. Nie można tego sprowadzać tylko do działań lewicy.

Ja się tym w ogóle nie zajmowałam. Czy pani zrozumiała mój wpis?

Jednak zostało to odebrane jako relatywizowanie dręczenia rówieśników w szkole.

Tylko środowiska genderowe tak to odebrały. Większość Polaków podziela moje poglądy. Nie dam się cenzurować. Lewacy przerzucają na innych swoje poczucie winy. Wiedzą, że robią źle, i szukają ofiary, której mogliby przypisać własne grzechy. Powtarzam: ja się sprawą tego chłopca w ogóle nie zajmowałam i nie znałam żadnych szczegółów.

Trwa zbiórka podpisów pod petycją o usunięcie pani konta z Facebooka.

Jest też grupa internautów, która mnie wspiera. Byłoby skandalem, gdyby poseł nie mógł korzystać z konstytucyjnej wolności słowa. Wyraziłam swój nieobraźliwy pogląd o obyczajowym lewactwie i niszczycielskich skutkach jego działań. Mam do niego prawo. To ja jestem wulgarnie obrażana przez lewackie tabuny posługujące się wyłącznie mową nienawiści. To jest karalne. Czekam na przeprosiny od tych środowisk. ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Duch cioci Eriki

Duża część polskich mediów wciąż nie potrafi wyjść z szoku z powodu sukcesu partii Alternative für Deutschland. W ostatnich wyborach do niemieckiego Bundestagu AfD zdobyła trzecie miejsce, po CDU/ CSU i SPD, zdobywając 12,6 proc. i 94 mandaty.

Przeciętny czytelnik mediów III RP z pełnych egzaltacji komentarzy o „antyimigranckiej partii" mógł odnieść wrażenie, że do parlamentu RFN wdarła się jakaś formacja neonazistów, a fotele w Bundestagu zajmą jakieś ogolone osiłki z wytatuowanymi swastykami.

Tymczasem fenomen AfD jest o wiele bardziej dziwny i niejednoznaczny. To partia przypominająca nieco z jednej strony UPR Janusza Korwin-Mikkego, z drugiej zaś Ligę Polskich Rodzin, ale bez jej religijnej inspiracji, za to z silnym elementem narodowego egoizmu.

Liderzy frakcji AfD w Bundestagu, Alexander Gauland i Alice Weidel, to ciekawe przykłady tego zjawiska. Gauland to 76-letni elegancki polityk samorządowy i publicysta, który związał się z Alternatywą w czasie, gdy partia kojarzyła się głównie ze sprzeciwem wobec euro. Potem podjął temat imigracji. Głosił konieczność podjęcia starej tradycji przyjaźni Prus z Rosją, której zwolennikiem był Bismarck. Ostatnio zaszokował Polaków, stwierdzając, że Niemcy dawno już rozliczyli się ze swoją przeszłością i że mają prawo do dumy z niemieckich żołnierzy biorących udział w obu wojnach. W sprawie odszkodowań dla Polski odpowiada krótko: „Zapomnijcie o reparacjach – oddaliśmy wam już nasze ziemie".

Alice Weidel to z kolei 38-letnia, elegancka i nowoczesna bizneswoman pracująca niegdyś dla światowej firmy Goldman Sachs, a potem przez sześć lat w Pekinie dla Bank of China, gdzie nauczyła się mówić płynnie po chińsku. Nie ukrywa, że jest lesbijką. Mieszka razem z partnerką, szwajcarską reżyserką filmową o korzeniach ze Sri Lanki, ale jednocześnie sprzeciwia się homomałżeństwom i adopcji dzieci przez pary tej samej płci. W jednym z jej przechwyconych przez media wpisów na Facebooku wyraziła opinię, że „Siegermächte" – tak nazywano w Niemczech po wojnie zwycięskich aliantów – mogły chcieć osłabić RFN zalewem imigrantów.

Zarówno Gauland, jak i Weidel to spadkobiercy pruskiej tradycji, która istniała długie dekady w CDU i CSU – czyli Niemiec przekonanych, że ich kraj już dosyć bił się w piersi za wojenne grzechy i teraz ma prawo stawiać swoje interesy ponad idee europejskie. Ten nurt najlepiej poznaliśmy w ostatnich latach wraz z osobą Eriki Steinbach, która zresztą wspierała AfD w kampanii.

Dla Angeli Merkel i koalicji chadecja-FDP-Zieloni politycy AfD będą „totalną opozycją" z prawej strony. Z trybuny parlamentarnej w Bundestagu partia ta uczyni trybunę do atakowania Angeli Merkel.

Polacy zapomnieli, że tacy Niemcy istnieją. Nie tylko istnieją, lecz także mają się całkiem nieźle. Na ich tle subtelny niemiecki rewizjonizm historyczny z pierwszej dekady XXI w. może się okazać stosunkowo nieśmiały. ©℗

PATRONAT DO RZECZY

Ministrowie o przyszłości

Sześciu członków gabinetu premier Beaty Szydło zaprezentuje sztandarowe projekty swoich resortów i opowie o planowanych skutkach ich wdrażania podczas konferencji „Polska przyszłość" organizowanej przez Instytut Libertatis.

W panelu dyskusyjnym zaplanowanym na 3 października udział zapowiedzieli wiceministrowie: Jan Dziedziczak (Ministerstwo Spraw Zagranicznych), Paweł Gruza (Ministerstwo Finansów), Bartosz Marczuk (Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej), Tomasz Szatkowski (Ministerstwo Obrony Narodowej), Tomasz Zdzikot (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych) oraz Karol Okoński (Ministerstwo Cyfryzacji). Wśród tematów debaty będą m.in.: skutki i perspektywy programu „Rodzina 500+", transparencja podatkowa w Polsce i na świecie, nowa polityka wobec Polonii i Polaków za granicą, wyzwania dotyczące bezpieczeństwa Polski, problem jawności w życiu publicznym i prace nad elektronicznym dowodem osobistym.

Więcej informacji, program konferencji, rejestracja na stronie: libertatis.org.pl/konferencja/ ***(ww)*** ©℗

TRUMP TNIE PODATKI

„Największą w historii obniżkę podatków" zapowiedział w zeszłym tygodniu amerykański prezydent. Donald Trump, realizując przedwyborczą obietnicę i idąc w ślady prezydentów Ronalda Reagana i George'a W. Busha, zapowiedział cięcie daniny zarówno dla biznesu (najwyższy próg dla korporacji zostanie obniżony z 35 do 20 proc.), jak i dla osób indywidualnych (najwyższa stawka PIT spadnie o 4,6 punktu procentowego). Projekt reformy zakłada również zmniejszenie liczby progów podatkowych z siedmiu do trzech. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

JACEK KOMUDA

SAMOZWAŃIEC

MOSKIEWSKA ŁADACZNICA

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

DOSTĘPNA TAKŻE JAKO EBOOK

fabryka słów
WYDAWNICTWO

POZNAJEMY HISTORIĘ
PRZYPOMINAMY CHWAŁĘ

Moskiewski mir wywlókł ciało cara Dymitra związane powrozem. Ciągnęli je za sznur uwiązany do przyrodzenia przez wrota Spaskie na Plac Czerwony. Tam, koło Łubnego Miesta rzucono zwłoki na podwyższenie przygotowane na zabawę. Spalonymi prochami nabito armatę i wystrzelono w stronę Rzeczypospolitej. A na tę szansę czekało wielu. We wszystkich miastach i wioskach moskiewskiej dziedziny zaczęli pojawiać się kolejni...samozwańcy podający się za cudownie uratowanego carewicza Dymitra Iwanowicza, syna cara Iwana Groźnego i prawowitego następcę na moskiewskim tronie.

Patroni medialni

Jedynka POLSKIE RADIO · DO RZECZY · HISTORIA RZECZY · HISTORIA.ORG.PL · PolskieDzieje.pl · gram.pl · BESTIARIUSZ · BLISKO POLSKI.pl

eprasa.pl 87d60c29ab

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Honor posłanki

Jarosław Kaczyński odniósł się w wywiadzie do transferu posłanki Siarkowskiej i jej koleżanki, wybranych z listy Kukiz'15, do klubu PiS. Ponieważ w tym samym wywiadzie mówił o sprawach daleko ważniejszych, ten passus umknął uwadze komentatorów. Niesłusznie.

Prezes PiS wyraził zadowolenie oraz nadzieję na przejście do PiS jeszcze 10–15 osób z innych klubów. Zdradził też, po co ich potrzebuje. Czysta arytmetyka tego bowiem nie wyjaśnia – zwykłą większość klub Zjednoczona Prawica ma i tak, a do konstytucyjnej zbyt mu daleko, by transfery cokolwiek zmieniały. Teoretycznie, czy partia ma 231 posłów czy 303, może tyle samo.

Niech posłowie, którzy dostali od PiS kolidującą z posłowaniem pracę, złożą mandaty

Jednak jest powód praktyczny: ok. 50 posłów PiS znalazło zatrudnienie na stanowiskach ministrów, wice..., prezesów etc. Dlatego sejmową większość trudno sprowadzić na głosowania, trzeba siedzieć po godzinach do późnej nocy, aż wszyscy się zjadą, i zawsze jest ryzyko, że ktoś utknie w windzie albo w korku i ważna ustawa upadnie. Powiększanie klubu parlamentarnego biegusami z konkurencji zmniejsza ten dyskomfort.

Mogę Prezesowi podpowiedzieć inny sposób, uczciwszy: niech po prostu ci posłowie, którzy dostali od PiS kolidującą z posłowaniem pracę, złożą mandaty. Zgodnie z ordynacją wezmą je wtedy następni z listy, więc mandaty zostaną w PiS, tylko dostaną się mniej zapracowanym. Co stoi na przeszkodzie? Nie wiem. Przecież chyba nie pazerność na te kilka tysiączków diety?

W Polsce głosuje się na listę – to zły system, ale skoro tak jest, to poseł zmieniający barwy klubowe w trakcie kadencji zwyczajnie oszukuje swych wyborców. Wątpię, czy wielu głosujących na panią Siarkowską wiedziało o niej cokolwiek. Głosowali na Kukiza. Gdyby chcieli zagłosować na PiS, zagłosowaliby na PiS. A PiS zabiegając o biegusów, by zwiększyć swą siłę ponad tę, jaką dali mu wyborcy, wykazuje się w kwestii szacunku dla „suwerena" „kalizmem" nie mniejszym niż „totalna opozycja".

Każdy może uznać, że się pomylił. Uwierzył w lidera, w partię, po czasie uznaje, że źle, że inny lider, inna partia lepsza… Człowiek honoru złożyłby mandat i ewentualnie zawalczył o niego ponownie, już z innej listy, w kolejnych wyborach. „Ale co tam marzyć o tem" – jak mawiał Ignacy Rzecki. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Milczenie owiec

Gdy wezmą państwo do ręki ten numer „Do Rzeczy", będzie jasne, czy w Katalonii odbyło się referendum niepodległościowe. Na razie w Europie wokół eskalującego konfliktu panuje świdrująca, haniebna cisza.

W dużym kraju Europy i Unii, w jednym z najatrakcyjniejszych miast świata, Barcelonie, pobrzękują kajdanki, ludzie trafiają za kratki, przeszukiwane są urzędy i biura władz lokalnych, a na ulicach pojawiły się tysiące policjantów w rynsztunku bojowym. Jednak nikt nie protestuje, nie wyraża zaniepokojenia, nie wzywa do negocjacji, nie proponuje pośrednictwa. Unijni dostojnicy, reprezentowane przez nich instytucje i przywódcy unijnych krajów patrzą w inną stronę, a pytani o Katalonię odgrywają żałosną pantomimę. Przyciśnięci do muru jak jeden mąż klepią sprawdzoną formułkę: „To wewnętrzna sprawa Hiszpanii".

Stan wojenny zastał mnie w Berlinie Zachodnim. Ówczesny kanclerz Niemiec Helmut Schmidt bawił wtedy po drugiej stronie muru berlińskiego. Przyjmował go Erich Honecker. Kanclerz 14 grudnia 1981 r. aresztowania i czołgi na polskich ulicach skomentował identycznie: „To wewnętrzna sprawa Polski".

Jeszcze bardziej szokuje milczenie w sprawie wydarzeń w Katalonii obrońców demokracji, np. Amnesty International i innych stowarzyszeń pięknoduchów. Nie lepiej z postępową prasą. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ludzie, którym słowa „prawa człowieka" nie schodzą z ust, biją się o nie à la carte, zależnie od własnego interesu i przekonań. Przeżywamy więc kolejny festiwal hipokryzji.

Nagle prawa człowieka (katalońskiego w szczególności) przestały się liczyć. Liczy się hiszpański porządek konstytucyjny. Treść żołądka podchodzi do gardła. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 87d60c29ab

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Andrzej Duda jako Georges Danton

Jarosław Kaczyński straszliwie się pomylił (który to już raz?) w ocenie człowieka. Wysunął na prezydenta byłego członka Unii Wolności, który zamiast słuchać prezesa, słucha raczej Andrzeja Rzeplińskiego i Małgorzaty Gersdorf. Tenże człowiek w BBN zatrudnił nieudolnego Pawła Solocha, a ten, oczywiście specjalnie, trzymał tam komunistycznego agenta Juźwika.

Prezydent zawiódł Kaczyńskiego, zawiódł swoich wyborców, stał się podnóżkiem Kukiza, głównym hamulcowym reform, a nawet – o zgrozo! – „neo-Wałęsą". To ostatnie określenie jest autorstwa Krzysztofa Wyszkowskiego.

Twardy elektorat rezonuje tym, co płynie z partii, a partia – oczekiwaniami tej części elektoratu

Wziąwszy pod uwagę, jaki jest stosunek Wyszkowskiego do Wałęsy, trzeba to uznać za najgorszą możliwą obelgę.

Aha, nie zapominajmy o innych straszliwych winach prezydenta: nie chciał jeździć do prezesa na Nowogrodzką, tylko oczekiwał, że prezes przyjedzie do niego; nie konsultował z prezesem swoich wystąpień; w dodatku Agata Kornhauser-Duda w czasie kampanii w 2015 r. stwierdziła, że się prezesa nie boi. Tymi żalami podzielił się z Jackiem Karnowskim, redaktorem naczelnym „Sieci", „anonimowy rozmówca" z kierownictwa PiS. Musimy się domyślić, kto nim był.

Można się z tego wszystkiego śmiać – i może to byłaby najwłaściwsza reakcja, gdyby nie to, że to część większego procesu. Oto niezbyt duża, ale najaktywniejsza i najtwardsza część elektoratu PiS, wspierana przez część tytułów prasowych, przyjmuje postawę już wprost jakobińską. Pomiędzy nimi a partią rządzącą istnieje sprzężenie zwrotne – twardy elektorat rezonuje tym, co płynie z partii, a partia – oczekiwaniami tej części elektoratu. I tak to się nakręca. Gdyby akcję tego dramatu przenieść w czasy rewolucji francuskiej, Andrzej Duda, niczym Danton, stałby już na szafocie, a kat podciągałby w górę ostrze gilotyny, czekając na skinienie ręki Robespierre'a.

Warto jednak pamiętać, że największy radykał, właśnie Robespierre, zwany Nieprzekupnym, znalazł się ostatecznie w tym samym miejscu: pod ostrzem gilotyny. A na koniec całą władzę i tak przejął Mały Kapral.

„Historia magistra vitae", ale najwyraźniej nie dla wszystkich. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT

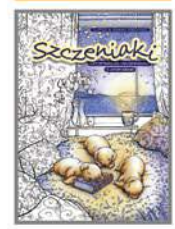

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 8 października 2017 r.

1. PAWEŁ LISICKI POZA POLITYCZNĄ POPRAWNOŚCIĄ

39,90 zł
25,90 zł

2.

469,00 zł
275,00 zł

3. AKCJA SPECJALNA „WISŁA"

59,90 zł
41,50 zł

4. LUDZIE CZERWONEGO MROKU

39,90 zł
25,50 zł

5. POLSKIE PODZIEMIE W OCZACH WROGA

39,90 zł
22,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 87d60c29ab

JAK CELEBRYTKA Z FEMINISTKĄ

Jeśli nie kupiliście jeszcze popcornu, to szybko biegnijcie do sklepu, bo szykuje się dłuższa rozrywka. Manueli Gretkowskiej nie spodobała się najnowsza sesja zdjęciowa Lady Rozenek i Majdana. Sesja pełna blichtru i kiczowata – ze złotą wanną w roli głównej, czyli nic szczególnego jak na show-biznesowe gusta. Gretkowską jednak poruszyła na tyle, że poświęciła jej felieton. „Radek wyznał, że zdjęcia są takie, ponieważ dla Małgosi wszystko musi być idealnie. I jest. Tak idealnie wyobrażamy sobie przepych: disnejowski odjeb połączony z wygraną w totolotka. Styl arabskiego szejka plus mafijne bogactwo wyściełają sny biedaków. [...] Polski seraj po transformacji z dostępem dla zwykłych ludzi – Szatniarza i Sprzątaczki. Majdan skończył karierę piłkarską w klubowej szatni. Małgosia, kobieta po studiach, zajmuje się sprzątaniem na pokaz" – podsumowała niedoszła polityk Gretkowska. Na odpowiedź Małgorzaty Rozenek nie trzeba było długo czekać. „Czy takie wypowiedzi u kobiety, nazywającej się feministką, która tak często mówi o tolerancji, równości, dla której katolickie wartości są bliskie, którą fascynuje skandynawski styl życia, są tylko przejawem hipokryzji, czy są już mową nienawiści? Nie wszystko złoto, co się świeci, a nie każda siwizna jest oznaką mądrości" – odpowiada Rozenek. Co na to Gretkowska? „Tak, jestem feministką, co oznacza walkę o poczucie godności kobiet. Nie zabieram go pani. Używam sarkazmu, formy do wyrażenia pewnej myśli" – broni się. Mało to przekonujące. Jednak co zrobić, gdy natura jest silniejsza od ideologii. Nikt nie jest w stanie obrazić kobiety bardziej niż inna kobieta. I nawet feminizm musi tę starą prawdę uszanować.

FOT. PAWEŁ GRONADA

ZAZDROŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ

Skoro już jesteśmy przy Małgorzacie Rozenek, to tabloidy donoszą, że jest wściekła z powodu rosnącej popularności Joanny Przetakiewicz. Popularność Joanny rośnie w związku z jej udziałem w drugiej edycji programu „Azja Express". – Małgosia ogląda „Azja Express 2" i jest wściekła. Nie może już słuchać zachwytów nad Joanną Przetakiewicz. Przecież niedawno to ona była największym odkryciem tego programu – ujawnia informator „Faktu". Samopoczucia Lady Rozenek nie polepszyła też sesja Przetakiewicz w „Playboyu". Jak pisze „Fakt", zazdrość Rozenek ma wymiar nie tylko emocjonalny. Odkąd TVN postawił na promocję gwiazd drugiej edycji programu, stawki państwa Majdanów za udział w imprezach spadły ponoć o połowę! – Radek śmiał nawet powiedzieć, że chwila spokoju im się przyda. I że dobra passa Joasi to naturalna kolej rzeczy. Małgosię tak to zdenerwowało, że wyszła z domu, trzaskając drzwiami – zdradza informator. Dobrze dla Radzia, że napatoczyła się ta Gretkowska. Przynajmniej Rozenek miała się na kim wyżyć.

OTWORZYĆ OKNO!

Reżyser Krystian Lupa wstydzi się za Polskę. Nie on pierwszy i nie ostatni, więc niespecjalnie na kimkolwiek robi to już wrażenie. Chociaż polityczne analizy rodzimych gwiazd sceny bawią zawsze, to i tym razem warto je przytoczyć. „Sposób, w jaki mówi władza, rozlewa się na całe społeczeństwo [...]. Prawdziwą przestrzenią duchową jest religia frustracji i krzywdy, do której katolicki Bóg, idee zemsty i odwetu, »zamach« smoleński lub »500+«" wdzierają się przez szczeliny; ich mit jest dla nich stokroć prawdziwszy od naszych trosk i przerażeń obywatelskich. Ludzie oddychają zepsutym powietrzem, bo jest ciepło, nie chcą otwierać okna wolności, bo wtedy jest przeciąg. Teraz jest to kraj, z którego trzeba uciekać, i to nie dlatego, że się komuś grunt pali pod nogami czy że nie ma co żreć. Z tego kraju trzeba uciekać, bo wstyd, bo życie tu nie ma sensu" – uważa. Liczymy na to, że pan Lupa wreszcie otworzy okno wolności i ucieknie. A gdyby za nim ruszyli inni, którzy ciągle to obiecują, to dopiero by się nam w kraju przewietrzyło!

LUPO, ZABIERZ CHYRĘ!

Na przykład taki Andrzej Chyra mógłby z Lupą uciec, skoro ciągle mówi, że bycie Polakiem mu ciąży. – Sporo podróżuję, rozmawiam z ludźmi. Wymyśliłem na potrzebę rozmów z nimi, że jakąś formą wyrażenia mojej niezgody na to, co się dzieje w Polsce, będzie właśnie mówienie, że jestem z Polski zamiast przyznawanie się do bycia Polakiem. W obecnej sytuacji wolę być Europejczykiem niż zaściankowym, zakompleksionym Polakiem – przyznaje aktor. A chwilę później swoją postawę uzasadnia tym, że Jarosław Kaczyński nie podróżuje po świecie i nie zna języków. I stąd się bierze całe zło w Polsce! Sami widzą państwo, że na braku Chyry polska myśl polityczna nie straci zbyt wiele. Aktorska również. ©℗

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 87d60c29ab

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w przyszłym tygodniu reprezentacja tego kraju będzie grała decydujące mecze w eliminacjach do mistrzostw świata. Hm, tak się zastanawiamy, czy przypadkiem totalna opozycja nie mogłaby zainterweniować w FIFA, UEFA i Parlamencie Europejskim, iżby reprezentację tego kraju jednak z rozgrywek wykluczyć, ewentualnie wlepić jej punkty minusowe albo choćby jakieś niewielkie sankcje.

Przypomnijmy, iż ten kraj pcha się na mistrzostwa świata, podczas gdy demokracja w rozsypce, sądy zdemolowane, trybunał praktycznie nie istnieje i choć – co prawda – nikt opozycji nie zamyka w więzieniach, ale wszyscy czują, iż tak naprawdę reżim tego chce.

Poza tym istnieje ryzyko, iż władza wykorzysta awans na mundial propagandowo, iż za PO do mistrzostw nie weszli, a za PiS – owszem. I jak Lewandowski nie strzelał za Tuska i Kopacz, tak strzela za Kaczyńskiego. Serio, aż strach, co TVP na ten temat może wymyślić.

Tak w ogóle to my tu sobie śmieszkujemy i staramy się żyć jak gdyby nigdy nic, jednak musimy raz na jakiś czas przypomnieć, iż wokół panuje okropny fashysm, strach wyjść na ulice i tylko nieugiętość totalnej opozycji powstrzymuje Kaczafiego przed rozpoczęciem masowych aresztowań i zsyłek w okolice Jarosławia.

Ostatnio np. Alex, nasz praktykant z korpo, chciał kupić w popularnym dyskoncie bezglutenowe pierożki, ale ich nie było. Został za to napastowany przez stado oszalałych grażyn o naklejkę z osoboświeżakiem. Frendziary z feminokolektywu zapragnęły natomiast darmowych prezerwatyw, iż rozpoczyna się nowy rok akademicki, a one chcą same decydować o swoim ciele, jednak państwo nie chce im tego sfinansować.

To tylko dwa krótkie przykłady, ale podejrzewamy, iż podobnych dramatów rozgrywa się o wiele, wiele więcej, i można tylko przypuszczać, iż większość z nich nie miałaby miejsca, gdybyśmy nie żyli w tej zaściankowej fashystoffskiej dyktaturze.

Nie podoba nam się termin „fejk niusy" używany jako określenie informacji pochodzących z rzeczywistości równoległej. To, iż coś nie ma pokrycia w potwierdzonych faktach, nie oznacza w końcu, iż nie jest prawdziwe, czyż nie?

Zbyt śmiało osądzamy w przestrzeni publicznej, co jest fejkiem, a co nie, i zbyt łatwo dyskryminujemy wiadomości z tego powodu. A co, jeśli ktoś uzna, iż powszechnie przyjęty jako „fejk" nius jest dla niego prawdziwy i on sobie wybiera, iż chce w niego wierzyć? Mamy mu tego zabronić?

W końcu skoro pozwalamy osobom wybierać płeć biologiczną, płeć kulturową, pozwalamy głosować, to czemu mamy za nie decydować, które niusy są dla nich prawdziwe, a które nie? Toż to fashysm!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 87d60c29ab

dwaj panowie g

Odkrywamy, co zakryte, naświetlamy, co nienaświetlone. Dzisiaj o tym, jak Grzesiek Schetyna się wściekł, że na konsultacje konstytucyjne do prezydenta Andrzeja Sebastiana zaproszenie dostał jakimś SMS-em. Oto kulisy: kiedy dzwoniono po biurach do partyjnych liderów, coby ich zaprosić, okazało się, że żadnego miglanca akurat nie ma w Warszawie. Zadzwoniono więc do biura prasowego PO, żeby połączyło pałac z Grzesiem albo jakimś innym miglancem. Niestety, to odpowiedzialne zadanie przerosło możliwości biura. Stąd SMS.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Sensacja. Po prawie pół roku intensywnych poszukiwań Krzysztof Łapiński znany jako rzecznik Łapka znalazł wreszcie dyrektora biura prasowego prezydenta Andrzeja Sebastiana. Będzie nim Jacek Cegła, obecnie rzecznik urzędu miasta w Ustce. Pewne informacje nie wymagają komentarza.

Tak jak każdego nowego pracownika Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana także Jacka Cegłę chcielibyśmy serdecznie powitać w naszej rubryce. Jego własnymi słowami. Latem tego roku przestrzegał turystów przed ryzykownym zachowaniem w wodzie. – Po przyjeździe nad morze część ludzi zachowuje się tak, jakby straciła zupełnie instynkt samozachowawczy – mówił Wirtualnej Polsce. Słyszeliśmy, że zdarza się to także tym, którzy przyjeżdżają znad morza do Warszawy.

Uwaga, mamy już pierwszą dobrą wiadomość o dyrektorze Cegle! Nie jest Marcinem Mastalerkiem.

Jedni przychodzą, inni szykują się do odejścia. Tak, są i tacy, którzy zamierzają opuścić pałac Andrzeja Sebastiana. – Chaos i brak pomysłu na drugą część kadencji – opowiada jeden z przyszłych emigrantów. – No i teraz jeszcze Czerepach… – wzdycha. Wyjaśniamy: Czerepachem w pałacu niektórzy nazywają Krzysztofa rzecznika Łapkę.

Tymczasem na Nowogrodzkiej. Wiewiórki już nie tylko plotkują o dymisji ministra od infrastruktury i budownictwa Andrzeja Adamczyka, lecz także próbują wytypować jego następcę. Miałby to być Tomasz Żuchowski. Wiemy, że nazwisko nic wam nie mówi. Kto by tam znał wszystkich wiceministrów.

Inne wiewiórki z Nowogrodzkiej mówią tymczasem, że żadnej rekonstrukcji Adamczyka nie będzie, bo to jeden z nielicznych ulubionych ministrów Kaczora Dyktatora. Ciekawa rzecz – kiedy tylko media wytypują kogoś do rekonstrukcji, okazuje się, że jest jednym z nielicznych ulubionych ministrów Kaczora Dyktatora. Wychodzi na to, że cały rząd składa się z jego ulubionych ministrów.

Jeszcze o Nowogrodzkiej. Ledwie ujawniliśmy w naszej rubryce, że wrogowie dobrej zmiany namazali na chodniku pod siedzibą partii Kaczora Dyktatora hasło: „Dość propagandy PiS", a już doszło do eskalacji. Czyjaś niewidzialna ręka zamalowała część napisów wielkimi krasnalami. To znaczy tak twierdzą ci, którzy pamiętają Majora i Pomarańczową Alternatywę. Nam malunki bardziej kojarzą się z Jakim.

Znowu kupujemy popcorn. Wszystko przez zapowiadane wietrzenie w sądownictwie. W sądach ma nastąpić abordaż wykonany przez drużynę Zizou Ziobry. Ma nastąpić, ale

eprasa.pl 87d60c29ab

czy nastąpi? Naprzeciw drużyny Zbyszka ma stanąć drużyna Andrzeja Sebastiana. Stąd popcorn.

À propos Zbyszka Zizou Ziobry. Trochę już nas nudzą administracyjne decyzje komisji Jakiego od reprywatyzacji. Wolelibyśmy wreszcie zobaczyć kogoś w pudle. Jest nadzieja, bo Zizou zarządził przeniesienie wszystkich śledztw dotyczących afery reprywatyzacyjnej z Warszawy do Wrocławia. I stał się cud: funkcjonariusze pewnej służby zamiast tradycyjnego „prosimy o więcej dokumentów" usłyszeli w zespole prokuratorów badających sprawy: „Panowie, to kiedy, komu i za co stawiamy zarzuty?".

Tymczasem Jaki szaleje. Co tydzień kolejna decyzja administracyjna. Z ostatniej chwili – komisja Jakiego unieważniła transakcję reprywatyzującą kolumnę Zygmunta. W następnym odcinku: Patryk Jaki unieważnia rozbiory Polski.

Mamy złą wiadomość dla wszystkich, którzy podejrzewają, że Jaki szaleje bez ukrytego powodu. On naprawdę chciałby zostać prezydentem Warszawy. Kto wie, może marzył o tym już na studiach, kiedy pisał magisterkę na temat „Jak prowadzić kampanie wyborcze". Teraz Jaki podobno pisze doktorat. Mamy nadzieję, że będzie w nim jakaś decyzja administracyjna.

Z więziennictwa. Trafiliśmy na ślad afery, która pokazuje, że nepotyzm może nie być obcy dobrej zmianie. Przykład jest zabawny, bo dotyczy pewnego więzienia. Na wszystkich kluczowych stanowiskach od naczelnika w dół ludzie o tych samych nazwiskach. Nie możemy zdradzić lokalizacji więzienia, bo boimy się PiS.

Wracamy do Warszawy. Niedawno informowaliśmy o kłopotach dyrektora Zamku Królewskiego, dziś o innym dyrektorze ze świata kultury i sztuki. Chodzi o szefa Biblioteki Narodowej. Jest on wielce smutny, gdyż nie dość, że dobra zmiana chce go wygumkować z katalogu, to jeszcze robi to w wyjątkowo złośliwy sposób. A jaki? A taki: najpierw kontrola. Później zalecenia pokontrolne. Później kontrola wykonania zaleceń pokontrolnych. Na końcu halabardnicy znoszą zwłoki ze sceny.

Z Sejmu. Wszyscy ekscytują się jakimiś nudnymi sporami o immunitet Dominika Jenota Tarczyńskiego, tymczasem wkrótce czeka nas tam ciekawsza rozgrywka. Pojawi się bowiem wniosek o uchylenie immunitetu pewnemu

parlamentarzyście Peło. Pamiętacie, jakie było oburzonko przy sprawie Piniora? No więc teraz nie będzie oburzonka, będzie wycie. Sądzimy, że krótkotrwałe. Najdalej do chwili ujawnienia materiału dowodowego.

Z zagranicy. Zaprzyjaźnione wiewiórki z Mińska donoszą, że zaobserwowały tam ciekawe zjawisko. Zjawisko nazywa się Misiek Kamiński i wpadło na Białoruś doradzać opozycji. Pamiętamy, z jakim skutkiem Misiek doradzał Ewce Kopacz. Współczujemy białoruskiej opozycji.

À propos Miśka. Nie możemy się doczekać premiery jego powieści „15 sierpnia". Ma to być współczesny thriller polityczny. Sporo już o nim wiemy. Misiek pisał ją bardzo szybko, bo dostał bardzo fajną zaliczkę. Wiele wskazuje na to, że może to być jedyna fajna rzecz związana z książką Miśka.

Na specjalne życzenie czytelników zachwyconych pomysłem przypominania zapomnianych arcydzieł filmowych autorytetów moralnych dziś kontynuujemy. Kazimierz Kutz. „Milczenie" (1963). Mamy rok 1945. W prowincjonalnym miasteczku nielubiany powszechnie nastolatek zostaje bezpodstawnie oskarżony o zamach na życie proboszcza. Katolicka tłuszcza przezywa go (chłopaka, nie proboszcza) bezbożnikiem i czerwonym. Gdy ranny w wybuchu niewypału chłopak traci wzrok, wstrętni katolicy mówią nawet o karze Bożej. Co na to proboszcz? Domagamy się od PISF sfinansowania nowej wersji tej opowieści. To może być lepsze niż „Pokot". ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

śledztwo DO RZECZY

Co wie prezydent

Wojciech Wybranowski

„Do Rzeczy" dotarło do materiałów, z których wynika, że Hanna Gronkiewicz-Waltz wiedziała o kulisach przejęć atrakcyjnych gruntów w mieście przez handlarzy roszczeń

Kolejne prace Komisji Weryfikacyjnej wskazują, że głowa stołecznego magistratu prawdopodobnie będzie musiała liczyć się z możliwością wszczęcia prokuratorskiego postępowania w sprawie ewentualnego podejrzenia niedopełnienia obowiązków. Sama w mediach przekonuje (bo na wezwania komisji się nie stawia, za co ta ukarała ją karami grzywien, a niedawno urząd skarbowy zajął pieniądze na ich poczet na koncie prezydent stolicy), że nie wiedziała za wiele o decyzjach reprywatyzacyjnych zapadających w jej urzędzie.

– Ogólny obraz, jaki się wyłania, to taki, że prezydent Gronkiewicz-Waltz nie miała pojęcia o zarządzaniu miastem, sprawowała osobisty nadzór nad procesami reprywatyzacyjnymi, ale w praktyce niczego nie sprawdzała. Można wręcz odnieść wrażenie, że sama była „słupem", który akceptował to, co się dzieje przy warszawskiej reprywatyzacji – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" poseł Paweł Lisiecki (PiS), członek Komisji Weryfikacyjnej.

Prawnik Adam Zieliński (Kukiz'15), członek komisji, zaznacza jednak, że prokuratura musiałaby wszcząć postępowanie w sprawie niedopełniania obowiązków prezydent sama – z urzędu, na podstawie zgromadzonych przez komisję zeznań występujących przed nią świadków, bo Komisja Weryfikacyjna na gruncie obowiązującej ustawy (choć w kuluarach mówi się o jej nowelizacji) nie ma możliwości złożenia takiego zawiadomienia.

Tymczasem tygodnik „Do Rzeczy" dotarł do dokumentów (pod częścią z nich widnieje podpis Hanny Gronkiewicz-Waltz lub adnotacja o jej obecności), z których wynika, że dotychczasowe deklaracje prezydent Warszawy, iż jakoby nie wiedziała o kulisach decyzji reprywatyzacyjnych, mijają się z prawdą.

Materiały te wskazują, że Gronkiewicz-Waltz co najmniej w kilku

FOT. MICHAŁ D/UK/FORUM

eprasa.pl 87d60c29ab

najważniejszych warszawskich procesach reprywatyzacyjnych, w których kluczową rolę odgrywali aresztowani już handlarze roszczeń, m.in. Maciej M. i Andrzej M. – szczególnie tych dotyczących działek w pobliżu pl. Defilad – była w pełni informowana o podejmowanych przez urzędników działaniach. Znała je i akceptowała.

JAK URZĘDNICY NEGOCJOWALI

O jakich dokumentach mowa? To przede wszystkim kopie notatek sporządzonych przez Marcina Bajkę, byłego wieloletniego dyrektora miejskiego Biura Gospodarki Nieruchomościami w Warszawie, ze spotkań i z „konsultacji" miejskich urzędników z Maciejem M. – warszawskim handlarzem roszczeniami – oraz współpracującym z nim prawnikiem Andrzejem M., jedną z czołowych postaci w aferze reprywatyzacyjnej w Warszawie.

Notatki dotyczyły negocjacji i warunków oddania handlarzom nieruchomościami atrakcyjnych działek, m.in. w sąsiedztwie Pałacu Kultury i Nauki – przy dawnej ul. Siennej 29, przy ul. Twardej 8 i 10 oraz ul. Królewskiej 39 (oraz kilku innych). Zarówno Maciej M., jak i Andrzej M. (nazwiska nie są takie same) w maju zostali zatrzymani przez CBA i tymczasowo aresztowani. Wśród postawionych im zarzutów są m.in. te dotyczące prób przejęcia wspomnianych nieruchomości. Prokuratura podejrzewa, że mogli wyłudzić co najmniej kilkanaście milionów złotych.

Dotarliśmy też do zbiorczego opracowania dokumentów pt. „Wnioski Biura Gospodarki Nieruchomościami i Biura Prawnego omawiane podczas posiedzeń Zespołu Koordynującego (2007–2016) dotyczące reprywatyzacji" oraz pakietu „Wnioski BGM wraz z kopiami posiedzeń Zespołu Koordynującego dotyczące reprywatyzacji nieruchomości w otoczeniu Pałacu Kultury i Nauki". To właśnie do tego zespołu trafiały ustalenia z konsultacji i negocjacji urzędników BGN z osobami występującymi z roszczeniami reprywatyzacyjnymi. Zespół Koordynujący to ciało mające ostatecznie opiniować decyzje reprywatyzacyjne, które następnie powinny być przekazywane urzędnikom do wykonania.

– Według mojej wiedzy, podchodzącej od przełożonych, którzy w spotkaniach uczestniczyli, w większości takich narad brała udział Hanna Gronkiewicz-Waltz, referowano jej stan faktyczny, brała udział w podejmowaniu decyzji – mówi „Do Rzeczy" Krzysztof Śledziewski, były urzędnik Biura Gospodarki Nieruchomościami w Warszawie.

Z notatek ze spotkań urzędników BGN z „reprywatyzatorami" wynika, że w pracach podwładnych Hanny Gronkiewicz-Waltz panowały chaos, brak systematyczności i zaskakująco życzliwe podejście do handlarzy nieruchomościami, których roszczeń praktycznie nie kwestionowano. Część rozmów sprawia wręcz wrażenie przyjacielskich, nieoficjalnych spotkań. W notatce z 10 marca 2014 r. ze spotkania z udziałem prawnika Andrzeja M., reprezentującego Macieja M., i przedstawicieli Biura Gospodarki Nieruchomościami, dotyczącej m.in. nieruchomości przy ulicach Twardej i Foksal, które chciał przejąć Maciej M., czytamy m.in.: „Na zakończenie wymieniono luźne uwagi na temat aktualnego stanu prawnego innych nieruchomości warszawskich znajdujących się w kręgu zainteresowania pana M.".

Z kolei 3 września 2014 r. odbyło się kolejne spotkanie urzędników podległego Gronkiewicz-Waltz Biura Gospodarki Nieruchomościami z Andrzejem M., reprezentującym Macieja M. W notce ze spotkania dotyczącego roszczeń biznesmena do działek przy ulicach Foksal, Siennej i Emilii Plater czytamy m.in.: „Na uwagę mecenasa M. o przewlekłości postępowania dotyczącego podziału nieruchomości przy ul. Foksal dyrektor oświadczył, że tutejsze biuro doprowadzi do szybkiego zakończenia tego postępowania z uwagi na wspólny interes stron i potrzebę pilnego zawarcia porozumienia w sprawie podziału nieruchomości". Chodzi o to, że biznesmen zgłosił roszczenie reprywatyzacyjne, które obejmowało teren boiska przy liceum im. Zamoyskiego (ul. Foksal). Miasto chciało go spłacić cennymi działkami przy pl. Defilad, na które Maciej M. miał od dawna chrapkę. Dopiero, gdy o sprawie stało się głośno, ratusz wycofał się z transakcji. A prokuratura po zawiadomieniu złożonym przez Jana Śpiewaka, miejskiego społecznika, sprawdza – i ma zasadne wątpliwości – czy Maciej M. miał jakiekolwiek prawa do ul. Foksal i dlaczego miejscy urzędnicy tego nie sprawdzili.

Z notatki z dnia 7 maja 2015 r. wynika, że przedstawiciele BGN zapewniali mec. Andrzeja. M., reprezentującego Macieja M., że „miasto jest zainteresowane podpisaniem z panem M. porozumienia, którego przedmiotem byłyby wszystkie nieruchomości, które objęte są wnioskami pana

eprasa.pl 87d60c29ab

M. (ul. Twarda, ul. Foksal, pl. Defilad, ul. Królewska)". W spotkaniu oprócz Andrzeja M. uczestniczyła m.in. Gertruda J.F., była dyrektor jednego z wydziałów BGN. W lutym tego roku została zatrzymana przez CBA w związku z nieprawidłowościami reprywatyzacyjnymi.

Z kolei 16 listopada 2015 r. odbyło się spotkanie szefującego wówczas BGM Marcina Bajki z Maciejem M., dotyczące przyznania Maciejowi M. praw do nieruchomości przy ul. Królewskiej 39. To przedstawiciele miasta wychodzili na nim z propozycją polubownego załatwienia sprawy, podobnie zresztą było w przypadku ul. Szarej. W przypadku nieruchomości po dawnym ogródku jordanowskim czytamy: „[...] poruszono kwestię zniesienia współużytkowania wieczystego nieruchomości położonej przy ulicy Szarej/Czerniakowskiej. Ustalono, iż istnieje możliwość zniesienia współużytkowania wieczystego przedmiotowej nieruchomości poprzez jej fizyczny podział i przyznanie Skarbowi Państwa projektowanej działki nr 14/18 natomiast państwu M. projektowanej działki nr 14/17".

– Poważnie się zastanawiam, czy nie mieliśmy do czynienia z początkiem tworzenia się nowej mafii w Warszawie, która miała pieniądze, kamienice i wpływ na życie lokatorów – mówi o aferze reprywatyzacyjnej i jej kulisach poseł Paweł Lisiecki z Komisji Weryfikacyjnej.

DOKUMENTY O GRONKIEWICZ-WALTZ

Notatki z tych zaskakująco koncyliacyjnych spotkań urzędników H.G.W. z „reprywatyzatorami" były podstawą do podejmowania decyzji przez zespół koordynujący, wydający podwładnym zalecenia co do działań reprywatyzacyjnych. Sama prezydent Warszawy na licznych konferencjach prasowych przekonywała, że nie wiedziała o kulisach reprywatyzacji i zrzucała odpowiedzialność na urzędników.

– Odpowiedzialność ponoszą urzędnicy. Nie każdy nadzorujący prezydent lub wiceprezydent ponosi polityczną odpowiedzialność. Nadzór nad reprywatyzacją należy do dyrektorów. Nie wiedziałam, co się działo – mówiła Hanna Gronkiewicz-Waltz podczas jednego z wywiadów.

Czy rzeczywiście? Wśród dokumentów, do których udało się dotrzeć tygodnikowi „Do Rzeczy", jest zestaw protokołów z posiedzeń zespołu koordynującego dotyczących m.in. planów przekazania Maciejowi M. działek w centrum miasta, w tym w okolicach Pałacu Kultury i Nauki, a także kilku innych ważnych reprywatyzacji w Warszawie. W składzie tego zespołu koordynującego znaleźli się prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, jej zastępca, skarbnik miejski i inne osoby wskazane przez szefową stołecznego magistratu.

Zwróciliśmy się więc do Hanny Gronkiewicz-Waltz z pytaniami dotyczącymi tego, czy brała udział w posiedzeniach zespołu koordynującego, który zajmował się sprawą roszczeń reprywatyzacyjnych pana M., a dotyczących działek przy pl. Defilad, a także wymiany działek, których dotyczyły roszczenia M., na inne. Pytaliśmy też, czy była informowana o ustaleniach i przebiegu negocjacji prowadzonych przez BGM i Marcina Bajkę z panem M. Na te pytania odpowiedzi nie otrzymaliśmy.

Hanna Gronkiewicz-Waltz wiedziała o kontrowersyjnych reprywatyzacjach i działaniach swoich urzędników

Tymczasem materiały, w których posiadaniu jesteśmy, nie pozostawiają wątpliwości – Hanna Gronkiewicz-Waltz albo uczestnicząc w spotkaniach, albo otrzymując „rekomendację" od swoich przedstawicieli w zespole koordynującym, wiedziała o kontrowersyjnych prywatyzacjach i działaniach swoich urzędników.

Na przykład – jak wynika z dokumentów – Hanna Gronkiewicz-Waltz osobiście poprowadziła spotkanie zespołu koordynującego 19 lutego 2008 r., z udziałem wiceprezydentów Andrzeja Jakubiaka, Jarosława Kochaniaka, Włodzimierza Paszyńskiego, a także Jakuba R. (obecnie tymczasowo aresztowanego), byłego wicedyrektora BGN, na którym omawiano „Uregulowanie sytuacji prawnej nieruchomości hipotecznych wchodzących w skład placu Defilad, na przykładzie sprawy Tadeusza Kossa i innych". Podczas tego spotkania, jak wynika z protokołu, Jakub R. informował Hannę Gronkiewicz-Waltz, że „na terenie placu Defilad toczy się osiemnaście postępowań administracyjnych z zasadnych wniosków dawnych właścicieli nieruchomości hipotecznych złożonych w trybie art. 7 dekretu z dnia 26 października 1945 r.". Prezydent stolicy przekazano informację, że w siedmiu z tych postępowań ustalono już wszystkie strony i znane są ich adresy, a w 11 strony są poszukiwane. Następnie zreferowano Gronkiewicz-Waltz do jej dalszej rekomendacji trzy warianty dalszych postępowań: dwa z nich były korzystne dla właścicieli roszczeń spadkowych, jeden z wariantów zakładał, że „Spółka Miasta nabywa prawa i roszczenia wynikające z dekretu warszawskiego, a następnie Miasto ustanawia na jej rzecz prawo użytkowania wieczystego". Pod tym dokumentem widnieje odręczny podpis Hanny Gronkiewicz-Waltz. Z protokołów wynika, że także następne spotkania zespołu koordynującego dotyczące działek przy pl. Defilad odbywały się w obecności prezydent stolicy lub były jej referowane, a ona akceptowała podjęte na nich decyzje.

– Na podstawie prac komisji i materiałów, do których komisja dotarła, a o które również pan pyta, można powiedzieć, że to nie jest tak, iż Hanna Gronkiewicz-Waltz nie miała wiedzy o spotkaniach urzędników z handlarzami roszczeń i podejmowanych przez BGN działaniach – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy" Adam Zieliński, prawnik z ruchu Kukiz'15 i członek Komisji Weryfikacyjnej. – Uczestniczyła w posiedzeniach zespołu koordynującego, gdzie takie sprawy były referowane. Natomiast chyba nie bardzo zajmowało ją przeanalizowanie sytuacji, stanu prawnego, podstaw podejmowanych decyzji, wystarczało jej stanowisko referującego sprawę urzędnika.

Protokołów zespołu koordynującego, które posiadamy, jest więcej. Sprawa ul. Zielnej 5 również trafiła do zespołu koordynującego (21 października 2008 r.). Hanna Gronkiewicz-Waltz przewodniczyła obradom. Zespół zobowiązał Andrzeja Jakubiaka do przygotowania sposobu rozwiązania problemu. W ówczesnym planie zagospodarowania teren ten przeznaczony był na plac miejski. Biuro Gospodarki Nieruchomościami

eprasa.pl 87d60c29ab

1

Protokół z posiedzenia Zespołu Koordynującego w dniu 19 lutego 2008 roku

Posiedzeniu przewodniczyła Pani Hanna Gronkiewicz-Waltz - Prezydent m.st. Warszawy.

Obecni:
- Pan Andrzej Jakubiak - Zastępca Prezydenta m.st. Warszawy,
- Pan Jarosław Kochaniak - Zastępca Prezydenta m.st. Warszawy,
- Pan Włodzimierz Paszyński - Zastępca Prezydenta m.st. Warszawy,
- Pan Mirosław Czekaj - Skarbnik m.st. Warszawy,
- Pan Jarosław Maćkowiak - Sekretarz m.st. Warszawy,

do pkt. 1 - 14:
- Pani Renata Wiśniewska - p.o. Dyrektor Gabinetu Prezydenta,
- Pani Jowita Dzierzgowska - p.o. Dyrektor Biura Prawnego,
- Pan Jarosław Jóźwiak - p.o. Zastępca Dyrektora Gabinetu Prezydenta,
- Pan Tomasz Andryszczyk - Rzecznik Prasowy Urzędu m.st. Warszawy,

do pkt. 2:
- Pani Ewa Nekanda-Trepka - Stołeczny Konserwator Zabytków,
- Pan Marek Kraszewski - p.o. Dyrektor Biura Kultury,

do pkt. 3:
- Pani Joanna Tymińska - Dyrektor Biura Działalności Gospodarczej i Zezwoleń,

do pkt. 4 i 5:
- Pan Marek Mikos - p.o. Dyrektor Biura Architektury i Planowania Przestrzennego,

do pkt. 6, 7, 8, 9:
- Pan Marek Mikos - p.o. Dyrektor Biura Architektury i Planowania Przestrzennego,
- Pan Marcin Bajko - p.o. Dyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami,
- Pan Jakub Rudnicki - Zastępca Dyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami,
- Pan Marek Sawicki - projektant planu zagospodarowania Pola Mokotowskiego

do pkt. 10:
- Pan Marek Mikos - p.o. Dyrektor Biura Architektury i Planowania Przestrzennego,
- Pan Mieczysław Reksnis - p.o. Dyrektor Biura Drogownictwa i Komunikacji,
- Pan Marcin Bajko - p.o. Dyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami,
- Pan Jakub Rudnicki - Zastępca Dyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami,

do pkt. 11:
- Pan Marcin Bajko - p.o. Dyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami,
- Pan Zdzisław Gójski - Zastępca Burmistrza Dzielnicy Wawer,
- Pan Łukasz Jeziorski - p.o. Naczelnik Wydziału Organizacyjnego dla Dzielnicy Wawer,

do pkt. 12:
- Pani Joanna Gutkowska - Dyrektor Biura Podatków i Egzekucji,

do pkt. 13:
- Pani Aleksandra Jońca - p.o. Zastępca Dyrektora Biura Planowania Budżetowego,
- Pan Jerzy Kulik - Dyrektor Biura Rozwoju Miasta.

przeprowadziło negocjacje ze spadkobiercami dawnych współwłaścicieli tych nieruchomości i zaoferowało im ponad 5 mln zł za nabycie od nich prawa użytkowania wieczystego nieruchomości.

W kwietniu 2008 r. odbyło się z kolei spotkanie, którego celem była analiza stanu prawnego roszczeń domniemanych byłych właścicieli warszawskich nieruchomości, które dotyczyły przedszkoli, szkół i ośrodków zdrowia. Rekomendowano, by w każdym z takich przypadków BGN zwracało się do burmistrza danej dzielnicy z pytaniem o planowane przeznaczenie takiej placówki, a w przypadku, gdyby jej zachowanie było niezbędne dla potrzeb dzielnicy, miałyby zostać uruchomione procedury jej wykupu. Zastrzeżono jednak, że w takich sytuacjach rozstrzygnięcie nastąpi w drodze rozporządzenia prezydent Warszawy – w tym przypadku Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Zespół koordynujący zajmował się też kontrowersyjną reprywatyzacją terenu zajmowanego przez gimnazjum przy ul. Twardej w Warszawie. W dokumentach z datą 17 lutego 2013 r. czytamy m.in.: „Pan Marcin Bajko […] przedstawił wniosek pod nazwą »Informacja na temat możliwych wariantów losów gimnazjum na ulicy Twardej, w kontekście propozycji i żądań właścicieli roszczeń, ze szczególnym uwzględnieniem problemów z zabudową nad tunelem Trasy W-Z«. Członkowie zespołu wysłuchali przedstawionych informacji".

– Hannie Gronkiewicz-Waltz wygodnie jest wypowiadać się na konferencjach prasowych, gdzie nie zadaje się jej trudnych pytań, ale trzeba zwrócić uwagę, że dwukrotnie podczas tych wypowiedzi minęła się z prawdą. Najpierw mówiąc, że nie były jej znane szczegóły poszczególnych spraw reprywatyzacyjnych – a przeczą temu protokoły ze spotkań zespołu koordynacyjnego, gdzie widnieją jej podpisy – i drugi raz, gdy stwierdziła, że nie doszłoby do reprywatyzacji Chmielnej, gdyby urzędnik nie zataił dokumentów – ocenia Oliwer Kubicki, ekspert ds. prawa administracyjnego, prawnik Komisji Weryfikacyjnej.

WSZYSCY WIEDZIELI

„Reprywatyzacja" nieruchomości przy ul. Chmielnej 70 to jeden z największych skandali ze zwrotem działek w Warszawie. I w tym przypadku udało nam się dotrzeć do materiałów, które podważają wiarygodność słów Hanny Gronkiewicz-

eprasa.pl 87d60c29ab

-Waltz, zrzucającej odpowiedzialność na podległych jej urzędników.

Chodzi o jeden z najbardziej atrakcyjnych gruntów w mieście. Jak pisała „Gazeta Wyborcza" – od 2010 r., po zmianie planów zagospodarowania przestrzennego, można na nim postawić wieżowiec wyższy niż stojący opodal Pałac Kultury i Nauki. W 2012 r. teren „odzyskali" Grzegorz Majewski (dawniej szef Okręgowej Rady Adwokackiej), Marzena K. (ówczesna urzędniczka Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz Janusz Piecyk, a pomagał im w tym mec. Robert N. (zatrzymany przez CBA i tymczasowo aresztowany). Teren wydał im Jakub R., były dyrektor BGN, a podstawą były posiadane przez nich roszczenia spadkowe, które zakupili od spadkobierców Jana Holgera Martina, obywatela Danii – to do niego przed wojną należała większa część nieruchomości. Tymczasem ówczesna naczelnik BGN Gertruda J.F., jak pisała „GW", miała wówczas informacje z Ministerstwa Finansów, że należności wobec Jana Holgera Martina zostały już wcześniej spłacone na podstawie układu indemnizacyjnego z Danią, a więc nieruchomości wydawać nie należało. Tę informację miała przesłać e-mailem m.in. do Jakuba R. i referenta Krzysztofa Śledziewskiego.

Gronkiewicz-Waltz twierdzi, że informację, która powinna zatrzymać zwrot nieruchomości, Śledziewski ukrył. Już po wybuchu afery reprywatyzacyjnej zwolniła go dyscyplinarnie z pracy w stołecznym ratuszu. – Wprowadził mnie w błąd, ukrył informację, którą pozyskano z Ministerstwa Finansów, że Holger był Duńczykiem. Zapytany, gdzie jest pismo z Ministerstwa Finansów z tą informacją, stwierdził, że go nie mamy – mówiła Hanna Gronkiewicz-Waltz w czerwcu w „Faktach po Faktach" TVN.

Tymczasem, jak udało się ustalić tygodnikowi „Do Rzeczy", w materiałach śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Regionalną we Wrocławiu w sprawie „reprywatyzacji" m.in. nieruchomości przy ul. Chmielnej znajduje się pismo – wiadomość e-mail przesłana 17 stycznia 2011 r. z konta internetowego Gertrudy J.F. nie tylko do Jakuba R. i Krzysztofa Śledziewskiego, lecz także łącznie do 35 pracowników Biura Gospodarki Nieruchomościami. E-mail zawiera załącznik, którym jest lista beneficjentów „układu indemnizacyjnego z Danią". A to wskazuje, że wiadomość w BGN była powszechna i znana również osobom zajmującym się tą „reprywatyzacją", zaś zarzut o ukrywaniu listu przez Śledziewskiego jest nietrafiony. – Od samego początku mówiłem, że lista jest w urzędzie znana, nigdy jej nie ukrywałem – mówi „Do Rzeczy" Śledziewski.

Pod koniec lipca Komisja Weryfikacyjna uchyliła decyzję Hanny Gronkiewicz-Waltz z 2012 r., o przekazaniu działki przy ul. Chmielnej w ręce nowych właścicieli. Sprawa jednak nie jest zamknięta, a komisja na początku października będzie musiała zająć się nią ponownie. Beneficjenci „decyzji zwrotowej" złożyli bowiem odwołanie.

– Jeżeli Hanna Gronkiewicz-Waltz wiedziała o tym wszystkim, to brak stosownych reakcji dyskredytuje ją jako prezydenta. Coraz poważniej skłaniam się ku twierdzeniu, że unikająca komisji Hanna Gronkiewicz-Waltz jest jeszcze mocniej uwikłana w reprywatyzację, niż sądziliśmy – mówi „Do Rzeczy" Patryk Jaki, przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej.

Problemy Gronkiewicz-Waltz mogą się zacząć w grudniu. Komisja chce wrócić wtedy do sprawy kamienicy przy ul. Noakowskiego 16

SPRAWA Z UL. NOAKOWSKIEGO

Poważne problemy Hanny Gronkiewicz-Waltz mogą się zacząć w grudniu. To wtedy Komisja Weryfikacyjna zamierza wrócić do sprawy pożydowskiej kamienicy przy ul. Nowakowskiego 16, która w bulwersujących okolicznościach i – jak wiele wskazuje na podstawie sfałszowanych dokumentów – ostatecznie trafiła w ręce rodziny męża Hanny Gronkiewicz-Waltz. Jak ustaliliśmy, do komisji miał trafić nieznany dotąd dokument, z którego wynika, że rodzina prezydent Warszawy miała mieć pełną wiedzę o nieprawidłowościach przy przejmowaniu kamienicy. O szczegółach pracujący w komisji nie chcą jednak rozmawiać. – Od kilku miesięcy ogrom prac Komisji Weryfikacyjnej przybliża nas do prawdy, że H.G.W. od samego początku miała pełną wiedzę o przebiegu procesów reprywatyzacyjnych, zarówno w kwestiach ogólnych, jak i poszczególnych adresów. Wiedzę też zdobyła podczas prywatyzacji ul. Noakowskiego 16, prawdopodobnie z tego powodu nie chce zeznawać przed Komisją Weryfikacyjną – mówi Sebastian Kaleta, członek komisji.

Sprawa przejęcia przez rodzinę męża Hanny Gronkiewicz-Waltz atrakcyjnej nieruchomości przy ul. Nowakowskiego 16 i usunięcia z niej dotychczasowych lokatorów budzi sporo emocji od lat, pisały o niej m.in. „Nasza Polska", „Gazeta Wyborcza" czy „W Sieci". Zabytkowa kamienica należała przed wojną do rodziny Oppenheimów i Regirerów, którzy w większości zginęli w czasie okupacji. To prawdopodobnie już wtedy padła ona łupem szajki oszustów, którzy wyszukiwali nieruchomości, których właściciele zostali zamordowani i fałszowali akty nieruchomości. Najprawdopodobniej w ten sposób właścicielem części nieruchomości stał się Leon Kalinowski. Sprawa wydała się, gdy w 1946 r. kamienicę chciała odzyskać Maria Oppenheim. To się jej nie udało. Jednak wówczas, choć za inne oszustwa, Kalinowski trafił do więzienia. Zdążył wcześniej sprzedać część udziałów w kamienicy Romanowi Kępskiemu, który później wszedł do rodziny Waltzów. W latach 50. kamienica została przejęta przez państwo. W latach 90. Kępski złożył wniosek o zwrot nieruchomości. Decyzja zwrotowa została wydana przez warszawski ratusz w 2003 r., a ostatecznie w 2006 r. kamienica przeszła w ręce spadkobierców Kępskiego, m.in. męża i córki Hanny Gronkiewicz-Waltz. Krótko po przejęciu kamienicy rodzina Waltzów sprzedała ją spółce Fenix Group. To ludzie, którzy dla handlarzy nieruchomościami „czyszczą kamienice", usuwając z nich dotychczasowych lokatorów.

– Zakładamy, że mąż pani Waltz zarobił na tym ok. 1,6 mln zł, w sumie spadkobiercy Kępskiego zgarnęli co najmniej 10 mln – mówi nam osoba współpracująca z komisją weryfikacyjną. Sprawa Noakowskiego 16 jest jedną z badanych przez prokuraturę wątków w sprawie afery reprywatyzacyjnej w Warszawie.

Zanim jednak Komisja Weryfikacyjna zajmie się sprawą kamienicy przy ul. Noakowskiego, wcześniej – w październiku i listopadzie – zajmie się m.in. reprywatyzacją nieruchomości przy ulicach Wielkiej 2 i Chmielnej 50, a także Wielkiej 6 i Zielnej 7.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

butiki **SWISS** PREZENTUJĄ

JESIEŃ
W STYLU VINTAGE

Jesienna elegancja wymaga odpowiednich akcesoriów. Postaw na zegarki nawiązujące stylem do ery prawdziwych dżentelmenów.

BOSS
HUGO BOSS

[226 216]
—
1 670 zł

ZEPPELIN

[241 179]
—
1 290 zł

CITIZEN

[244 153]
—
1 290 zł

ROAMER
OF SWITZERLAND

[213 711] — **2960 zł** / [213 710] — **2980 zł**

swiss.com.pl

PROMOCJA

eprasa.pl 87d60c29ab

dwugłos DO RZECZY

Rafał A. Ziemkiewicz

Potrzeba bezpieczeństwa jest jedną z najsilniej kierujących ludzkimi wyborami. Dlaczego więc, mimo sporów na linii prezydent – prezes, wzrasta poparcie dla rządzących?

Druga wojna na górze

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM, OPR. GRAF. MIDAS

Jak na razie konflikt pomiędzy partią rządzącą a prezydentem dobrze służy obu stronom. Od chwili, gdy Andrzej Duda zyskał opinię skłóconego z PiS (tak naprawdę konflikt zaczął się od zawetowania Ustawy o regionalnych izbach obrachunkowych, ale szerzej zauważono go dopiero po udaremnieniu przez prezydenta próby „nocnej zmiany" w Sądzie Najwyższym), znacząco poprawiły się zarówno notowania PiS w sondażach partyjnych, jak i dobre oceny, wskaźniki zaufania i sondażowe poparcie wyborcze dla prezydenta.

DIAGNOZY A WYNIKI

Część komentatorów przyjęła to z niedowierzaniem i zdziwieniem – taka reakcja wyborców jest sprzeczna ze wszystkim, co od ćwierć wieku mówią o nich sondaże. A mówiły one zawsze, że Polacy bardziej niż czegokolwiek innego nienawidzą konfliktu. Nawet gdy jest on uzasadniony. Jeszcze kilka lat po tragedii w Smoleńsku ogromna część ankietowanych wyrażała naiwną wiarę, że najlepiej rządziłaby Polską koalicja PO z PiS; wcześniej przez wiele lat w tym samym sondażu wygrywała absurdalna opcja „koalicja wszystkich istniejących partii" (!). Sukcesy wyborcze Kwaśniewskiego i wczesnego Tuska wynikały z umiejętnego zbudowania wizerunku polityka, który wyciąga rękę do wszystkich i chce zasypywać podziały. A założycielska dla III RP „wojna na górze" zniszczyła trwale zwycięski wówczas i – wydawałoby się – niezniszczalny szyld Solidarności.

Zgodnie z tymi doświadczeniami wróżono powszechnie – jedni ze zgrozą, drudzy z utęsknieniem – że nowa „wojna na górze" to początek końca „dobrej zmiany", że Polacy, widząc „PiS-owców" skłóconych, nie rozstrzygając racji, odwrócą się od nich z niesmakiem, tak jak wskutek tej pierwszej odwrócili się od „solidaruchów" – zarówno od Wałęsy, jak i jego byłych doradców. Na razie jednak nic takiego się nie dzieje. Jednak – może właśnie tylko „na razie"? Może obecne sondażowe umocnienie obu stron sporu to jakieś „ostatnie podrygi", chwilowa aberracja, po której nastąpi zapowiadana katastrofa?

To obecnie najważniejsze pytanie: Czy „wojna na górze", bo że ją mamy, to już chyba fakt dla wszystkich oczywisty, rozsadzi obóz „dobrej zmiany"? Czy też możliwe jest inne niż poprzednio rozwiązanie konfliktu, i co o tym zadecyduje? Bo w najlepszym wypadku skończyć się musi zniszczeniem jednej ze stron przez drugą.

Nie odpowiemy na to pytanie, jeśli nie zrozumiemy, co się stało w podwójnych wyborach 2015. A nie zrozumiemy, jeśli uwierzymy w jedną z dwóch najmodniejszych na komentatorskim rynku teorii – w „przebudzenie", którym wytłumaczył sobie sukces PiS-owski „hardcore", albo w „nieszczęśliwy przypadek", chwilowe ogłupienie części społeczeństwa przy demobilizacji i rozproszeniu jego zdrowej większości, jak zracjonalizowała sobie klęskę obecna „opozycja totalna".

Te fałszywe diagnozy uwarunkowały zachowanie głównych sił politycznych. PiS od dwóch lat skupia się na utwardzaniu swego twardego elektoratu, lekceważąc zupełnie wyborców umiarkowanych – więcej Macierewicza i Ziobry, więcej konfliktów i rozliczeń, więcej „apeli smoleńskich" i twardej retoryki wobec Zachodu, aby proces „przebudzania" patriotyzmu postępował. Totalna opozycja zaś uparcie liczy na wstrząs – masowe protesty, sankcje unijne, szok, że komuś PiS-owscy siepacze rozbili nos etc. – który sprawi, że do Polaków dotrze wreszcie, że „PiS-jest-straszny-i-trzebago-odsunąć-od-władzy" i powtórzy się mobilizacja z wyborów 2007.

Co do tego, że działania „totalnej opozycji" nie służą jej dobrze, nie sposób się spierać. W ocenie skuteczności strategii partii rządzącej trudniej o zgodę. Sondaże i oceny rządu są przecież dobre. Na ile jednak są takie dzięki radykalizmowi, a na ile pomimo niego, wskutek dobrej oceny polityki socjalnej, sukcesów gospodarczych i poprawy porządku w finansach państwa? Zgadzam się z doktorem Flisem (a przypomnę, był to pierwszy i przez długi czas jedyny analityk mówiący, że Andrzej Duda może wygrać z Bronisławem Komorowskim), że przy takich wynikach gospodarczych i zadowoleniu Polaków z życia PiS powinien mieć obecnie nie 38, ale 58 proc.– i miałby tyle, gdyby nie (mówiąc pars pro toto) Macierewicz i Ziobro.

PRZEBUDZENIE?

Obecnie przyzwyczajeni jesteśmy już do tego, że PiS ma powyżej 40 proc. Kiedy jednak dr Flis wygłaszał cytowaną tu opinię, ta bariera jeszcze przekroczona nie była, partia rządząca przebiła ją dopiero po wetach prezydenta i właśnie dzięki nim.

W istocie bowiem o sukcesie wyborczym nie zadecydował elektorat „przebudzony", na którym skupia się cała uwaga polityków PiS. Nie urósł on znacząco w stosunku do poprzednich, regularnie przez PiS przegrywanych wyborów – nie mógł zresztą, gdyż jest to elektorat „tożsamościowy", kulturowy, a w kwestii imponderabiliów nie zmienia się łatwo zdania. Sukces dało PiS rozczarowanie „milczącej większości" marną jakością rządów Ewy Kopacz, oczywistymi ograniczeniami Bronisława Komorowskiego oraz ogólną zgnilizną i rozkładem pomagdalenkowych elit, czego symbolem stały się nieszczęsne ośmiorniczki z Sowy i Przyjaciół. O tym, że owo rozczarowanie mogło poskutkować zmianą preferencji wyborczych, zadecydowało zastąpienie przez PiS działaczy budzących lęk „normalsa" nowymi twarzami, Andrzeja Dudy i Beaty Szydło. O tym, że zmiana preferencji nie nabrała charakteru trwałego, że nie nastąpiło oczekiwane przez przegranych „opamiętanie" w chwili, gdy zza pleców Dudy i Szydło znowu wychynęli Ziobro z Macierewiczem, a PiS zaczął radykalną rozprawę z Trybunałem Konstytucyjnym, zadecydował z kolei upór PO i jej nowoczesnej przystawki, by trwać w postawie „opozycji totalnej" i negować wszystko – także własną odpowiedzialność i potrzebę jakichkolwiek przeprosin za złe rządy oraz rozliczenia winnych.

GRA O SPOŁECZNE EMOCJE

Innymi słowy – „normals" nie tyle polubił PiS, ile jeszcze bardziej znielubił straszące go nim elity, na których się zawiódł. Nie znaczy to, by lęk przed radykalizmem PiS zniknął. Tli się on nadal, podtrzymany przez awanturę z Trybunałem Konstytucyjnym oraz zdarzenia takie jak sejmowa tyrada prezesa o „zdradzieckich mordach", ochoczo rozdmuchiwane przez media „opozycji totalnej". I to właśnie ten lęk ograniczał wzrost popularności władzy. Przeciętny Polak widział ją mniej więcej tak – „owszem, rządzą lepiej, ale to jednak wariaci, jak temu Kaczyńskiemu coś strzeli do głowy, to zaraz przegłosują, Duda podpisze, co mu każą, i z dnia na dzień diabli wiedzą, co może być". Popisywanie się rządzących przed swym twardym elektoratem zwyczajnie zaburzało poczucie bezpieczeństwa elektoratu umiarkowanego – a potrzeba bezpieczeństwa jest jedną z najsilniej kierujących ludzkimi wyborami. Dodajmy do tego, że w Polsce podejrzliwość wobec każdej władzy jest głęboko zakorzenioną tradycją, upodabniającą nas do Amerykanów,

eprasa.pl 87d60c29ab

i stąd szczególnie silne oczekiwanie przez Polaków politycznych „hamulców i wyważeń".

Buntując się przeciwko własnemu obozowi w chwili, gdy zdawał się realizować właśnie to, czego się obawiano (oczywisty kant z „przedłożeniem poselskim", narzucenie absurdalnego tempa procedowania, pominięcie wszelkich konsultacji, nocne odrzucanie hurtem poprawek bez ich rozpatrywania), Andrzej Duda skutecznie owe obawy rozwiał. Powiedział Polakom: nie lękajcie się, nie podpisuję wszystkiego, nawet gdyby PiS oszalał, ja jestem.

Sondaże dowodzą, że to zadziałało. Paradoksalnie – także na korzyść PiS, bo w chwili, gdy prezydent objawił się jako oczekiwany „bezpiecznik systemu", również radykalizm partii rządzącej zaczął wyglądać mniej groźnie.

Jak więc widać – gra toczy się tak naprawdę wcale nie o reformę sądownictwa. Owszem, Polaków irytuje stan wymiaru sprawiedliwości, chętnie chcą słyszeć o poddaniu wreszcie „kasty" sędziowskiej rygorom odpowiedzialności, ale to, co dotyka ich bezpośrednio, to przewlekłość postępowań oraz nierzadkie wyroki kłócące się z elementarnym poczuciem sprawiedliwości. Przeciętny Polak nie bardzo rozumie, jak się na te kwestie przekładają proponowane zmiany: sposób wyboru KRS czy wygaszanie kadencji sędziów SN to dla niego sprawy równie ezoteryczne jak Trybunał Konstytucyjny. Mieści się w „walce o praworządność", którą „opozycja totalna" usiłuje Polaków podniecić już od prawie dwóch lat, i wciąż mało jej się to udaje.

O co zatem gra się toczy? O przejęcie przez obóz rządzący całego tortu społecznych emocji. W chwili, gdy prezydent, zasilony przez Kukiza (który sam do odgrywania tej roli nie miał instytucjonalnej siły, ale ma możliwość pozyskiwania elektoratu nieufnego wobec PiS), zaczyna wypełniać obowiązki opozycji – „opozycja totalna" traci rację istnienia i skazana jest na marginalizację.

NIE, BO NIE

Ona sama zresztą absurdalną odmową jakichkolwiek dyskusji z prezydentem i upartym obstawaniem przy „nie, bo nie" wpisuje się ochoczo w taki scenariusz. Po raz kolejny widać tu intelektualną degenerację obozu III RP, miotanego idiosynkrazjami, resentymentami i odurzającego się fantazjami niemającymi nic wspólnego z rzeczywistością. W tym wypadku zadecydowała fantazja o „masowości" protestów ze świecami, w których salony zobaczyły początek wytęsknionego „opamiętania" społeczeństwa. Tak naprawdę jednak była to tylko, podobnie jak pierwsze marsze KOD, mobilizacja anty-PiS, wywołana raczej sposobem forsowania reformy niż jej treścią. Zresztą „totalna" postawa Schetyny i Petru, nieukrywających, że zbrodnią, stalinizmem etc. okrzykną zawsze każdą, jakąkolwiek próbę zmiany status quo w sądownictwie (i chyba wszędzie w ogóle), dyskredytuje kolejne protesty skuteczniej niż demaskacje źródeł finansowania organizujących ich poprzednią falę fundacji. Warto zresztą zwrócić uwagę na zapowiedziane przez PO utworzenie zespołu mającego „koordynować" protesty, czyli – mówiąc po ludzku – położyć na nich partyjną rękę. Nieuchronnie oznacza to odebranie im nimbu „społecznego" czy „spontanicznego" charakteru, konflikt ze wspomnianymi fundacjami, a zapewne również rozbicie protestów na organizowane z różnych pozycji. To pozwala się spodziewać, że „łańcuchy świateł" wypalą się tak samo jak „czarne protesty".

Czy zatem PiS może się niczego nie obawiać? Nie. Może się nie obawiać „totalnej opozycji", co chyba nie jest żadną nowością – ale powinien mieć świadomość, że pożyteczny na ten moment teatrzyk polityczny z podziałem ról na radykalny PiS i pilnującego go prezydenta może łatwo przekształcić się w prawdziwą „wojnę na górze", która szybko dokona tych wszystkich spustoszeń, które wywróżono.

Podział ról między partią a prezydentem będzie działać tak długo, jak długo Polacy nie odniosą wrażenia, że stopień wzajemnej wrogości uniemożliwia im współpracę ze sobą. Jeśli normals powie sobie: „Następni tylko żrą się między sobą, zamiast pracować dla naszego dobra", wszystkie opisane wyżej mechanizmy przestaną działać, a pojawi się gniew.

Przyszłość „dobrej zmiany" zależy więc od tego, czy mamy do czynienia ze sporem pomiędzy dwoma ośrodkami władzy, wpisanym w konstytucję, i strawnym, a nawet oczekiwanym przez wyborców, czy – podobnie jak to było z „wojną na górze" w 1990 r. – z wybuchem wzajemnej nienawiści. Jest wiele sygnałów, które każą obawiać się tego drugiego, niekontrolowanego scenariusza. Łatwość, z jaką działacze PiS i media promujące jego radykalny nurt rzuciły się do gardła wczoraj jeszcze wysławianemu prezydentowi, sięgając po kalumnie zarezerwowane wcześniej tylko dla „układu" i po haki na jego ludzi, wróży jak najgorzej. Jakobiński „hardcore" PiS na wyłamanie się prezydenta z szeregu zareagował erupcją autentycznej nienawiści – z różnych, wymagających osobnego omówienia przyczyn, powiedzmy tylko, że nieostatnią z nich jest poczucie, iż zmiany nie idą tak łatwo, jak to sobie wyobrażano, i trzeba znaleźć winnego „sabotażu".

ALBO, ALBO

Znaczącym przykładem jest tu tekst Jacka Karnowskiego z tygodnika „Sieci Prawdy", w którym autor, powołując się na swoje źródła, kreśli obraz Jarosława Kaczyńskiego, jaki dotąd pojawiał się tylko w „Newsweeku" czy podobnych mediach. Zdaniem Karnowskiego prezes PiS ma do prezydenta pretensje o słowa „nie boję się prezesa" wypowiedziane kiedyś przez jego żonę, o zbyt małą tablicę upamiętniającą śp. Lecha Kaczyńskiego, o to, że nie chce przyjeżdżać na Nowogrodzką, nie słucha starszego i bardziej zasłużonego Antoniego Macierewicza etc. Zamieszczenie tej litanii małostkowych urazów i pretensji tuż obok wywiadu z „Komendantem" sugeruje, że autor poznał je u samego źródła, że opiera się na tym, co Kaczyński powiedział poza autoryzacją.

Na tych łamach i pod tym piórem cel takiej publikacji jest oczywisty: to apel do PiS-owskich jakobinów: „Nie wahajcie się, walcie w zdrajcę-Dudę z całej siły, prezesowi się to spodoba". Przy tej linii redakcyjnej i pozycjonowaniu rynkowym pisma jest to zrozumiałe, choć może niezbyt eleganckie.

Czy jednak wizja, w której Kaczyński kieruje się w konflikcie nie polityczną racjonalnością, ale dąsami o nadepnięty tu czy tam odcisk, to autorska kreacja Karnowskiego – czy jest coś na rzeczy? Czy prezes PiS rzeczywiście z wytrawnego gracza przeistacza się w niepanującego nad emocjami starszego pana, krzyczącego „w żadnym trybie" o „zdradzieckich mordach"? To kluczowe pytanie – od odpowiedzi na nie zależy przyszłość „dobrej zmiany". Rozpoczęta obecnie druga „wojna na górze" nie musi się skończyć jak ta poprzednia upadkiem całego obozu, ale jest oczywiste, że ani prezydent, ani PiS nie mogą jej wygrać kosztem przeciwnika. Albo – jak to się dzieje na razie – wygrają obie strony, albo obie strony przegrają. Innej możliwości nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

RÓŻANIEC
DO GRANIC
RATUJ RÓŻAŃCEM POLSKĘ i ŚWIAT
RÓŻANIEC
DO GRANIC
7 października
Weź udział w wielkiej modlitwie
różańcowej na granicach kraju!

Świat bardzo potrzebuje modlitwy. Dlatego stańmy wszyscy na granicach Polski, otoczmy nasz kraj różańcem. Odpowiedzmy na wezwanie Matki Bożej, odmówmy wspólnie cztery części różańca, błagając o ratunek dla Ojczyzny i całego świata.

Program wydarzenia:

10:30 Spotykamy się w kościołach stacyjnych, rozlokowanych wzdłuż całej granicy Polski. Na naszej stronie internetowej możesz wybrać miejsce, do którego chcesz przyjechać.
11:00 Msza Święta.
12:00 Specjalnie przygotowane nabożeństwo eucharystyczne – adoracja.
13:00 Ruszamy do stref modlitwy – wolontariusze prowadzą do wyznaczonych miejsc na całej granicy Polski.
14:00 Modlitwa różańcowa. Zaczynamy o tej samej godzinie na całej granicy, odmawiamy wszystkie cztery części różańca.
16:00 Koniec. Jedziemy do domów, a Błogosławieństwo ogarnia cały świat!

Mecenasi:

Energa, PWPW, Reduta PWPW, Renovis, Fundacja Scalam

Sponsorzy:

CERMAG, Kuvings

Partner:

Szczegóły i zapisy na stronie:

www.rozaniecdogranic.pl

I pamiętaj – odmawiaj różaniec. Codziennie!

eprasa.pl 87d60c29ab

dwugłos DO RZECZY

Samotny rejs prezydenta

Piotr Semka

Andrzej Duda chyba uwierzył w to, że może być umiarkowanym liderem opozycji wobec PiS. Totalna opozycja to wykorzystała

Przez ostatnie dwa miesiące prezydent korzystał z władzy do zatrzymania politycznej gry. Niczym piłkarski sędzia zamroził na dwa miesiące polityczną rozgrywkę, zapowiadając po tym czasie jej wznowienie na jego warunkach.

Po ogłoszeniu pomysłów na zmiany prawa widać jednak, że wejście na boisko w roli równorzędnego gracza wymaga dobrego przygotowania i silnego zaplecza. Dwa projekty prezydenta w sprawie SN i KRS okazały się nierówne. Oprócz ciekawych pomysłów mają zapisy niedopracowane i „niedomyślane". Prezydencki pomysł zmiany konstytucji rozbłysnął i zgasł w ciągu paru godzin. Opozycja zademonstrowała zaś, że nie ma ochoty współpracować z głową państwa.

Andrzej Duda już zaczyna rozumieć, w jak komfortowej sytuacji dotąd był i jak trudno będzie trwać na ścieżce do samodzielności.

PARA W GWIZDEK

Poniedziałek 25 września. Prezydent z niezwykłym zaaferowaniem przedstawia mediom szczegóły swoich projektów o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa.

Po przedstawieniu nowej instytucji skargi nadzwyczajnej i informacji o wprowadzeniu limitu wieku pracy (65 lat) dla sędziów SN prezydent nagle informuje, że w razie braku szans na stworzenie sejmowej większości trzech piątych do wyboru członków KRS chce sam mianować 15 członków rady. Jednak skoro są wątpliwości, czy obecna konstytucja na to pozwala, to trzeba ustawę zasadniczą szybko zmienić. I w tym celu zwołuje na godz. 16 spotkanie wszystkich sejmowych partii, aby spytać ich liderów, czy taka poprawka wchodzi w grę.

Szybko okazuje się, że Nowoczesna na żadne zmiany się nie zgadza, a PO w ogóle bojkotuje spotkanie.

Według relacji polityka obecnego na spotkaniu prezydent oświadczył, że chce

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

znać deklaracje liderów sił sejmowych, by nie ośmieszać się projektem, który nie ma szans przejść. W odpowiedzi miał usłyszeć od Ryszarda Petru kąśliwą uwagę, że ten nie chciałby, żeby prezydent się ośmieszył, więc zapewnia, iż jego klub nie poprze zmiany w konstytucji.

Po co był prezydentowi cały ten show? Czy można było realnie sądzić, że wszyscy w Sejmie poprą na chybcika znaczne rozszerzenie uprawnień prezydenta?

O JEDNE WAKACJE ZA DUŻO

Na dokładne przygotowanie projektów Andrzej Duda miał pełne dwa miesiące.

A jednak, jak się zdaje, nikt z jego prawników nie zauważył na czas zapisów konstytucji niedających prezydentowi prawa do jednoosobowego wyboru członków KRS.

Można odnieść wrażenie, że prezydent odkrył to dopiero tuż przed poniedziałkiem 25 września. Czemu jednak w takiej sytuacji nie zrezygnował z poszerzania swych prerogatyw o prawo mianowania członków KRS? No, chyba że wierzył, iż zwołani ad hoc liderzy sejmowych partii naprawdę obiecają szybko zmienić konstytucję. Ta wiara wskazywałaby na dość spore oderwanie od realiów.

Wrażenie pewnego chaosu dało się zauważyć już wcześniej. Jaki był udział prof. Michała Królikowskiego w pisaniu projektów? Czy prezydent wiedział o kontrowersjach otaczających jego osobę? Dlaczego nikt z Kancelarii Prezydenta nie reagował, gdy Królikowski odbywał tour po mediach, wszędzie sugerując, że doradza prezydentowi? I dlaczego dopiero 22 września, czyli trzy dni przed ogłoszeniem projektu, zdecydowanie odcięto się od Królikowskiego?

Kolejne pytanie: Kto był w zespole piszącym projekty? Wiadomo tylko, że prace te koordynowała podsekretarz stanu w prezydenckiej kancelarii Anna Surówka-Pasek. Kto jeszcze?

Część zapisów prezydenckich projektów nawiązywała do ducha projektów PiS. Choćby postulat zmian kadrowych w SN czy wyłanianie składu KRS przez Sejm. Jednak już zasada trzech piątych skazywała reformy na bardzo niepewny proces polityczny bez zabezpieczenia na wypadek braku konsensusu. A zgłoszony naprędce pomysł „jeden poseł – jeden głos" przy wyborze członka KRS budzi poważne wątpliwości prawne.

W ciągu kolejnych dni minionego tygodnia wychodziły na jaw kolejne wątpliwości wobec zapisów projektów prezydenckich.

Kiedy kończą się kadencje obecnych członków KRS? Czy skargi nadzwyczajne nie zaleją wyznaczonej do ich rozpatrywania izby SN? Czy skargi nie oddalą prawomocności wyroków? Czy mogą dotyczyć uchwały Sejmu?

Ile czasu trwać będzie procedura wyboru nowych członków KRS? Czy I prezes SN Małgorzata Gersdorf otrzyma zgodę prezydenta na kontynuowanie kadencji?

Czy zamiast wakacji w Juracie nie lepiej było dopracowywać poszczególne zapisy? Jeśli prezydent tak lekko podszedł do kwestii własnych projektów, to jak oszacować jego skuteczność w kolejnych przedsięwzięciach politycznych?

Tym bardziej że prezydent wydawał się nieprzygotowany na ostrość krytyki swych projektów ze strony opozycji totalnej. Borys Budka i Ryszard Petru od razu ogłosili, że nowe propozycje prezydenta po prostu są niekonstytucyjne. Sławomir Neumann z PO posunął się jeszcze dalej. – Jeśli Andrzej Duda i PiS chcą dyskutować o konstytucji, to będą mieli tę możliwość, ale przed Trybunałem Stanu, za łamanie obecnej konstytucji – stwierdził.

A Grzegorz Schetyna wprost zainicjował wznowienie protestów świeczkowych: – Dzisiaj przychodzi ten czas, że podobnie jak w lipcu te emocje (wokół projektów reformy sądów) będą silne i właśnie obecność Polaków na ulicach może być tutaj decydująca co do przyszłości tych złych ustaw.

Na niedzielę 1 października zapowiedziano już pierwsze protesty PO i Nowoczesnej przed sądami w Kielcach, Starachowicach i Ostrowcu.

W BUTACH ZIOBRY

Gdzie tkwił błąd oceny prezydenta? Po pierwsze, Andrzej Duda zdawał się wierzyć, że totalna opozycja uzna na trwałe jego pozycję arbitra w meczu PiS kontra PO i Nowoczesna w ramach rewanżu za weto sprzed paru miesięcy. Nic podobnego się jednak nie stało.

Schetyna i Petru uznali, że wygodniej będzie im uznać Andrzeja Dudę za pomocnika PiS i maksymalnie skłócić prezydenta z jego obozem politycznym. W obozie III RP na serio przestraszono się sytuacji, w której prezydent zaczął

eprasa.pl 87d60c29ab

być postrzegany jako zastępczy lider opozycji wobec radykalizmu PiS, i to skuteczniejszy od Schetyny czy Petru, bo dysponujący realnym narzędziem weta. Dlatego zapadła decyzja, by tym razem – w odróżnieniu od lipca – prezydenta nie oszczędzać w atakach. Szybko ukuto nowe hasło: „Ziobro czy Duda – jeden PiS".

Po drugie, Andrzej Duda płaci teraz za zaakceptowanie narracji opozycji w swej krytyce wobec polityki Zbigniewa Ziobry w lipcu. Wtedy przyjął stawianie znaku równości między uprawnieniami prokuratora generalnego do obsady stanowisk w KRS a upartyjnianiem państwa, nie z reformą. Prezydent uznał, że na tle „strasznego" Ziobry on sam zyska jako umiarkowany liberał i obrońca apolityczności sądów.

Tyle że oparte było to na założeniu, iż Ziobrę można opisywać jako symbol upartyjnienia sądów, a prezydent jest w oczywisty sposób ponadpartyjny.

Dlatego Andrzej Duda do dziś oburza się na pomysł, by sędziów SN mogących kontynuować swoją kadencję wskazywał prokurator generalny, a uważa za normalne, by mógł to czynić prezydent.

Tyle że opozycja już głosi, iż prezydent to taki sam partyjniak jak Ziobro, tyle że ukryty, a jego ustawy służą partii Jarosława Kaczyńskiego. Czołowy ideolog „Gazety Wyborczej" Marek Beylin głosi: „Duda jest żarliwym PiS-owcem i żadnym demokratą". Andrzej Gajcy z portalu Onet.pl także wytyka na Twitterze niekonsekwencje głowy państwa: „Według prezydenckich ustaw kadencje sędziów KRS zostają wygaszone. Wcześniej PAD krytykował ten zapis i jego autora [Ziobrę – przyp. red.]. Teraz jest już OK?".

Po trzecie, można zadać pytanie: Czy prezydent zastanowił się, jak bardzo tryb wyboru KRS odwlec może w czasie całą reformę sądów? Krystyna Pawłowicz twierdzi, że przy zgłaszaniu społecznych kandydatów do KRS (wymagane 2 tys. podpisów) i niejasnym trybie wygaszania starych mandatów może to wydłużyć proces zmian do półtora roku. A Jarosław Kaczyński chciał reformy sądów zakończyć do końca tego roku, aby w rok wyborów samorządowych wejść już po wygaśnięciu najostrzejszych wojen politycznych. Teraz PiS musi brać pod uwagę, że czekają go miesiące żmudnego układania się w sprawie składu KRS z partią Kukiz'15, która nie sprawia wrażenia, by chciała w czymkolwiek PiS pomóc. Jeden

Ryszard Petru od razu ogłosił, że propozycje prezydenta są niekonstytucyjne FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

z czołowych kukizowców, Stanisław Tyszka, opowiedział się ostatnio za tym, by prezes Gersdorf dokończyła swoją kadencję do 2020 r.

To niezbyt obiecujący prognostyk, by wierzyć, że Kukiz'15 wybierze do KRS samych zwolenników zmian.

SPADEK NAPIĘCIA?

Projekt prezydencki trafił do Sejmu i teraz czas na żmudne negocjacje z PiS w sprawie przegłosowania ustaw przez PiS-owską większość.

Andrzej Duda wyznaczył do sejmowych pertraktacji Annę Surówkę-Pasek i Zofię Romaszewską. Przy całym szacunku dla pani Zofii jako opozycyjnej legendy – nie wydaje się ona osobą, która będzie cierpliwym dyplomatą w targach z marszałkami Sejmu i Senatu. Zofia Romaszewska już zdążyła w radiowym wywiadzie oskarżyć Zbigniewa Ziobrę, że nie reformuje wymiaru sprawiedliwości, a nawet wyrazić opinię, że jeśli nie weźmie się do roboty, to „powinien wylecieć" z rządu. Nie wróży to dobrze negocjacjom sejmowym.

Krzysztof Łapiński – mistrz grania na PiS-owskich nerwach – ostrzega, że prezydent nie pozwoli na zmienianie przez Sejm zasadniczych założeń swoich projektów. Bardziej koncyliacyjny jest prezydencki minister Paweł Mucha, który mówi: „Jeżeli ustawa idzie do parlamentu, to nie jest to na zasadzie Biblii i braku możliwości ingerencji w treść. Można ją poprawiać". Czyje nastawienie zwycięży?

Jarosław Kaczyński też przybiera chłodny ton. W tygodniku „Sieci" wskazuje: „Spotkanie z prezydentem pokazało, że możemy rozmawiać, jednocześnie jednak pokazało, że są daleko idące różnice zdań. Czy da się je sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika, który pozwoliłby posunąć sprawę reformy sądowej – tego dziś nie wiem".

W PiS mówi się, że prezes jest urażony, iż dwie wizyty w Belwederze nie doprowadziły do ugody w sprawie ustaw. A jednocześnie ma wyczulać swoich podwładnych na to, że w ostrym sporze z prezydentem nie uzyska się nic. „Wojna na górze" będzie nieczytelna dla elektoratu PiS-owskiego.

Jak duży margines gotowości na zaakceptowanie projektów prezydenckich to oznacza? A może lidera PiS i prezydenta pogodzi jakaś ostra akcja protestów opozycji?

Prezydent musi pamiętać, że na politycznym horyzoncie jest już rok 2018. Jeszcze całkiem niedawno w optymistycznych wizjach dworu Andrzeja Dudy miał być to rok politycznej ofensywy prezydenta wokół zmian w konstytucji. Z referendum 11 listopada 2018 r. jako zwieńczeniem prezydenckich ambicji. Tyle że dotąd uznawano za oczywiste, iż referendalną kampanię pociągnie w terenie PiS.

Tymczasem Jarosław Kaczyński już daje do zrozumienia, że nie życzy sobie kaperowania młodych posłów PiS do grona lokalnych pełnomocników do spraw referendum. Znacząca demonstracja miała też miejsce w czasie wizyty prezydenckiego ministra Pawła Muchy w Białymstoku, gdzie miał spotkać się z lokalnymi działaczami PiS. Miejscowi liderzy wyznaczyli jednak spotkanie lokalnego zarządu dokładnie na tę samą godzinę, więc Muchę „przywitały" pustki na sali.

Andrzej Duda wywalczył sobie niezależność i wyrwał się z cienia „Naczelnika". Jednak samodzielność wymaga ciężkiej pracy i budowy własnego, solidnego zaplecza. Jeśli będzie umiał szybko się uczyć, to wywalczy sobie dalsze pola działania. Jeśli zablokuje reformy, to jego urok będzie robił na elektoracie PiS-owskim coraz mniejsze wrażenie. Ogłoszenie prezydenckich ustaw 25 września miało być salwą oznaczającą nowy etap w prezydenturze. Wyszło tak sobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %
polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

NA ZGŁOSZENIA CZEKAMY TYLKO DO 15 PAŹDZIERNIKA

PATRONAT HONOROWY: MINISTERSTWO ROZWOJU, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, PARP, FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, ALIOR BANK, asseco, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

PATRONI MEDIALNI: DO RZECZY, TVP POLONIA

eprasa.pl 87d60c29ab

MACIEJ PIECZYŃSKI: W rozmowie z PAP stwierdził pan, że osłabiona gorszym niż w poprzednich wyborach wynikiem Angela Merkel będzie bardziej skłonna do rozmów z polskim rządem i że łatwiej będzie się z nią porozumieć. Co możemy w takich rozmowach uzyskać?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Przyznaję, że moja teza jest dość optymistyczna. Ze strony polskich kręgów rządowych słyszałem taką prognozę, że Merkel będzie zmuszona uwzględnić postulaty niechętnych wobec Warszawy koalicjantów, którymi najpewniej będą Zieloni i liberałowie, a to oznacza, że pani kanclerz zajmie nawet twardsze niż dotąd stanowisko. Natomiast ja upierałbym się przy zdaniu, że rząd złożony z trzech głęboko różniących się między sobą ugrupowań będzie bardziej otwartym na nas partnerem niż ewentualny gabinet z udziałem socjalistów, zwłaszcza że Zieloni i FDP będą moderowali się nawzajem, by być w koalicji. Przypomnijmy, że choć to SPD była początkowo orędownikiem polsko-niemieckiego zbliżenia i uznania naszych granic, to jednak jest to partia o bardzo silnych powiązaniach z Rosją. Gerhard Schröder nie zniknął przecież z niemieckiej polityki. Wciąż w SPD wysokie pozycje zajmują bliscy współpracownicy tego lobbysty rosyjskich interesów – Steinmeier czy Gabriel… Dzięki temu, że tych polityków nie zobaczymy w nowym rządzie w Berlinie, łatwiej będzie utrzymać twardy kurs wobec Rosji w kwestii sankcji. Może też udać się zablokować Nord Stream 2. Angela Merkel w poprzedniej kadencji podkreślała, że gazociąg północny jest projektem gospodarczym, tym samym dając do zrozumienia, że związki z Rosją nie są dla niej żadnym dogmatem, a jedynie kwestią bieżących interesów. Zieloni i liberałowie, jako koalicjanci CDU-CSU, też zapewne będą zdecydowanie krytyczni.

Czyli Zieloni i liberałowie paradoksalnie staną się sojusznikami Polski?

Oczywiście. Nasz problem z Niemcami polega na tym, że nie mamy tam żadnych trwałych sojuszników, z którymi możemy współpracować na różnych frontach. Możliwe są jednak sojusze taktyczne. Liberałom zdarzało się niepochlebnie wypowiadać na temat sytuacji w Polsce, ale to wynikało raczej z niewiedzy niż z zacietrzewienia. Podczas debaty w Parlamencie Europejskim głosy krytyki pod adresem Schrödera i Nord Stream 2 padały z ust polityków zarówno CDU, jak i Zielonych. Ci ostatni wprost wezwali rząd Angeli Merkel do zatrzymania tego projektu.

FOT. ADAM JAGIELAK/WPROST/EAST NEWS

Stwierdził pan, że słabszy (o 9 punktów procentowych) niż w poprzednich wyborach wynik CDU-CSU nie jest spowodowany sytuacją ekonomiczną – bo gospodarka ma się świetnie – ale krachem polityki imigracyjnej. Merkel zrewidowała swoje podejście w tej sprawie?

Co prawda, pytana o swoje decyzje z 2015 r., kanclerz Merkel zawsze ich broni i nie zamierza otwarcie przyznać się do błędu, ale to tylko słowa – w praktyce już to podejście zmieniła. Już po wyborach mówiła o bezpieczeństwie, o zagrożeniach, o tym, że trzeba odsyłać tych przybyszów, którzy nie dostali w Niemczech azylu. W czasie tej kampanii wyborczej nie padło popularne dwa lata temu hasło: „Herzlich Willkommenskultur". Słowem roku 2017 jest natomiast „Gefährder", czyli „ten, który zagraża". Politykę gościnności wyparło poczucie zagrożenia. Z pewnością też wyniki wyborów, choć częściowo przewidywalne, były jednak dla niemieckiego establishmentu szokiem. Niemcy zdecydowanie dali do zrozumienia, co sądzą o polityce migracyjnej rządu. Straciła więc koalicja rządząca, stracili socjaliści, a wielki sukces odnotowały partie pozaparlamentarne, wchodząc do Bundestagu z trzecim (AfD) i czwartym (FDP) wynikiem. Tego głosu nie da się dłużej lekceważyć.

Może dzięki temu instytucje unijne przestaną atakować Polskę za nieprzyjmowanie imigrantów?

Zdecydowanie. Parę takich ciekawych głosów w naszej obronie wybrzmiało w komentarzach do wyroku Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który odrzucił skargę Słowacji i Węgier w sprawie kwot. Jeden z polityków chadecji, niegdyś bardzo bliski współpracownik Angeli Merkel, stwierdził, że nie można przysłać do Polski uchodźców wbrew ich woli, a także wbrew woli polskiego społeczeństwa, które sobie tego nie życzy. Chyba już wszyscy zdali sobie sprawę, że

eprasa.pl 87d60c29ab

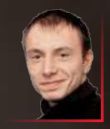

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, europosłem PiS, socjologiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Platforma utożsamia się bardziej z UE niż z Polską

program relokacji nie wypalił. Sami Niemcy przecież wykonali swoje zobowiązania w tym zakresie jedynie w 27 proc. Chociaż to Merkel narzuciła ten kierunek polityki europejskiej, to najpewniej sama ten kierunek całkowicie zmieni.

Mówi się, że Emmanuel Macron ostro krytykuje Polskę w imieniu Angeli Merkel, wypowiadając głośno poglądy, z którymi kanclerz nie chce się afiszować.

Nie zgadzam się z tą tezą. Każdy polityk niemiecki zdaje sobie sprawę z tego, że ostra krytyka pod adresem Polski nie jest korzystna ani dla Warszawy, ani dla Berlina, ani dla Brukseli. Nie zapominajmy, że Macron pochodzi z obozu socjalistycznego, był ministrem w rządzie Hollande'a, że ma swój interes, by w kwestii pracowników delegowanych różnić się z krajami Europy Środkowej. Z pewnością dużo łatwiej byłoby mu się porozumieć z wielką koalicją, utworzoną przez niemieckie partie lewicowe, ale do tego nie dojdzie.

W jakim kierunku pójdzie zatem UE pod wodzą nowego rządu Merkel: „Europa ojczyzn" czy pogłębienie integracji?

To będzie wariant pośredni. Na pewno nie będą realizowane radykalne wizje Macrona. Jeden z dziennikarzy „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung", komentując propozycje rozwoju Unii autorstwa Junckera jako kompromisowe, przy okazji dodaje, że zostały one wygłoszone „po długich konsultacjach z Angelą Merkel". Nie zapominajmy, że tuż po wygłoszeniu rzeczonego przemówienia Juncker odwiedził Berlin. Powstaną zapewne różne instytucje, koordynujące politykę europejską, ale będzie to raczej rozproszenie unijnych władz niż jej wzmocnienie i centralizacja. Trudno sobie wyobrazić, by np. niemiecki minister finansów uznał wyższość ministra finansów UE. Niemiecka suwerenność będzie wzrastać, chodzi o to, by nie stało się to naszym kosztem. Trzeba pamiętać, że niemieckiej potęgi nie byłoby bez Unii. Natomiast na pewno Berlin nie zgodzi się na oddzielny budżet. Jeden z niemieckich polityków już powiedział głośno, że „nie będzie żadnego rurociągu pieniędzy z Niemiec do Francji". Otóż Niemcy obawiają się dyktatu państw południowych, do których zaliczają także Francję. Nie zamierzają pokrywać kosztów restrukturyzacji gospodarek tych krajów. I na tym opieram swój optymizm, jeśli chodzi o relacje Berlin – Warszawa. O ile postulaty Macrona mogą się łączyć z kosztami, o tyle relacje z Polską są źródłem wyłącznie korzyści ekonomicznych.

Co w niemieckiej polityce zmieni AfD? Będzie młotem na polityczną poprawność?

Po tym, jak Frauke Petry, współprzewodnicząca Alternatywy dla Niemiec, odeszła z partii, nie wiadomo, jak długo ugrupowanie to przetrwa i czy nie nastąpią dalsze rozłamy. Tym bardziej że zapewne dojdzie do próby marginalizacji AfD przez system medialny. Tak czy inaczej ta partia reprezentuje poglądy znaczącej części niemieckiego społeczeństwa, do tej pory niesłyszalne w parlamencie. Paradoksalnie AfD przyczyni się do większej demokratyzacji życia politycznego w Niemczech, ponieważ zrobi wyłom w tej postdemokratycznej konsensualnej narracji, w której wszyscy ze wszystkimi się zgadzają, i ożywi debatę publiczną. Na pewno wprowadzi do Bundestagu trochę niepokoju, trochę sporu, ale też trochę autentyczności.

Część polskiej prawicy cieszy się z dobrego wyniku AfD, bo to partia antyimigrancka, konserwatywna. Tymczasem lider formacji, Alexander Gauland, chwali Wehrmacht. Gdy Trump obiecuje, że swój kraj uczyni wielkim, Polacy podziwiają go i zazdroszczą Amerykanom. Jednak gdy to samo o swojej ojczyźnie mówi Niemiec, chyba powinno nam być nieswojo.

Ludzie, którzy dziś tworzą AfD, od lat działają w niemieckiej polityce. Niektórzy byli wcześniej w CDU, np. znana Polakom niemiecka konserwatystka Erika Steinbach. Wszyscy wiemy, jak „zasłużona" to dla relacji niemiecko-polskich postać i czym jest jej konserwatyzm. Również wielbiciel Wehrmachtu, Gauland, przez 30 lat działał w partii Angeli Merkel. Diagnozując sytuację w Niemczech, przenosimy nasze polskie kategorie na

eprasa.pl 87d60c29ab

kraj o zupełnie innej niż nasza kulturze politycznej. Oprócz niechęci do islamskich imigrantów AfD wzbudza sympatie polskiej prawicy z uwagi na swój tożsamościowy, narodowy profil. Trzeba jednak pamiętać, że o ile nasz konserwatyzm nawiązuje do tolerancyjnej, wieloetnicznej tradycji I Rzeczypospolitej, o tyle niemiecki konserwatyzm ma charakter wybitnie, powiedziałbym, biologiczny. Poza tym partia ta w dużej mierze opiera się na niechętnym wobec Polaków elektoracie wschodnich landów Niemiec. Pamiętajmy też, że liderka tej rzekomo konserwatywnej partii należy do mniejszości seksualnej. Prawica w tym wydaniu nie ma więc zbyt wiele wspólnego z wartościami chrześcijańskimi. AfD nie pała też sympatią ani do polskiego katolicyzmu, ani do naszych amerykańskich sojuszników, ani też do naszej idei Trójmorza. Nie oczekiwałbym też, aby politycy tej partii wspólnie z nami obchodzili rocznice wybuchu Powstania Warszawskiego.

znów zapłonie Reichstag. Jednak skrajną postawą jest też zachwyt nad „niemieckimi patriotami", którzy są tacy wspaniali, bo nie lubią establishmentu. Tymczasem np. w sprawie Rosji łatwiej będzie nam siadać do stołu rozmów z Zielonymi niż z AfD.

Przejdźmy płynnie z Niemiec do Polski. Poseł Andruszkiewicz, komentując bojkot prezydenta przez PO, napisał na Twitterze: „PO odrzuca zaproszenie do rozmów w Pałacu Prezydenta Polski. No tak, gdyby pojawiło się zaproszenie od ambasady Niemiec, a to co innego". Trafiony żart?

(śmiech) Bardzo trafiony. To bardzo smutne, że sporą część polskiej elity politycznej stanowią ludzie, którzy nie identyfikują się z własnym krajem. Gdy słuchałem, w jaki sposób politycy Platformy komentowali wybory w Niemczech, miałem wrażenie, że wypowiadają się na temat wyborów we własnym kraju, a Angela Merkel jest ich kandydatem, ich liderem. Platforma Obywatelska

Jeżeli jest jakaś siła, na której wsparcie może liczyć prezydent Andrzej Duda, to jest to wyłącznie Prawo i Sprawiedliwość

Alice Weidel, liderka AfD, nazwała kiedyś przedstawicieli rządu Merkel „marionetkami zwycięskich mocarstw II wojny światowej, które mają za zadanie trzymać w ryzach potulny naród niemiecki". To przypomina niemieckie żale po traktacie wersalskim. Czy porównywanie AfD do NSDAP to histeria?

Pamiętajmy, że AfD to wciąż tylko 13 proc. głosów niemieckiego społeczeństwa. I wcale nie cały ich elektorat ma takie rewizjonistyczne poglądy. Oczywiście jeśli ktoś dziś jest niemieckim patriotą, to można zadać pytanie, do jakiej tradycji świetności kraju się odwołuje, jeśli nie do powojennej RFN. W „najlepszym" przypadku do Bismarcka, choć to też nie brzmi dla nas dobrze. Ja jednak uważam, że partia Gaulanda jest w dużym stopniu partią wilhelmińską. Marzy im się restauracja mocarstwa w środku Europy, jednak
hitleryzm to wciąż w Niemczech temat tabu i żaden tamtejszy polityk, nawet z AfD, nie odważyłby się rehabilitować narodowego socjalizmu. Do skojarzeń z okresem Republiki Weimarskiej odwołuje się głównie lewica, próbując zwrócić na siebie uwagę alarmistycznymi prognozami, w myśl których na dniach

od samego początku tej kadencji Sejmu zachowuje się nieodpowiedzialnie. Ta partia przestała pełnić funkcję polskiej opozycji parlamentarnej. Skoro większość unijnych ataków na Polskę była inspirowana przez polityków PO, to chyba jasne jest, że utożsamiają się oni bardziej z UE niż z Rzecząpospolitą. Utożsamiają się też bardziej z Merkel niż z premierem rządu RP. Pamiętamy, z jaką skwapliwością wybrali się do ambasady niemieckiej na spotkanie z kanclerz Merkel podczas jej wizyty w Warszawie.

Z kolei Ryszard Petru co prawda przyjął zaproszenie prezydenta, ale ostro skrytykował jego propozycje, pouczając głowę państwa, że „konstytucja to nie jest regulamin obozu harcerskiego".

Ryszard Petru przynajmniej wysłuchał argumentów, a potem wyraził swoje zdanie. Natomiast ja również dziwię się, że pan prezydent zaproponował zmianę konstytucji, nie upewniwszy się, czy taka zmiana jest w ogóle możliwa. Co prawda tym samym zdemaskował prawdziwe intencje opozycji, jednak chyba nie o to chodziło, tylko o realną próbę wprowadzenia konkretnych zmian. A tego zabrakło.

Propozycje prezydenta – za niekonstytucyjność – krytykują także politycy PiS: poseł Krystyna Pawłowicz, wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł.

Rozumiem intencje prezydenta. Chodziło o to, by odeprzeć główny, formułowany przez zagranicę zarzut wobec reformy – a mianowicie taki, że jednopartyjna większość parlamentarna sama, bez żadnej kontroli, zadecyduje o zmianach w KRS i SN. Stąd postulat wyboru KRS przez trzy piąte Sejmu, by zapewnić szerszy konsens polityczny. Prawdopodobnie dojdziemy do sytuacji zupełnego pata albo wrócimy do pierwotnych ustaw, przy pewnych modyfikacjach. Rozumiem, że pan prezydent, pod wpływem presji społecznej, chciał zrezygnować z zapisów, które w jego przekonaniu wydawały się niekonstytucyjnym prymatem czynnika politycznego nad sądami. Jednak jego propozycje – podobnie jak krytyka ze strony Komisji Europejskiej – były oparte na nierealistycznej ocenie sytuacji politycznej w Polsce.

A może z wizerunkowego punktu widzenia to dobrze, że prezydent Duda udowodnił chęć dialogu z opozycją?

Minister Łapiński stwierdził, że gdyby nie weta, w SN zasiadaliby już sędziowie z nadania PiS. W domyśle: opozycja powinna podziękować, że tak się nie stało. Jeżeli pan prezydent liczył na wielkoduszność, na lojalność, na wdzięczność opozycji, to już się przekonał, że był w błędzie. I jeżeli jest jakaś siła, na której wsparcie może liczyć, to jest to wyłącznie Prawo i Sprawiedliwość.

Prezydent zaznaczył, że jest otwarty na poselskie propozycje poprawek. Co pańskim zdaniem powinno się znaleźć w końcowym wariancie reformy sądownictwa?

Na pewno trzeba skończyć z panującym obecnie systemem korporacyjnym, w którym sędziowie są wyjęci spod kontroli i sami siebie wybierają, co przecież jest sprzeczne z ideą trójpodziału władzy. Niezbędne są też zmiany personalne. Najlepiej by było, gdyby te zmiany zostały dokonane na możliwie szerokiej podstawie politycznej, wykraczającej poza zwykłą większość parlamentarną. Jednak eksperyment pana prezydenta pokazuje, że to niemożliwe.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEMCY PO WYBORACH – WIĘCEJ NA STR. 70

eprasa.pl 87d60c29ab

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Szokujący wywiad z więźniem niemieckich obozów

Tomasz Stańczyk – **Pogrom polskiego ziemiaństwa**
Mikołaj Iwanow – **Kto zrobił rewolucję bolszewicką?**
Sławomir Cenckiewicz – **Jak uratowano polskie złoto**
Laura Johnston Kohl – **Gujana: szalona sekta samobójców**
Dariusz Szymanowski – **Na tropie grobu „Hubala"**
Piotr Semka – **Lewaccy terroryści mordują**
Piotr Zychowicz – **Kaźń profesorów lwowskich**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA/FORUM

Pięć minut Królikowskiego

Wojciech Wybranowski

Niezależnie od tego, jak skończy się prokuratorskie postępowanie wobec Michała Królikowskiego, najprawdopodobniej na długo będzie musiał zniknąć ze sceny publicznej

W ostatnich miesiącach znów było głośno o Michale Królikowskim, byłym wiceministrze sprawiedliwości w rządzie PO-PSL, uchodzącym za zaufanego człowieka Jarosława Gowina i nawet wśród przeciwników politycznych cieszącego się opinią dobrego prawnika. Na tyle głośno, że wydawało się, iż po kilku latach nieobecności na dużej politycznej scenie zagrzeje na niej miejsce na dłużej. Wszystko za sprawą sporej awantury między Pałacem Prezydenckim – z którym był kojarzony – centralą PiS i Ministerstwem Sprawiedliwości o to, jak ma wyglądać reforma wymiaru sprawiedliwości. Kilka chwil medialnej sławy kończy się dla niego jednak smutno: prokuratorskim śledztwem i dystansowaniem się od niego ludzi, z którymi – jak wiele wskazywało – chciał się związać.

– Nie jest nawet doradcą prezydenta. Znałem go, zgłosił się, aby zaproponować swoje pomysły związane z Sądem Najwyższym. Był jednym z kilku prawników, każdy z nich pracował oddzielnie. Ja zebrałem ich propozycje, a potem przygotowałem ustawy z prawnikami pracującymi w mojej kancelarii – przekonywał prezydent Andrzej Duda w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" pytany o Michała Królikowskiego.

Wśród polityków, zwłaszcza z tzw. obozu dobrej zmiany, słowa prezydenta zostały odebrane dość jednoznacznie: głowa państwa nie chce być już z nim więcej kojarzona. – Nie wiem, czy prezydent wystraszył się, że prokuratorskie śledztwo, w którym pojawia się nazwisko Królikowskiego, może zbyt mocno uderzyć w niego samego, czy rzeczywiście nie był on tak silnie związany z Dudą, jak sam sugerował. Jednak te słowa prezydenta mogą być dla niego jak pocałunek śmierci – mówi nam jeden ze znanych polityków PiS. Inny, który nie ukrywa, że mocno Królikowskiego ceni, dorzuca – nieco ironicznie – „jak widać wdzięczność prezydencka trwa do trzech tygodni".

WEJŚCIE SMOKA. I UPADEK

Powrót Michała Królikowskiego na scenę polityczną praktycznie zaczął się od wywiadu, którego udzielił tygodnikowi „Do Rzeczy" pod koniec lipca. Ostro krytykował w nim m.in. przygotowaną przez resort Zbigniewa Ziobry nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym. – Przewiduje w zasadzie wyłącznie wymianę kadr, która nie rozwiązuje żadnych problemów i jest przeprowadzana w sposób, który budzi zasadnicze wątpliwości. Mnie ten styl oburza – mówił nam Królikowski.

Wywiad odbił się szerokim echem wśród polityków PiS, zwłaszcza tych blisko związanych ze Zbigniewem Ziobrą. Według naszych informatorów niektórzy w resorcie sprawiedliwości uznali to wręcz za wypowiedzenie wojny, a w najlepszym razie za opowiedzenie się w niej po stronie Andrzeja Dudy. Gdy krótko po naszym wywiadzie Radio RMF FM ujawniło, że Królikowski doradza prezydentowi w sprawach „ustaw sądowych", w kuluarach sceny politycznej zaczęto odliczać czas, kiedy zacznie się „szukanie haków", i zastanawiać, czego będą dotyczyć. Zresztą ta chwila zastanowienia nie trwała długo.

Kilka tygodni przed zapowiedzianą datą przedstawienia przez prezydenta Andrzeja Dudę projektów ustaw o KRS i Sądzie Najwyższym w mediach pojawiła się informacja, że Prokuratura Okręgowa w Białymstoku w ramach prowadzonego przez siebie śledztwa bada, jakie są powiązania prof. Królikowskiego ze spółką zamieszaną w proceder wyłudzania VAT. W tej sprawie pewne dziś jest tylko jedno: właściciel firmy wpłacił na konto kancelarii Michała Królikowskiego znaczną kwotę przeznaczoną na depozyt adwokacki za wynagrodzenie i usługi. Prokuratura podejrzewa, że były to pieniądze pochodzące z przestępstwa

eprasa.pl 87d60c29ab

i że być może miały zostać w ten sposób „wyprane". Wiadomo też, że prof. Królikowski, kiedy dowiedział się o tym, sam zablokował depozyt i powiadomił o nim organa ścigania.

Sprawa jednak wywołała olbrzymią burzę w mediach, w których nazwisko Królikowskiego i zwrot „wyłudzanie VAT" odmieniano przez wszystkie przypadki. Osoba z bliskiego otoczenia prawnika mówi nam, że zdarzało się, iż niektórzy dziennikarze, którzy z nim się kontaktowali, pytając o sprawę, dysponowali wręcz informacjami, które ze względu na ich charakter i tajemnicę śledztwa mogły pochodzić wyłącznie z prokuratury. Czy tak było faktycznie – nie wiadomo. Sam Królikowski przekonywał, że w całej sprawie to nie on jest celem. – Myślę, że jestem pionkiem. To, że pionka można przewrócić, to jest jasne. Celem tego całego zabiegu według mojej oceny jest pan prezydent – mówił w rozmowie z RMF FM.

Śledczy zaprzeczają takim zarzutom. Prokurator krajowy Bogdan Święczkowski mówił dziennikarzom, że śledztwo to element wielkiego postępowania przeciw grupie wyłudzającej podatek VAT, a Skarb Państwa mógł na tym procederze stracić co najmniej 700 mln zł. Mówił też, że aferzyści w swoich działaniach wykorzystywali też konta adwokatów. I zapewniał, że wbrew medialnym deklaracjom Królikowski ze śledczymi współpracować nie chciał – miał ponoć odmówić wskazania konta, na którym znajdują się przekazane mu przez podejrzanych pieniądze, wskazania podstaw tych przelewów i przypływów finansowych tak, by mogły one zostać zabezpieczone. Niedawno na polecenie prokuratury Generalny Inspektor Informacji Finansowej zablokował jedno z kont prof. Królikowskiego.

– Dziwi mnie, że nagle znalazł się w oku prokuratorskiego cyklonu. Nie przesądzam jednak, czy prokuratura ma rację, czy nie, zajmując się jego rolą jako adwokata – mówił o całej sprawie prezydent Andrzej Duda w rozmowie z „DGP".

BOLESNA LEKCJA?

Profesor Michał Królikowski, z którym skontaktowaliśmy się w środę, nie chce komentować ani słów prezydenta, ani całej sprawy. Jednak podczas krótkiej rozmowy dało się zauważyć, że znany prawnik jest całą sytuacją mocno rozgoryczony. Gdy mówimy, że wśród polityków przeważa przekonanie, iż na długo wypadnie ze sceny politycznej, stwierdza, że już na nią nie chce wchodzić, bo wydarzenia ostatnich dni skutecznie go z tej chęci wyleczyły.

Rzeczywiście swojej przygody z polityką prof. Michał Królikowski, były dyrektor Biura Analiz Sejmowych, a później zastępca trzech minstrów sprawiedliwości: Jarosława Gowina, Marka Biernackiego i Cezarego Grabarczyka, chyba nie może zaliczyć do udanych. W resorcie sprawiedliwości w rządzie PO-PSL zasłynął z pracowitości, ale jednocześnie – znany z konserwatywnych poglądów prawnik – był przez lewicowo-liberalne media ostro atakowany m.in. za negatywny stosunek do ustawy o związkach partnerskich, wprowadzenia ochrony mniejszości seksualnych czy obronę prof. Bogdana Chazana, gdy ten odmówił pacjentce wykonania aborcji. Atakowali go też politycy PO, Andrzej Halicki sugerował wręcz, że dla takich jak Królikowski nie powinno być miejsca w rządzie Platformy. W listopadzie 2014 r. Ewa Kopacz na wniosek Cezarego Grabarczyka zdymisjonowała Królikowskiego. Od tego czasu poświęcił się pracy w swojej kancelarii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZMIENIASZ PRACĘ? NIE ZAPOMNIJ O SWOICH PIENIĄDZACH.

Union Investment

Zmieniający pracę zostawiają na zapomnianych rachunkach często nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych. Może dotyczyć to nawet 65,4 tys. osób – tyle, według danych KNF, w 2016 roku stanowili bierni uczestnicy PPE. Wśród nich wielu, to właśnie osoby zmieniające pracę. Podpowiadamy co zrobić, aby odzyskać oszczędności.

Grzegorz Drybała
Ekspert ds. Kluczowych Klientów

Każdy, kto zmieniał pracę, nawet jeśli było to kilka lat temu, powinien sprawdzić czy nie zostawił pieniędzy odkładanych na PPE. Można je przenieść na indywidualne konto emerytalne.

Najpierw trzeba koniecznie założyć IKE, żeby zlecić tzw. wypłatę transferową z PPE. Można to zrobić w dowolnej instytucji finansowej, która prowadzi takie konta. *Obecnie umowę o prowadzenie IKE bez problemu zawrzemy online* – mówi Grzegorz Drybała, z Union Investment TFI.

Drugi krok to zlecenie wypłaty transferowej. Trzeba wypełnić w tym celu specjalny, jednostronicowy formularz dyspozycji wypłaty transferowej.

– O pomoc w jego wypełnieniu możemy poprosić doradcę przy zakładaniu IKE – mówi Grzegorz Drybała.

Z potwierdzeniem zawarcia umowy IKE i dyspozycją wypłaty odwiedzamy po kolei byłego pracodawcę i w niektórych przypadkach firmę prowadzącą PPE. Niestety te dwie wizyty zwykle **trzeba załatwić osobiście**.

– Konieczność osobistego załatwienia formalności jest pewnym utrudnieniem, ale perspektywa odzyskania kilku, a nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych jest jednak warta tego wysiłku– mówi Grzegorz Drybała.

Instytucja zarządzająca PPE powinna od ręki przeliczyć, ile jest pieniędzy na naszym rachunku pracowniczym i wystawić potwierdzenie.

I to tyle: pozostaje nam tylko czekać, aż pieniądze wpłyną na nasz prywatny rachunek IKE.

Towarzystwo działa na podstawie decyzji Komisji Papierów Wartościowych (obecnie: Komisja Nadzoru Finansowego) z dnia 1 czerwca 1995 r., nr decyzji KPW-4073-1\ 95. Niniejszy materiał jest upowszechniany w celu reklamy lub promocji usług świadczonych przez Towarzystwo i nie stanowi porady prawnej ani rekomendacji inwestycyjnej. Decyzje inwestycyjne dotyczące inwestowania w fundusze inwestycyjne powinny być podejmowane wyłącznie po zapoznaniu się z Prospektami informacyjnymi funduszy zawierającymi szczegółowe informacje w zakresie: czynników ryzyka, zasad sprzedaży jednostek uczestnictwa funduszy, tabelę opłat manipulacyjnych oraz informacje podatkowe. Prospekty informacyjne, Kluczowe informacje dla Inwestorów, Informacje dla Klienta AFI, tabele opłat, dane o ryzyku inwestycyjnym i podatkach dostępne są stronie www.union-investment.pl. Szczegółowe zasady dokonywania wypłat transferowych regulują w szczególności: Ustawa z 20.04.2004 r. o PPE, Ustawa z 20.04.2004 o IKE oraz IKZE, oraz regulacje programów emerytalnych, w szczególności umowa zakładowa.

eprasa.pl 87d60c29ab

Narobić rabanu

Tomasz P. Terlikowski

Zerwać z kultem „świętego spokoju". Taki obraz programu dla Kościoła w Polsce wyłania się z kolejnych nominacji biskupich papieża Franciszka

Kiedy ponad pół roku temu Franciszek mianował na nowego metropolitę krakowskiego abp. Marka Jędraszewskiego, przez media przeszła fala zachwytu nad konserwatywnym zwrotem w Kościele w Polsce bądź oburzenia (w zależności od tego, z jakiej opcji politycznej wywodził się komentator). Dla jednych było to zerwanie z linią Franciszka, dla innych – dowód na to, że papież rzeczywiście chce głębokiej decentralizacji w Kościele i w związku z tym nominacje biskupie dostosowuje do specyfiki lokalnego Kościoła. Dla jeszcze innych był to dowód na to, że Ojciec Święty został wprowadzony w błąd przez doradców. Jedno było jednak wspólne: zaskoczenie, że uchodzący za liberalnego Franciszek zdecydował się mianować na jedną z najważniejszych stolic biskupich w Polsce hierarchę, który nawet w Polsce uchodził za bardzo konserwatywnego.

Teraz, gdy nowym metropolitą łódzkim został bp Grzegorz Ryś, nadal próbuje się interpretować tę nominację w kluczu politycznym, dowodząc, że po (by użyć języka Lecha Wałęsy) wzmocnieniu prawej nogi Kościoła w Krakowie nadszedł czas na umocnienie lewej w Łodzi. Nie wydaje się jednak, by w tej kwestii klucz polityczny był tym właściwym. Ani bowiem bp Ryś nie jest (wbrew opiniom kolportowanym przez „Gazetę Wyborczą") skrajnym katolikiem otwartym czy liberałem, ani abp Jędraszewski nie jest twardogłowym konserwatystą. Oczywiście są między nimi różnice, ale nie wydaje się, by było ich więcej niż podobieństw.

EWANGELIZATOR I PIELGRZYM

Kiedy „Gazeta Wyborcza" jako pierwsza (swoją drogą akurat to jest symptomatyczne) podała informację o tym, że bp Grzegorz Ryś ma zostać nowym metropolitą łódzkim, natychmiast podniosły się głosy radości, iż oto wreszcie przedstawiciel „katolicyzmu otwartego" został doceniony i wyniesiony do najwyższych godności, że po latach nominowania raczej biskupów bliskich Radiu Maryja nadszedł czas na „franciszkowy zwrot" i wyniesienie do najwyższych urzędów publicysty „Tygodnika Powszechnego", który nie obawia się głosić tez w wielu środowiskach uznawanych za wywrotowe czy niebezpieczne.

I choć oba elementy opisu są prawdziwe, bo bp Ryś jest stałym felietonistą „Tygodnika Powszechnego" i od czasu do czasu wrzuca do debaty publicznej tezy, które wywoływać mogą zrozumiałą polemikę (tak jest z twierdzeniem, z którym kompletnie się nie utożsamiam, że lepiej byłoby przywrócić katechezę w parafiach, bo katecheza szkolna poniosła w ostatnim ćwierćwieczu klęskę), to jednocześnie trudno nie dostrzec, że „Wyborcza" pomija delikatnym milczeniem inne, już mniej wygodne dla lewicy elementy tożsamości kapłańskiej i biskupiej nowego metropolity łódzkiego. Milczy się więc o tym, że jest to człowiek, który od lat uczestniczy we wszystkich lub niemal wszystkich inicjatywach ewangelizacyjnych, że inicjował budowanie nowych form duszpasterskich lub uczestniczył w nim i że ogromną większość swojego czasu poświęca na głoszenie rekolekcji, na ewangelizacje uliczne itd. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta, a udziela jej sam bp Ryś w licznych wywiadach oraz na konferencjach. Otóż świat, który nas otacza, staje się pogański, a to oznacza, że chrześcijanie powinni go zewangelizować.

Nie, nie oznacza to, że biskup nie dostrzega piękna polskiego Kościoła czy że lekceważy to, co jest jego ogromnym bogactwem. – Kościół w Polsce jest bardzo żywy, może żywszy niż gdziekolwiek indziej. Myślę, że nie doceniamy tego. Albo nie chcemy zauważyć – mówił w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego". Jednocześnie jednak wskazywał, że nie wolno zatrzymywać się na tym, co już mamy. „Naszym problemem nie jest nawet to, »jak jest«, ale to, że chcemy to »jak jest« zakonserwować. Aby za wszelką cenę zachować dotychczasowy stan rzeczy" – podkreślał. To zaś jest niemożliwe, bo procesy laicyzacyjne szczególnie wśród młodzieży są już zbyt głębokie, zbyt wielu ludzi odeszło już od Kościoła, a inni pozostali na etapie uśpienia. Ten stan rzeczy wymaga radykalizmu i odwagi, a także nowych form oraz metod duszpasterskich.

KOCHAĆ RADYKALNIE

Radykalizm chrześcijański, i w tej kwestii niewątpliwie bliski jest bp Ryś części środowisk katolicyzmu otwartego (ale przecież nie tylko), nie ma nic wspólnego z partyjną polityką ani obroną wartości w przestrzeni publicznej, ale zanurzony jest w wezwaniu do radykalizmu ewangelicznego. „Znakiem sprzeciwu chrześcijanina jest to, że kocha radykalnie. To w ten sposób staje się dla świata solą w oku. Chrześcijanin głosi Jezusa Chrystusa i życie wieczne, wskazuje pewną koncepcję człowieka – ale to koncepcja pozytywna. W świecie, który jest przeerotyzowany, chrześcijanin będzie świadkiem wartości miłości i małżeństwa oraz tego, że seks nie jest czymś banalnym. Jeśli świat wariuje na punkcie pieniędzy, chrześcijanin też jest znakiem sprzeciwu – o ile wie, czym jest ubóstwo. Jeśli tego nie wie, a gani świat za materializm, to jest co najwyżej chodzącą obrazą boską" – podkreśla biskup.

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. ADAM WOJNAR/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Z lewej: abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski.
Z prawej: bp Grzegorz Ryś, metropolita łódzki FOT. M. LASYK/REPORTER

Kapłanom zaś, choćby w niezwykle mocnym kazaniu podczas święceń franciszkanów konwentualnych, przypominał, by nigdy nie skupiali się na sobie ani tym bardziej by nie pozwalali wiernym stawiać siebie w centrum. „Pokażcie ludziom, że w Kościele chodzi o Chrystusa. Że tak naprawdę On jest ważny, a nie wy. Nie szukajcie siebie samych, swego własnego interesu. Nie przyciągajcie ludzi do siebie. Wtedy będziecie szczęśliwi w kapłaństwie" – mówił do nowo wyświęconych prezbiterów bp Ryś. I dodawał, że jednocześnie muszą oni zawsze dbać o to, by Eucharystia była sprawowana godnie, z szacunkiem, bez nowoczesnych odlotów. „Nie pozwólcie, by ta obecność była pozbawiona szacunku, żeby sprawowano Eucharystię w jakichś lichych naczyniach. Żeby bielizna ołtarzowa była brudna. Nie pozwólcie, aby skrawki papieru, na których jest napisane imię Boga, na których jest wypisane Słowo Boga, walało się gdzieś po ziemi, aby ludzie je deptali, aby lekcjonarz służył za podstawkę pod rzutnik. Nie pozwólcie nigdy na to" – apelował bp Ryś.

Aby takie głoszenie, takie podejście było jednak możliwe, i na to także zwraca uwagę bp Ryś, konieczne jest odkrycie, że powodem, dla którego głosimy wiarę, nie jest kryzys wiary (a ten jest w Polsce zjawiskiem całkiem realnym), ale… doświadczenie osobistego spotkania z Bogiem. „Przekaz wiary to przekaz życia, a nie realizacja programu duszpasterskiego. Nie chodzi o Boga jako o hipotezę tłumaczącą świat, ale o usprawiedliwienie i zbawienie. Dziś ludzie nie myślą kategorią winy, więc nie szukają usprawiedliwienia. Obecnie dominuje kategoria potrzeby, którą trzeba zrealizować" – mówił bp Grzegorz Ryś na spotkaniu zorganizowanym przez Śląski Klub Profesorski, ale zaraz potem dodawał, że nie oznacza to, iż nie mamy mówić o grzechu. „Jeśli nie powiemy ludziom o grzechu, to nie ma co głosić Jezusa Chrystusa. Bo po co?" – konkludował przewodniczący Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji KEP, wskazując, że „nie kryzys uruchamia do przekazu wiary, ale to, że sam nią żyję".

DWIE DROGI DO CELU

Jeśli więc coś charakteryzuje nowego metropolitę łódzkiego, to nie tyle poglądy polityczne czy eklezjalne (choć niewątpliwie on także takie ma), ile przekonanie, że Kościół w Polsce potrzebuje radykalnej strategii ewangelizacyjnej i że nie wystarczy już troska wyłącznie o to, co już mamy. I w tej kwestii abp Ryś mówi bardzo podobne rzeczy jak abp Marek Jędraszewski. Jest jednak jeszcze jedna kwestia, która upodabnia do siebie obu metropolitów. I jeden, i drugi są ludźmi wyrazistymi, którzy nie obawiają się budzić kontrowersji. Jeśli więc widać jakąś spójną linię w nominacjach Franciszkowych, to jest to być może właśnie uznanie, że Polska, a szczególnie polski Kościół, potrzebuje nieco przebudzenia i nieco więcej odwagi w głoszeniu. Czas kultu „świętego spokoju" powoli – miejmy nadzieję – dobiega końca.

Nieco odmienny charakter ma natomiast druga nominacja. Arcybiskup Henryk Hoser, który odchodzi na emeryturę, otrzymał biskupa koadiutora, który od nowego roku zostanie ordynariuszem warszawsko-praskim. W tym przypadku mamy raczej do czynienia z nominacją kontynuacji. Biskup Romuald Kamiński raczej nie stanie się medialnym wojownikiem, lecz skupi się na zarządzaniu diecezją. Taka też jest jego droga życiowa. Na początku kapłaństwa był przez dwa lata wikariuszem, a później przez 10 lat kapelanem kard. Józefa Glempa, by później objąć funkcję kanclerza nowo utworzonej diecezji warszawsko-praskiej. W 2005 r. został biskupem pomocniczym ełckim, by teraz powrócić do swojej starej diecezji, którą współtworzył.

Dlaczego zatem taka decyzja? Wiele wskazuje na to, że w Watykanie stwierdzono, iż konieczna jest lepsza współpraca metropolii warszawskiej i diecezji warszawsko-praskiej, która nie zawsze była prosta, gdy na ich czele stali wyraziści hierarchowie. Teraz tego problemu nie będzie, a jako że w diecezji praskiej specjalistą od ewangelizacji jest biskup pomocniczy Marek Solarczyk, to ordynariusz będzie mógł się skupić na zarządzaniu diecezją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Agnieszka Niewińska

Od butelki wina do oskarżeń o chamstwo. Dowcipy z serialu „Ucho prezesa" mogą być dla polityków trudne do przełknięcia

Ucho z zębami

Liścik z podziękowaniami dla aktora Andrzeja Seweryna i butelka wina – tak wicepremier Jarosław Gowin zareagował na jeden z odcinków nowego sezonu satyrycznego serialu „Ucho prezesa", w którym został sportretowany właśnie przez Seweryna. Tematem odcinka były awantura wokół ustaw sądowych i reakcje obozu rządowego na weto prezydenta. Serialowy Gowin pojawił się przy ul. Nowogrodzkiej z bólami kręgosłupa. Najpierw przekonywał panią Basię – asystentkę prezesa – że choć za ustawami głosował, to się z tego nie cieszył, a w gabinecie prezesa odwraca kota ogonem, twierdząc, że choć się nie cieszył, to jednak za ustawami głosował. Mimo że w odcinku nie brak złośliwości pod adresem wiceministra (np. na temat tego, czy w ogóle ma kręgosłup, czy może tylko dręczą go bóle fantomowe), to sądząc po przesłanych podziękowaniach najwyraźniej na satyryków się nie obraził.

ZŁOŚLIWA RIPOSTA

Wielu polityków obozu rządzącego, bo to oni są głównymi bohaterami satyrycznego serialu, żartami może się poczuć dotknięta. Robert Górski i Mikołaj Cieślak – główni twórcy „Ucha…" – nie szczędzą im złośliwości. Co w obliczu żartów na własny temat powinien zrobić polityk? – Zachowanie ministra Gowina to przykład właściwej reakcji polityka w stosunku do satyry na własny temat. Warto, by pokazał, że ma poczucie humoru i dystans do samego siebie, nawet wówczas, kiedy dowcipem czuje się nieco dotknięty – uważa dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku publicznego. I dodaje, że polityk, który się obraża, nie będzie dobrze postrzegany. – Oczywiście wszystko zależy od rodzaju satyry. Nie ma sensu, by ktoś udawał na siłę, że jakiś program kabaretowy, w którym został sportretowany, mu się podoba. Jeśli natomiast satyra przekracza granice dobrego smaku, to można ją albo ignorować, albo w sposób ironiczny, równie złośliwy, odnieść się do niej – dodaje.

Na prawicy mieliśmy do czynienia z całą paletą rekcji na dowcipy z „Ucha prezesa". Początkowo odniósł się do nich sam Jarosław Kaczyński, zwracając uwagę na kocie sprawy – zaznaczył, że dorosłe koty nie piją mleka, a kocia kita, którą można dostrzec na ekranie, nijak się ma do umaszczenia jego pupili. Dystans do siebie wykazała premier Beata Szydło. – Mogłabym zacząć, cytując klasyka, i powiedzieć: „Przez ostatnich osiem lat…" – mówiła z trybuny sejmowej, wykorzystując frazę, którą jak mantrę powtarza serialowa premier Beata. Tadeusz Cymański, którego jak dotąd w „Uchu…" jeszcze się nie pojawił, powiedział reporterce tygodnika „Polityka", że świetnie odwzorowani zostali czołowi politycy rządu: Mariusz Błaszczak, Antoni Macierewicz, Witold Waszczykowski. Zastanawiał się nawet, czy któryś z twórców nie infiltrował partii rządzącej.

Niektórzy politycy nawet chcieliby wejść do serialowego gabinetu prezesa, a swoją nieobecność tłumaczą tym, że twórcy zapewne mieli problem ze znalezieniem odpowiedniego aktora.

Jednak są reakcje zgoła odmienne. Część polityków PiS albo twierdzi, że „Ucha…" nie ogląda, albo wyrwana do odpowiedzi przez sejmowych reporterów skarży się, że w rzeczywistości za kulisami partii rządzącej jest inaczej niż w „Uchu…": wbrew temu, co widać na ekranie, prezes nie słodzi herbaty, nie je słodyczy, a jego koty są zadbane, więc nie wyłazi im sierść. – Żart jak żart, kpina jak kpina. Wiele jest tam rzeczy zupełnie nieprawdziwych – narzekał zastępca

eprasa.pl 87d60c29ab

Jarosław Gowin posłał wcielającemu się w niego Andrzejowi Sewerynowi (z lewej) butelkę wina. Krystyna Pawłowicz uważa, że jej serialowa parodia to chamstwo FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mariusza Błaszczaka w MSWiA, Jarosław Zieliński. Zdaniem dr. Trzeciaka to jednak nie najlepsza odpowiedź na żartobliwy program. – Nie można programowi kabaretowemu zarzucać, że przedstawione w nim sceny nie pokrywają się w stu procentach z rzeczywistością. Satyra musi być przerysowana, inaczej nie byłaby satyrą – mówi.

SIÓDMY KRZYŻYK

Wszystkich swoją oceną „Ucha…" pobiła jednak posłanka PiS Krystyna Pawłowicz przedstawiona w jednym z odcinków. Pojawiła się przy ul. Nowogrodzkiej, kiedy prezes miał akurat spotkanie z Angelą Merkel, i pobiła się z jej ochroniarzem, demolując kontuar pani Basi. – To zestawienie hejtów lewackich, powiedziałabym: nawet bluzgów – przedstawiła swoje stanowisko w internetowej Salve TV. – Satyra polega na tym, żeby uwypuklić pewne cechy, które człowiek rzeczywiście posiada. Jeśli się dodaje komuś, insynuuje, powtarza takie najbardziej prostackie obelgi, pokazuje starszą kobietę – bo ja już mam siódmy krzyżyk – która się bije, wypina tyłek na wszystkich, to to jest po prostu chamskie i tyle – skwitowała.

W nowym sezonie wspomniany już wiceminister Zieliński doczeka się własnego satyrycznego portretu. W jego postać wcieli się aktor Cezary Żak, który już pochwalił się w Internecie tym, że dołączył do obsady. W odcinkach drugiego sezonu „Ucha…", które od września są dostępne w Internecie, pojawili się minister sprawiedliwości grany przez Krzysztofa Czeczota oraz postać określana jako „PRL-owski prokurator" z Jasła, który jest twarzą zmian w sądownictwie. W tej roli występuje Jerzy Bończak, a obserwatorzy sceny politycznej odnajdują w granej przez niego postaci posła PiS Stanisława Piotrowicza.

– Przyznam szczerze, że nie obejrzałem ani jednego odcinka tego serialu. O tym, że zostałem tam sportretowany, dowiedziałem się od ministra Gowina, bo zdaje się, że obaj pojawiliśmy się w tym samym odcinku – mówi „Do Rzeczy" poseł Piotrowicz. Zaznacza jednak, że w żadnym razie nie jest przeciwny politycznej satyrze. – Ona jest potrzebna, ma za zadanie w lekki sposób zwrócić uwagę na pewne problemy. Jestem zresztą zdania, że trzeba mieć do siebie dystans – podkreśla. I dodaje, że choć nie wszystko, co prezentuje sobą, musi się innym podobać, to z niektórymi uwagami wnikliwych obserwatorów zapewne mógłby się zgodzić. – Uważam nawet, że dobra satyra może wpłynąć mobilizująco na zmianę życia – podkreśla.

KOMÓRKA PETRU

Opozycja, która najbardziej entuzjastycznie zareagowała na pojawienie się „Ucha prezesa", także miała w serialu swoje pięć minut. W jednym z odcinków prezes zaprosił do gabinetu liderów pozostałych partii i radował się odgłosami ich kłótni. – Mam to na komórce, mogę sobie to puszczać. Dobrze zagrane – tak w Radiu Zet Ryszard Petru ocenił odcinek, w którym został sportretowany. Doradzał w nim przewalutowanie kredytu na franki, a przez lidera PO przezywany był „seksturystą". – Obejrzałem pierwszy raz moje wejście do gabinetu i zapytałem znajomych, czy tak naprawdę się zachowuję – opowiadał. Paweł Kukiz zarzekał się, że nie przeklina, tak jak pokazano w „Uchu prezesa", a Grzegorz Schetyna wykręcał się, twierdząc, że to nie on jest najlepiej odwzorowanym politykiem. „Ja najlepszy w »Uchu prezesa«? Nie mam takiego wrażenia. Niezmiennie wygrywa Mariusz" – napisał na Twitterze. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który w „Uchu…" jak zdarta płyta apeluje o spokój oraz zachęca do wspólnej nasiadówki na rżysku przy bańce chłodnego kompotu, obiecanki serialowego Kosiniaka-Kamysza wziął na poważnie. Na wywiad w Radiu TOK FM przyszedł z bańką chłodnego kompotu.

Doktor Sergiusz Trzeciak zaznacza jednak, że nie zawsze polityk musi wyrywać się do komentowania politycznej satyry. Zwraca uwagę, że nieustannie żarty z samego siebie komentuje prezydent USA Donald Trump. – I przynosi to odwrotny skutek do zamierzonego. Im częściej odpowiada publicznie na satyrę odnoszącą się do niego, tym częściej staje się jej obiektem. Trudno jednak sobie wyobrazić, by Trump przestał zabierać głos na temat dowcipów z niego samego, bo to polityk, który nie ma do siebie żadnego dystansu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Łukasz Warzecha

Polskie miasta przynajmniej od dekady ustawiane są pod lewicową ideologię. Mieszkańcom wmawia się, że to jedyny możliwy model rozwoju

Miejskie fiksacje

FOT. FOTOLIA

Patryk Jaki swoją deklaracją na temat tępienia kierowców w polskich miastach wywołał oburzenie niektórych. Pytanie padło przy okazji rozmowy w jednej ze stacji radiowych o ewentualnym kandydowaniu wiceministra sprawiedliwości na prezydenta Warszawy. Tymczasem Jaki trafił w dziesiątkę. Władze miast nawet nie kryją, że kierowcy stali się dla nich kimś w rodzaju obywateli drugiej kategorii. Ich potrzeby są uwzględniane w ostatniej kolejności, choć do wspólnej kasy wkładają więcej od innych. Tak się dzieje w Warszawie, Łodzi, we Wrocławiu, w Poznaniu, Krakowie. Standardem jest likwidowanie na potęgę miejsc parkingowych, które nie są zastępowane płatnymi i odpowiednio dużymi parkingami. Standardem są przywileje dla rowerzystów, wciskanie kontrapasów rowerowych nawet na bardzo wąskie ulice, poszerzanie chodników kosztem jezdni, wytyczanie nowych buspasów.

Pierwszeństwo przed mieszkańcami miast – niekoniecznie zmotoryzowanymi – mają imprezy biegowe, przejazdy rolkarzy czy rowerzystów. Bo to nowoczesne, rozrywkowe i mamy się z tego cieszyć. A kto się nie cieszy – tego problem.

Władze miast dostają wsparcie w postaci rządowych planów. Przygotowywana w Ministerstwie Rozwoju ustawa o partnerstwie publiczno-prywatnym podniesie radykalnie limit opłat za parkowanie w centrach miast. Tam, gdzie dziś płacimy ok. 3 zł za godzinę, zapłacimy nawet 12 zł. Czyli będzie to podwyżka o 400 proc. Powracają także pomysły prawnego usankcjonowania zakazu wjazdu do centrów miast starszych samochodów, niespełniających najnowszych norm emisji spalin. Wszystko to zgrywa się z utopijnym rządowym programem elektromobilności.

ANTYSAMOCHODOWI SZALEŃCY

Uzasadnienie dla takich zmian jest zawsze to samo: „Miasta są dla ludzi, nie dla samochodów". Na te ostatnie nie ma miejsca, a miasto, w którym ludziom żyje się dobrze, to takie, gdzie aut jest mało, chodniki są szerokie, a ludność przemieszcza się na rowerach, względnie – transportem publicznym. Ta argumentacja wygłaszana jest ex cathedra, jakby była niepodważalnym dogmatem. Tymczasem to arbitralnie narzucona, neoludyczna wizja z mocną ideologiczną podbudową, od lat lansowana szczególnie mocno przez „Gazetę Wyborczą". Wspierają ją rozmaici wędrowni hochsztaplerzy, kreowani na wybitnych guru urbanistyki, tacy jak Gil Penalosa z kanadyjskiej organizacji 8-80 Cities. Ten antysamochodowy kaznodzieja, niemający pojęcia o polskiej rzeczywistości, w 2016 r. nauczał w Warszawie: „Musicie uwolnić chodniki od samochodów. One są do chodzenia, a nie do parkowania".

„GW" i partie w rodzaju marginalnych Zielonych czy Razem wspierają rozmaite organizacje miejskie. To w sumie niewielka grupa, ale – paradoksalnie – znacznie prężniejsza niż rozproszeni kierowcy, dlatego jej głos słychać donośniej. Gdy miasta otwierają głosowania nad budżetami partycypacyjnymi, antysamochodowi szaleńcy nierzadko kamuflują swoje pomysły pod niebudzącymi podejrzeń nazwami. Tak było w przypadku słynnego projektu zwężenia kluczowego ciągu ulic na warszawskim Ursynowie, który został przedstawiony jako „budowa ścieżki rowerowej wzdłuż ulicy". Szczęśliwie projekt udało się zablokować dzięki akcji zdroworozsądkowego stowarzyszenia Nasz Ursynów.

Lewica ma od dziesięcioleci swoje ideologiczne fiksacje. Jedną z nich jest ekologia, pojmowana jako bezwarunkowy sprzeciw wobec zjawisk nieodłącznie związanych z rozwojem cywilizacji. Tutaj wszystko się łączy: nienawiść do wielkich koncernów i przemysłu, infantylne marzenia o mieście ogrodzie, bez samochodów, za to z rowerkami i wielkimi parkami oraz skłonność do arbitralnego narzucania ludziom swoich pomysłów. Dochodzi do tego obsesyjna niechęć wobec indywidualnego transportu samochodowego. Jest ona ściśle związana z tym, że samochód jest pierwszym i jak dotąd jedynym szybkim środkiem transportu, dającym pojedyn-

eprasa.pl 87d60c29ab

czym osobom poczucie swobody i wolności, czyli to, czego lewica boi się najbardziej. Wolność wiąże się i z szybkością przemieszczania się, i z możliwością indywidualnego planowania podróży. Nie daje jej ani powszechny indywidualny transport innego rodzaju (np. rower), ani tym bardziej transport publiczny. Dla polskiej lewicy wielkim problemem jest to, że Polacy motoryzacją istotnie się zachłysnęli po 1989 r. Stąd próba wpojenia wspomnianej arbitralnej wizji miasta: „Nie dla samochodów, ale dla ludzi". Tak jakby samochody były indywidualnymi organizmami.

Z CZYM TA WOJNA?

Przykładem narzucanej arbitralnie tezy jest piętnowanie zjawiska urban sprawl. To tendencja do wyludniania się centrów miast na korzyść przedmieść, co z kolei owocuje koniecznością codziennego dojeżdżania do pracy mas ludzi. „Musimy zadbać, żeby centra miast stały się przyjazne ludziom!" – grzmi lewica. I twierdzi, że w tym celu trzeba wprowadzić opisywane wyżej zakazy, nakazy i restrykcje, zamieniające miasta w ogrody, a wówczas ludzie poczują się w nich jak na przedmieściach i skończy się proces wyludniania.

Dlaczego jednak właściwie urban sprawl ma być uznawany za coś, z czym trzeba walczyć? Konserwatysta, w odróżnieniu od lewaka, widzi większość procesów jako naturalne, a nie jako wrogie zjawiska, z którymi koniecznie trzeba walczyć. Po pierwsze – upodobanie do „domku z ogródkiem" może być całkowicie autonomiczne wobec sytuacji w centrach miast. W Polsce proces urban sprawl zaczął się jeszcze w latach 90. i nie był związany z sytuacją w centrach. Po prostu zalążkowa klasa średnia kupowała większe domy i mieszkania tam, gdzie było ją na to stać i gdzie było miejsce. Po drugie – ludzie podejmują świadome decyzje. Decydując się na mieszkanie pod miastem, decydują się też na codzienne dojazdy. Coś za coś. Jeżeli dojazd autem z powodu tłoku stanie się nieopłacalny, to podejmą kolejne decyzje – albo o przeprowadzce bliżej centrum, albo o korzystaniu z transportu publicznego. Jednak będzie to ich własna, niewymuszona decyzja, nie zaś wynik działań społecznych inżynierów, uszczęśliwiających ludzi na siłę. Jeśli zaś mieszkańcy przedmieść mają chęć stać godzinami w korkach, ale za to we własnych autach, to także ich decyzja.

Dogmatycy miast według lewicy nie biorą pod uwagę lokalnych warunków i specyfiki. Przykładem jest absurdalne wręcz uprzywilejowywanie ruchu rowerowego w Polsce, gdzie – przy już niezwykle korzystnych przepisach i bardzo gęstej sieci ścieżek – na co dzień z roweru jako środka komunikacji korzysta nikła liczba mieszkańców. Badanie z 2016 r., przeprowadzone w Warszawie, pokazało, że rower jest stałym środkiem transportu dla niespełna 4 proc. ludzi. Samochód – dla ponad 38 proc. Jednak to ze względu na 4 proc. ogranicza się prawa blisko 40 proc. Jeszcze w 2013 r. obliczano, że wytyczanie pasów rowerowych na warszawskich wąskich ulicach w centrum będzie oznaczać likwidację 4,7 tys. miejsc parkingowych. I to w kraju, gdzie czas między listopadem a marcem jest martwym sezonem rowerowym. Zaprzysięgli „pedalarze" chcieliby jednak zmusić Polaków do poruszania się rowerami, przytaczają więc nieśmiertelny przykład Kopenhagi, gdzie ludzie zasuwają na rowerach również zimą. Nie przyjmują do wiadomości, że skłonność do korzystania z tego czy innego środka transportu determinują nie tylko propaganda czy infrastruktura, lecz także mentalność (upodobanie do indywidualizmu), demografia (liczba rodzin z dziećmi, konieczność robienia większych zakupów), sytuacja mieszkaniowa (liczba osób mieszkających daleko od miejsca pracy), rozległość miast.

To samo dotyczy często przywoływanego „prawa" Lewisa-Mogridge'a. Słowo „prawo" należy wziąć w cudzysłów, nie jest to bowiem zasada, która przeszła proces naukowej weryfikacji, ale position (tak owe „prawo" określane jest w angielskiej literaturze), czyli jedynie „założenie". Założenie to sprowadza się do stwierdzenia, że budowa kolejnych dróg nie rozładuje korków, bo i tak pojawią się one za sprawą kierowców zachęconych perspektywą szybszego dojazdu.

Sęk w tym, że ani Lewis (Kanadyjczyk), ani Mogridge (Brytyjczyk) nie brali pod uwagę wspomnianych wyżej lokalnych uwarunkowań, a swoje doświadczenia oparli na obserwacjach z własnych krajów. Tymczasem wzorce zachowań, które mogą się sprawdzać w Kanadzie czy Anglii, nie muszą wcale sprawdzać się w Polsce. Na przykład obsianie Warszawy buspasami powinno było – zgodnie z tezami Lewisa i Mogridge'a – zmniejszyć liczbę aut wjeżdżających do miasta, ale wcale tak się nie stało.

O prymacie ideologii nad zdrowym rozsądkiem świadczy wiele przykładów. Likwidacja miejsc parkingowych ma zniechęcić kierowców, tymczasem zamiast tego generuje dodatkowy ruch i zanieczyszczenia. Sam szef stołecznego Zarządu Dróg Miejskich Łukasz Puchalski (zresztą poprzednio pełnomocnik rowerowy ratusza, co samo w sobie jest kpiną) przyznał kilka miesięcy temu, że kierowcy krążący po centrum w poszukiwaniu miejsca parkingowego odpowiadają nawet za 20–30 proc. ruchu. Odpowiedź ratusza? Likwidacja kolejnych miejsc.

Inny przykład to wprowadzenie do kodeksu drogowego rozwiązań teoretycznie mających sprzyjać rowerzystom, a w istocie groźnych i dla nich, i dla kierowców. Należą do nich rowerowe kontrapasy (w zatłoczonych miastach często zastawiane przez niemających gdzie parkować kierowców) czy prawo do wyprzedzania samochodów na skrzyżowaniu po prawej stronie, co byłoby może bezpieczne, gdyby kierowcy skręcający w prawo mieli oczy z tyłu głowy. Jednocześnie rowerzystów traktuje się jak święte krowy – nie nakłada się na nich żadnych ograniczeń. W Polsce rower na przejazdach rowerowych zawsze ma pierwszeństwo – również tam, gdzie kierowca mimo najszczerszych chęci nie jest w stanie się upewnić, że nie dojdzie do kolizji. W innych krajach w takich sytuacjach na ścieżkach pojawiają się znaki „stop" lub „ustąp pierwszeństwa".

Bywa, że ludzie – gdy mogą – sprzeciwiają się urzędniczej inżynierii. Warszawski ratusz chciał zmodernizować ul. Frycza Modrzewskiego. Miał na to pomysł zgodny z ideologicznymi wytycznymi: drzewka, trawniczki, ławeczki. Konsultacje z mieszkańcami nie pozostawiły na tym projekcie suchej nitki: ludzie zażądali zamiast tego miejsc parkingowych.

Nie wiadomo, czy Patryk Jaki będzie kandydował w wyborach samorządowych w 2018 r. na prezydenta stolicy. Gdyby jednak startował z mocnym przesłaniem zakończenia ideologicznego ustawiania miasta pod lewackie koncepcje, nie byłby bez szans. Niedawne badanie pokazało, że – przy zmasowanej antysamochodowej propagandzie – za dalszymi ograniczeniami w ruchu aut jest wprawdzie 49 proc. mieszkańców, ale przeciw – aż 46 proc., przy czym ograniczenia wspierają głównie bezrobotni i starsi, a więc ci, którzy nie muszą się sprawnie przemieszczać. Byłby też pierwszym kandydatem na prezydenta dużego miasta, który ośmielił się przełamać urbanistyczną polityczną poprawność. A taki trzeźwiący głos jest bardzo potrzebny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Andrzej Horubała

Nagle szok: nie najlepsza, topornawa „Reakcja łańcuchowa" Jakuba Pączka, budująca drastyczny mit pokolenia Czarnobyla, uświadamia mi, że to festiwal moich dzieci i że świat, o którym opowiadają, który z gniewem krytykują, wyszydzają, to świat stworzony przez moją generację

Nasze biedne dzieci i ich

No tak, rocznik 1986, złopiących płyn Lugola, rocznik Czarnobyla to przecież rówieśnicy mojej najstarszej córy. Tych sygnałów, że opowiadany jest świat widziany oczyma moich dzieci, jest na festiwalu całe mnóstwo, nie trzeba koniecznie sięgać do biogramów reżyserów, by poczuć się nieswojo, wystarczy spojrzeć na obsadę. Magdalena Cielecka jako matka Jakuba Gierszała (w filmie „Najlepszy") czy też Andrzej Chyra jako jego odnaleziony ojciec (w obrazie Urszuli Antoniak „Pomiędzy słowami") dobitnie pokazują, że wchodzi nowe pokolenie i ci młodzi to już pokolenie moich dzieciaków.

Lament nad nimi i światem, który postrzegają jako groźny, nieprzyjazny, wyzbyty mocnych punktów oparcia, światem, jaki im zafundowaliśmy, jest dominantą moich wrażeń z Gdyni. Tak, tu już nie ma mowy o korekcie spojrzenia, nie ma spierania się, że to nie tak, że inaczej należałoby opisać współczesność. Nie poradzisz nic: one tak widzą świat. Świat, jaki zafundowało im pokolenie JP2, świat, jaki dostali od ludzi Solidarności.

Różnicę w postrzeganiu rzeczywistości niezdarnie wypowiada dialog z „Reakcji łańcuchowej", gdzie ojczym tłumaczy rozpieszczonemu, zepsutemu dobrobytem młodzieńcowi: „Za moich czasów brało się ślub, żeby razem było cieplej pod kołdrą, kiedy wyłączą prąd. Żeby mieć dzieci, których wnuki, a może prawnuki za jakieś sto, dwieście lat, doczekają, aż komunizm zdechnie i będą mogły być szczęśliwe". Na co spotyka się z gniewną odpowiedzią: „Tylko że wy w tej waszej pierdolonej komunie mogliście mieć chociaż nadzieję, że kiedyś będzie lepiej… Nam nic nie zostało do obalenia i jak widzisz, cały czas jest do dupy".

Faktycznie jest do dupy i większość filmów młodych twórców brzmi jak rozpaczliwy skowyt. Takiemu odczuciu sprzyja rzecz jasna festiwalowy sposób wchłaniania filmów. Oglądane w dawce przekraczającej możliwości percepcyjne, po kilka dziennie, nie są w stanie samodzielnie wybrzmieć, a przecież niektóre wymagałyby kilku dni rezonowania, odbijania się, wchłaniania i trawienia, więc mieszają się z sobą, przenikają, motywy łączą się w ciągi, filmy nawiązują z sobą dialog czasem polemiczny, częściej komplementarny.

Oto pierwsza komunia z fantasmagorycznego obrazu Jagody Szelc „Wieża. Jasny dzień", w którym ksiądz atakowany przez ciemne siły nie jest w stanie wypowiedzieć formuł liturgicznych, miesza się z tym samym świętem z niedopuszczonych do konkursu głównego „Dzikich róż" Jadowskiej, w którym też okazuje się pustym rytuałem. Kapitalna Marta Nieradkiewicz omdlewa tam, tworząc jakby echo wobec chorobliwych zachowań w „Wieży". A małe dziewczynki w obu filmach nie chcą przystępować do swej pierwszej komunii i nikt nie jest w stanie wytłumaczyć im sensu sakramentu i święta. Owszem, matka w „Wieży" podaje jakieś argumenty, ale to wszystko wiotczeje pod wpływem mrocznych mocy rozpętanych przez oszalałą siostrę. Podstawowe rytuały okazują się niezdolne do przeniesienia duchowych doświadczeń naszego pokolenia.

KRÓLUJĄ ALKOHOL I PRZEMOC

W nagrodzonej Złotymi Lwami dołującej „Cichej nocy" Piotra Domalewskiego Wigilia stanowi echo „Wesela" Smarzowskiego. Najważniejsze okazują się deale związane z gospodarstwem dziadka, które ma być sprzedane holenderskiemu biznesmenowi. Królują alkohol i przemoc.

Matce – jedynej dbającej o ciągłość tradycji – udaje się skłonić rodzinę do wysłuchania Łukaszowej dobrej nowiny: „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz…". Ale lektura Ewangelii wieńczona jest lekceważącym „amen" zniecierpliwionych biesiadników czekających na wódkę. I przecież nawet matka jest wypalona. Wysłuchuje życzeń („Mamuś… Żebyś wytrzymała jakoś z tymi popaprańcami") składanych przez syna, który wpadł na święta Bożego Narodzenia z Holandii, by ostatecznie pożegnać się z Polską i wyemigrować wraz z żoną i dzieckiem. Załamana żali się: „Ja nic innego w życiu nie robiłam, tylko was miałam. Ja się stara-

eprasa.pl 87d60c29ab

„Atak paniki" Pawła Maślony to najciekawsza z gdyńskich propozycji
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

łam. Chyba zagranica nam życie zniszczyła i tobie też zniszczy".

Buńczuczne zapewnienia syna (grający bez jednego fałszywego akcentu Dawid Ogrodnik), że jest inny niż ojciec, który dzielił życie na zarabianie na saksach i krótkie wizyty w domu, i plany, by zabrać żonę z dzieckiem i rozkręcić biznes w Holandii, zostaną boleśnie przez życie wyszydzone.

Więzi rodzinne przestają być czymś, do czego można się odwołać. Jeśli w rodzinach nie króluje przemoc fizyczna, to są one podminowane katastrofą, związaną z przemilczaną prawdą („Wieża"), zdradą („Cicha noc", „Dzikie róże", „Atak paniki", „Reakcja łańcuchowa"), kłamstwem („Atak paniki", „Reakcja łańcuchowa"). I dotyczy to wszystkich generacji.

Młodzi wątpią, a od starszych odbierają albo lekcję cynizmu (przerysowana matka celebrytka w „Reakcji łańcuchowej"), albo niezdarny i budzący politowanie pokaz zmagania się z własnymi słabościami. Arkadiusz Jakubik w „Cichej nocy" jako ojciec alkoholik, który próbuje zerwać z nałogiem i odbudować relacje z dziećmi, jest wpośród korowodu osób z generacji rodziców jedną z jaśniejszych postaci. Dawny gastarbeiter, który „zostawił zdrowie na niemieckiej budowie", a nieobecny w domu nie uczestniczył w wychowaniu synów, teraz próbuje odrobić wszystko i w najmłodszej córeczce lokuje swe rodzicielskie ambicje i nadzieje na odzyskanie straconego czasu. Kasia, którą tatuś wozi raz w tygodniu na zajęcia, gra na skrzypcach, niemiłosiernie fałszując, tytułową kolędę „Cicha noc", a reżyser przez chwilę za pomocą magii montażu, podkładając pod jej rzępolenie czyste wykonanie utworu zdaje się pokazywać, że cud jest możliwy. Ale to tylko przez chwilę.

Ciemne barwy, od których zaczyna się film, dominują i rzeczywiście w nagrodzonej Złotymi Lwami „Cichej nocy" próżno szukać jakiejkolwiek otuchy. Domalewski, jak wielu przed nim, maluje beznadziejny obraz rzeczywistości. W jego świecie, zdominowanym przez alkohol i biedę, rozpamiętuje się dawne czasy pozornej świetności, ogląda starą elektronikę przywożoną kiedyś z saksów i budzącą zachwyt całej wsi, śmieje się wciąż z tych samych rubasznych dowcipów wujaszka i coraz bardziej pijanego dziadka, a kolejne godziny rozwiewają marzenia matki o pierwszych normalnych świętach. Jest jak zawsze: wódka, awantury, bełkot.

Nie wiem, jak traktować przesłanie Arkadiusza Jakubika, ojca alkoholika, który podsumowując swą drogę życiową, mówi: „Wiesz, dlaczego się bałem tak tej zagranicy. Bo jak tam jechałem, to myślałem, że właśnie tam, za granicą, będę się mógł czuć człowiekiem, a nie tym Polakiem. Ale po latach dotarło do mnie, że właśnie tam jestem najbardziej Polakiem. A tylko tutaj w Polsce mogę być człowiekiem. Po to jest ten kraj, żebyśmy mogli się tutaj czuć ludźmi".

Ale przecież bycie człowiekiem tu, w Polsce, na prowincji, nie wydaje się w oczach reżysera nazbyt interesującą propozycją. Młodzi ludzie po studiach skazani na groszowe zarobki ulegają niszczącej patologii, by w końcu zaakceptować rozpoznanie: „Dla ludzi takich jak my czasy są zawsze takie same. Chujowe".

Emigracja rzeczywiście nie jest w oczach filmowców żadnym rozwiązaniem. Pokazują to „Dzikie róże" Jadowskiej, gdzie bohaterka krzyczy w twarz swojemu mężowi: „Ty przyjeżdżasz na tydzień, a potem wyjeżdżasz i ciebie nie ma. Ciebie tu nie ma!".

Problem emigracji podjęty zostaje także w niezwykłym filmie Urszuli Antoniak „Pomiędzy słowami". Obraz tworzącej na co dzień w Holandii reżyserki z wyżyłowanymi do bólu, do granic kiczu i pastiszu zdjęciami, gdzie aż chce się bić brawo i śmiać przy pokazywaniu kolejnych kadrów (nagroda za zdjęcia dla Lennerta Hillegego), z kapitalnym Jakubem Gierszałem jako Polakiem robiącym karierę prawnika w Berlinie, Polakiem przepięknym, będącym ucieleśnieniem snu o kandydacie do Hitlerjugend – nordyckim blondynkiem w obcisłym garniturku, nieskazitelnym, mówiącym bez akcentu, idealnym polskim produkcie eksportowym na rynek niemiecki, jest także intelektualnie ostrym jak brzytwa laboratoryjnym studium dotyczącym złudzeń o integracji. Kapitalne jest spotkanie wymuskanego Gierszała z ojcem, który go porzucił w dzieciństwie: w tej roli kapitalnie słowiański, pozornie wyluzowany Andrzej Chyra, który niezdarnie próbuje ofiarować synowi swą życiową mądrość ekspunka, by w końcu na odchodne za uwolnienie od swego towarzystwa zadowolić się kwotą 2 tys. euro. W tym wysmakowanym do bólu, choć miejscami bardzo dowcipnym filmie (scena oglądania „Czterech pancernych" z niemieckim dubbingiem. Gierszał w roli tłumacza rozmowy swego szefa z ojcem), bez względu na ideologiczne zamiary reżyserki, przekaz, że Polak tam, na Zachodzie, zawsze będzie poniżej Niemca, a nieco powyżej Murzyna, kapitalnie współgra z kwestiami wypowiadanymi przez Arkadiusza Jakubika.

WĄTPLIWY WERDYKT JURY

Ponurej „Cichej nocy" przeciwstawić można „Atak paniki" Pawła Maślony – dla mnie najciekawszą z gdyńskich propozycję opowiadania o współczesności. Podbudowana, owszem, rozpaczą i poczuciem niepewności, komedia składająca się z kilku równolegle prowadzonych wątków, znajdujących swoje rozwiązanie w kapitalnym finale, pełna świetnych obserwacji obyczajowych i humoru, pokazuje, jak magia kina może na chwilę oswoić niepewny świat. Jak z rozpaczy można wydestylować śmiech i olśnić opowiadaniem. Doskonała obsada realizuje precyzyjny scenariusz.

W doborowej stawce znaleźli się: słusznie nagrodzona za rolę drugoplanową zagadująca swoje cierpienie i samotność Magdalena Popławska, a do tego spieczony na czerwono od egipskiego słońca Artur Żmijewski z Dorotą Segdą jako małżeństwo wracające z wczasów w Hurghadzie oraz Bartłomiej Kotschedoff w roli będącego w tarapatach synusia, sterującego przez telefon matką Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik prowadzącą grę na jego komputerze. No i jest jeszcze grana przez Aleksandrę Pisulę jej ukochana córeczka, dorabiająca internetowymi seansami porno, nagle w otoczeniu rozszczebiotanych psiapsiółek, oraz Julia Wyszyńska jako histeryczna panna młoda marząca o niuejdżowym porodzie.

eprasa.pl 87d60c29ab

Inteligentny, pełen świetnych spostrzeżeń film sytuujący się powyżej półki z komediami romantycznymi, nie został niestety należycie uhonorowany nagrodami. Oblig środowiskowy, każący wyróżniać takie gnioty jak „Ptaki śpiewają w Kigali" czy „Pokot", spowodował, że werdykt jury po raz kolejny budzi spore wątpliwości.

Nagrodzenie pretensjonalnego, szantażującego poważną problematyką rozmemłanego filmu państwa Krauze, który daleko odszedł od precyzyjnych conradowskich opowiadań Albińskiego, będących pierwotną podstawą scenariusza, czy też wyróżnianie za reżyserię pokracznego „Pokotu" Agnieszki Holland i jej córki, które zaślepione ideologią najwyraźniej nie wyczuły niezamierzonej śmieszności książki natchnionej Olgi Tokarczuk, spowodowało, że znów nagrody nie odzwierciedlały fenomenu kolejnego gdyńskiego przeglądu (przypomnijmy, że w zeszłym roku przy głównych nagrodach pominięto „Wołyń" Wojtka Smarzowskiego).

No tak, ale przecież premier niewypałów w głównym konkursie było o wiele więcej.

Horror na obozie harcerskim – „Czuwaj" Roberta Glińskiego, niezdarne połączenie „Władcy much" i „Wakacji z duchami", po którym brat wicepremiera ma chyba do końca życia przegwizdane u członków ZHP i ZHR (jeśli nie skreślili go już po „Kamieniach na szaniec").

„Twój Vincent" – nudny, intrygujący może przez pierwsze minuty film – z potężnym budżetem, ogromem włożonej pracy, z kompletnie drewnianym scenariuszem, w żadnej mierze nieoddającym wielkości i tragizmu Van Gogha.

„Zgoda" Macieja Sobieszczańskiego, film który miał łamać tabu obozów koncentracyjnych na ziemiach polskich po II wojnie światowej, a okazał się popisem niezręczności reżysera, bez powodzenia próbującego naśladować genialnego „Syna Szawła" László Nemesa. (Przed projekcją Sobieszczański wyznał, że debiutuje tak późno, bo zajmował się wykładaniem sztuki filmowej na różnych wyższych uczelniach, zgroza!).

No i jest jeszcze jeden film prawie pominięty w werdykcie jury – laureat nagrody publiczności – film Łukasza Palkowskiego – „Najlepszy". Film wzorowany na najlepszych hollywoodzkich schematach: opowieść o dźwiganiu się bohatera z upadku i zwycięstwie nad własną słabością. Oparty na autentycznej historii Jerzego Wójcika, narkomana, który dzięki morderczemu treningowi zwyciężył w amerykańskich zawodach triatlonowych podwójnego Ironmana, razi uproszczeniami.

W nagrodzonej Złotymi Lwami dołującej „Cichej nocy" Wigilia stanowi echo „Wesela" Smarzowskiego FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niezwykły film Urszuli Antoniak „Pomiędzy słowami" olśniewa wysmakowanymi kadrami FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Wieża. Jasny dzień" to niepokojący debiut wybitnie uzdolnionej Jagody Szelc FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CO ZOSTANIE PO GDYNI?

Palkowski po raz kolejny pokazuje, że jest w stanie tworzyć kino popularne, ale trzymanie się podręczników scenariopisarstwa, które uwierało mnie już w „Bogach", ta gramatyka filmu wywalona na wierzch, tutaj miejscami każe aż wyć z bólu. Jednowymiarowe sceny pozbawione smaczków, konsekwentnie wypełniające drabinkę scenariuszową, oczywisty aż do żenady podkład muzyczny: najpierw „Born to Be Wild", potem już Doorsi wymieszani z Dżemem, brak zróżnicowanego drugiego planu (dość powiedzieć, że sam Janusz Gajos obsadzony w roli Marka Kotańskiego z zabawną kitką nie ma najmniejszego pola do popisu, tak zostaje przykrojony do schematu). I wszystko do tego robione jakby na pół gwizdka, po łebkach.

Gierszał, czy to oklejony przez charakteryzatorkę strupami, czy to trenujący do morderczych zawodów, nie jest dość przekonujący. Zdecydowanie to nie jest aktor z amerykańskich promosów, który jest w stanie cały sezon podporządkować jednemu filmowi. Opowieści o drakońskiej diecie czy niezwykłym wysiłku lub też o wielomiesięcznym obserwowaniu patologii zdecydowanie nie brzmiałyby wiarygodnie w ustach naszego gwiazdora. Nie budzi ani litości i przerażenia jako zdegenerowany wyniszczony młodzieniec, ani też później uznania dla hektolitrów potu wylanych na bieżni czy siłowni.

Nad wszystkim jakby zbyt lekko się przelatuje, mając zaufanie do hollywoodzkich schematów. I rzeczywiście – na koniec wzruszenie jakoś tam się udziela, a film objawia swą pozytywną motywacyjną moc, ale do poczucia pełni jeszcze daleko. (Owszem, kończony w pośpiechu na festiwal, będzie jeszcze podlegał jakimś montażowym szlifom, ale wydaje się, że nie do końca usatysfakcjonuje kinomanów kibicujących utalentowanemu Palkowskiemu).

Cóż więc zostanie po Gdyni? Na pewno „Atak paniki" Pawła Maślony (premiera niestety dopiero w styczniu 2018), na pewno niepokojący debiut wybitnie uzdolnionej Jagody Szelc, kapitalnie pokazującej podminowaną rodzinę – „Wieża. Jasny dzień", wysmakowane kadry z filmu Urszuli Antoniak „Pomiędzy słowami" i świetne zderzenie Gierszała z Chyrą… No i – choć mało odkrywcza, jeśli idzie o paletę barw – „Cicha noc" Piotra Domalewskiego. Do tego jeszcze kapitalna zabłąkana Marta Nieradkiewicz z niedopuszczonych do konkursu głównego „Dzikich róż" Anny Jadowskiej i może parę konceptów Bodo Coxa z wtórnawej dystopii (Polska roku 2030 – uwaga, dobra wiadomość dla zwolenników PiS – wciąż pod rządami kobiety z broszką) – „Człowiek z magicznym pudełkiem".

To wbrew pozorom wyjątkowo sporo, tym bardziej że filmy te wchodzą z sobą w dialog, wzajem naświetlają się, prezentując niezwykle sugestywny obraz niepokojów młodego pokolenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Historie z zachodniego wschodu

Jednym z rozwojowych projektów IAM jest program „Polska Design". Na zdjęciu: marka Confashion z wystawy „TEXTURA. A Polish Touch" na London Design Festival 2017 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Bojańczyk

Polska kultura za granicą promuje się już nie zespołem pieśni i tańca, ale awangardową sztuką, modą, designem, architekturą

Uważam się za patriotkę, nie tylko taką od sprzątania po psie, mam nawet flagę w ogródku, co niektórzy uznają za wykwit chorego nacjonalizmu. Natomiast dęcie w patriotyczne trąby jako sposób na promocję Polski za granicą uważam za nieskuteczne. Anglojęzyczny spot o historii naszych porażek, który w celach promocyjnych zrealizował IPN i który przedstawia Polskę jako tragiczną ofiarę historii, ocieka wprost martyrologią. Niestety, nasze cierpienia i porażki mało kogo obchodzą.

Instytut Adama Mickiewicza wydaje się również zdania, że tym, co najlepiej reklamuje kraj, jest teraźniejszość. Ciekawe wydarzenia kulturalne, sztuka, muzyka, kino. Podkreślał to dyrektor, Krzysztof Olendzki, na konferencji prasowej, na której przedstawiono kierunki rozwoju promocji polskiej kultury za granicą w roku 2018. Nawiasem mówiąc, pan Olendzki, który w ogniu krytyki zastąpił Pawła Potoroczyna na stanowisku szefa IAM i którego opozycja nazwałaby zapewne PiS-owskim nominatem, jest zaprzeczeniem wizerunku prawicowego janusza – wykształcony, elegancki, obyty w świecie, znający języki. A to w przypadku człowieka na tym stanowisku również ma znaczenie...

„Pokażmy na świecie polską awangardę. Polska ma dużo do powiedzenia w nowych kierunkach, takich jak sztuka nowych mediów, moda, design, architektura" – mówił dyrektor.

Jak to zrobić? Film, teatr, muzyka – wiadomo. Jednak trzeba pokazywać się tam, gdzie do tej pory byliśmy nieobecni: na wystawach, festiwalach, tygodniach mody, designu.

Nasi projektanci wiosną pokazali się na Fashion Week w Londynie, gdzie poznańska School of Form zgarnęła nagrodę dla najlepszego kuratora wystawy „Waste Not" o ekologicznym, oszczędnym projektowaniu. Na holenderskim tygodniu designu w Eindhoven, który ogląda 350 tys. zwiedzających, 28 polskich projektantów najmłodszego pokolenia demonstrowało swoje pomysły na przedmioty codziennego i publicznego użytku. Od butów z recyklingu do grającego instrumentu ulicznego dla przechodniów. W Mediolanie na Triennale Design chwaliliśmy się osiągnięciami naszych uczelni artystycznych. Do polskiego pawilonu waliły tłumy. Kiedy piszę te słowa, w Londynie prezentują się nasz projektant Michał Szulc i polskie tkaniny – bez wsparcia instytucjonalnego raczej nie byłoby to możliwe.

Ekspansja do krajów starej Europy wydaje się najbardziej prestiżowa; przez nasze kompleksy czujemy się wiecznie niedocenieni przez salony Zachodu. Ponadto ten właśnie obszar przez wielu uważany jest za dotknięty swego rodzaju martwicą kulturalną – mówi się, że nowe, żywe prądy wieją teraz z Azji. A kto wie, czy także nie od nas, z Europy Wschodniej, gdzie buzują fermenty? I to jest właśnie nowy kierunek aktywności IAM – Europa Wschodnia, Stany Zjednoczone, Kanada. W Azji nowym kierunkiem będzie Wietnam.

Analogowe dziewczynki w krakowskich strojach oraz występy zespołów pieśni tańca jako folklor polonijny były fajne (widziałam kiedyś wspaniały występ zespołu Śląsk w Princeton), ale dzisiaj kultura stawia na cyfrę. Sztuka nowych mediów, teatr wykorzystujący nowe technologie, muzyka eksperymentalna, film, gry komputerowe. Narzędziem coraz częściej wykorzystywanym stają się podcasty, cyfrowe audycje radiowe, do pobrania w dowolnym czasie i miejscu. Jeden z nich, seria „Stories from the Eastern West", znalazł się na liście najczęściej pobieranych podcastów.

Tematowi kultury cyfrowej poświęcona była międzynarodowa konferencja Digital Cultures, która odbyła się w lipcu w Warszawie. Eksperci z Europy, Azji i ze Stanów Zjednoczonych, specjaliści od technologii, artyści, twórcy gier rozmawiali o roli nowych mediów w kulturze. Muzea narracyjne, interaktywny storytelling, interaktywne dziennikarstwo, archiwizowanie Internetu – o tym rozmawiano... Kto zrozumie? Kultura staje się terenem coraz bardziej nasyconym technologicznie.

Bardziej swojsko brzmi projekt „Do It Yourself", zaprezentowany na festiwalu Copenhagen Maker. Artyści tworzą prace wykonane z przedmiotów codziennego użytku. Mało kto pamięta, że u zarania tego pomysłu leży program Adama Słodowego z lat 60., w którym pan inżynier pokazywał, jak zrobić coś z niczego. W Kopenhadze artysta wizualny Janek Simon zrekonstruował niektóre projekty Słodowego.

Bramą otwierającą cudzoziemcom nowoczesną Polskę jest portal Culture.pl. Fajny, ciekawy. I nie ma tam przegranych bitew ani wylanych łez.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Z Grzegorzem Rogowskim, autorem książki „Skazane na zapomnienie. Polskie aktorki filmowe na emigracji”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zamknięte oko kamery

Aktorka i tancerka Lena Żelichowska pracowała w USA w zakładzie kosmetycznym FOT. NAC

eprasa.pl 87d60c29ab

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Żadnej z opisywanych w książce aktorek nie powiodła się kariera artystyczna w USA. Powodem była bariera językowa?

GRZEGORZ ROGOWSKI: Nie tylko. Tamara Wiszniewska, przypływając do Stanów Zjednoczonych, znała już dość dobrze angielski. Lena Żelichowska i Nora Ney szybko się go nauczyły na miejscu. Problemem był na pewno silny słowiański akcent. Niemniej nie język stanął na drodze moim bohaterkom do kariery w USA. To one same porzuciły takie plany, nie chcąc zaczynać wszystkiego od nowa. Inna kwestia, że zagraniczni artyści, nawet renomowani, rzadko kiedy wpadają w oko hollywoodzkiej kamery.

Jedna z bohaterek książki osiągnęła w USA sukces... gastronomiczny.

Janina Wilczówna ciężką pracą zaoszczędziła z mężem nieco pieniędzy i mogła pozwolić sobie na wynajęcie sporej restauracji w Dallas. Był to wówczas [koniec lat 40. – przyp. red.] najelegantszy przybytek kulinarny w mieście. Cieszył się renomą i popularnością nie tylko pośród wytrawnych smakoszy. Nazywał się Old Warsaw, serwował potrawy kuchni polskiej. Janina zatrudniała wielu Polaków, nie tylko znajomych aktorów, np. przedwojennego amanta Mieczysława Cybulskiego, lecz także uciekinierów z załóg polskich transatlantyków cumujących w amerykańskich portach.

Ojciec Tamary Wiszniewskiej był Ukraińcem, trafił nawet do Berezy Kartuskiej. Miało to wpływ na jej działalność zawodową?

Jej tatę uwięziono w tym obozie ze względu na sprzyjanie separatystom – był redaktorem ukraińskich gazet w Łucku. Nie odbiło się to jednak na karierze jego córki. Były to nieco inne czasy. Gwiazd filmowych nie indagowano o wszystko. Panował kult prywatności.

Najbardziej egzotyczne, chociaż krótkie, życie przypadło w udziale Lenie Żelichowskiej.

W 1939 r. wyszła za mąż za znanego portrecistę Stefana Norblina. Jej wielką karierę przerwała wojna. Przedostała się z mężem do Rumunii, a dalej do Iranu i Indii, gdzie małżonek wykonywał malowidła w pałacach maharadżów. Wiodło im się wtedy nie najgorzej. Tam też urodził się ich syn, Andrzej. Z uwagi na niebezpieczne choroby (dziecko zapadło na malarię i ledwo przeżyło) rodzice zdecydowali się przenieść do USA. Osiedli w San Francisco. W 1952 r. Stefan, który nieuchronnie tracił wzrok, odebrał sobie życie. Lena pracowała w zakładzie kosmetycznym. Zmarła sześć lat później na nagły atak serca. Miała zaledwie 48 lat.

Nora Ney z kolei dożyła wieku sędziwego i chyba najlepiej odnalazła się na emigracji.

Nie powiedziałbym, ponieważ przez całe życie na obczyźnie wisiał nad nią brak stabilizacji finansowej. Imała się różnych zajęć, by zapewnić córce dobre wykształcenie, co się udało. Pracowała w charakterze opiekunki osób starszych, gosposi, w końcu archiwistki. W życiu osobistym też niezbyt się jej wiodło. Dopiero czwarte małżeństwo okazało się trwałe. Jej córka, pracująca w amerykańskiej kinematografii, znała Stanleya Kubricka i usiłowała zwrócić jego uwagę na swoją mamę. Skończyło się na ofercie statystowania w jakiejś produkcji. Ney miała wystąpić przed kamerą w... futrze z norek, ale nie było jej stać na zakup tak kosztownej kreacji, toteż w rezultacie na plan nie dotarła.

REKLAMA

REBIS

Zapraszamy do salonów empik i na empik.com

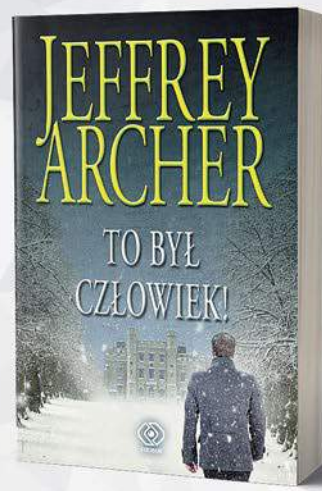

Siódmy – ostatni! – tom bestsellerowych „Kronik Cliftonów".

Mroczna podróż w świat kryminału łącząca to, co najlepsze w klasycznej i współczesnej literaturze sensacyjnej.

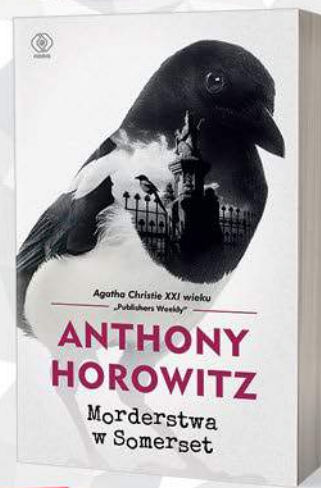

Książka, nad którą Umberto Eco pracował do ostatnich chwil życia.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

www.rebis.com.pl FB/DWREBIS

eprasa.pl 87d60c29ab

Tamara Wiszniewska nie mogła wrócić do komunistycznej Polski ze względu na działalność męża w AK FOT. NAC

Do Polski wróciła jedynie Jadwiga Smosarska. Dlaczego jednak tak późno? Inne nie chciały czy nie mogły?

Chciała wrócić Wiszniewska, lecz ze względu na działalność męża w Armii Krajowej w czasie wojny nie mogła tego zrobić. W 1979 r. przyjechała więc jej córka. Tamara była już wówczas ciężko chora i nie była w stanie pojechać tak daleko. Wszystkie moje bohaterki bardzo tęskniły za Polską, ale kochały ją na odległość. Wiedziały, czym jest komunizm. Nie odważyły się przyjechać nawet po odwilży stalinowskiej w 1956 r. czy liberalizacji w dekadzie gierkowskiej.

Smosarska była wyjątkiem. Wielokroć przyjeżdżała do Polski, a w 1970 r. przeprowadziła się tu na stałe. W kupionym w wieżowcu u zbiegu ulic Dworkowej i Puławskiej mieszkaniu nie zdążyła jednak zamieszkać.

Jadwiga Smosarska jako Alicja Horn w jednej ze scen filmu „Prokurator Alicja Horn", 1933 r. FOT. NAC

Czy w II RP mogłyby zrobić karierę aktorki o nazwiskach, dajmy na to: Figura, Mucha, Kuna, Socha czy Gruszka?

W kinie przedwojennym karierę, tak jak dziś, mógł zrobić każdy. Niewiele się zmieniło w mechanizmach show-biznesu. Należało tylko obrać właściwy szlak. Mogły być to znajomości, mógł to być talent. W istocie liczyła się determinacja, by znaleźć się na srebrnym ekranie. W międzywojniu artyści o pospolitych nazwiskach właściwie jednak rzeczywiście nie zaistnieli. Stąd tak wiele pseudonimów.

Dwie z opisywanych pań miały operatywnych małżonków – współwłaściciela najpopularniejszego dziennika II RP oraz właściciela najsławniejszego dancingu międzywojnia. Jak im się wiodło w USA? Czym się zajmowali?

Władysław Mikosz, mąż Wiszniewskiej – od roku 1939 szef Adrii – pracował na początku emigracji jako dozorca w budynku YMCA w Rochester. Następnie znalazł zatrudnienie w fabryce bindującej książeczki czekowe. Starał się nauczyć języka angielskiego, ale nigdy nie posługiwał się nim płynnie. Nie dowiedziałem się, co robił na obczyźnie Mieczysław Dobija. Na pewno jednak nie powrócił na – używając współczesnej terminologii – rynek medialny. A w II RP należał do ścisłego kierownictwa „Ilustrowanego Kuriera Polskiego".

Janina Wilczówna kariery aktorskiej za oceanem nie zrobiła, ale z powodzeniem prowadziła restaurację FOT. NAC

Zabrakło mi w książce sylwetki Marii Bogdy.

Niestety, książka ma ograniczoną przestrzeń. Jest jeszcze wiele aktorek, które żyły na emigracji i nigdy nie wróciły do filmu. Mimo mojej wielkiej chęci zajęcia się ich losami musiałem dokonać pewnej selekcji. O Marii Bogdzie wspominam jednak przy okazji Wilczówny, w której teksańskiej restauracji znalazła zatrudnienie, zresztą wraz z małżonkiem Adamem Brodziszem. Wyemigrowali po roku 1956. Zapewne zdegustowani tym, że powojenny film polski ich ignorował.

Znaczna część filmów z udziałem bohaterek publikacji zaginęła. Istnieje jeszcze szansa na ich odnalezienie?

Oczywiście. Pracuję jako filmograf w Filmotece Narodowej – Instytucie Audiowizualnym (FINA) i zajmuję się właśnie m.in. poszukiwaniem zaginionych tytułów. Nośniki cały czas się znajdują i trafiają w nasze ręce. Dopiero co otrzymaliśmy z Instytutu Sikorskiego w Londynie olbrzymią przesyłkę taśm z filmami, co prawda nie zaginionymi, lecz już wiemy, że kopie te znacznie uzupełnią ubytki w obrazach, które do tej pory były bardzo niekompletne. Takich jak chociażby „Prokurator Alicja Horn" z doskonałą rolą Smosarskiej.

Warszawskie adresy „Skazanych na zapomnienie" przetrwały?

Nie wszystkie. Nadal stoi bardzo oszczędny w detalu dom Wiszniewskiej przy ul. Stępińskiej. Zachowały się w nim interesująca klatka schodowa i oryginalne przedwojenne drzwi do kilku mieszkań. Wciąż istnieją też wszystkie adresy Zofii Nakonecznej. Do dziś ogromne wrażenie robi luksusowa willa Smosarskiej, ulokowana na Wierzbnie. Dzisiaj mieści się tam przedszkole.

Zamierza pan teraz śledzić losy polskich aktorów za Atlantykiem (np. Stanisława Sielańskiego, Mieczysława Cybulskiego, Konrada Toma)?

Przedwojenny film i teatr, a także tematy emigracyjne są mi szczególnie bliskie. Myślę, że prędzej czy później zajmę się tymi artystami, tym bardziej że materiałów nazbierałem „po drodze" dość sporo. A ponieważ nie lubię chować informacji do szuflady, myślę, że taka książka z pewnością powstanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grzegorz Rogowski – filmolog, publicysta, pisarz. „Skazane na zapomnienie. Polskie aktorki filmowe na emigracji" jest jego drugą książką, wcześniej wydał tom pt. „Pod polską banderą przez Atlantyk. M/s »Piłsudski« i M/s »Batory«. 8 dni niezapomnianej podróży".

eprasa.pl 87d60c29ab

WYJĄTKOWY KONCERT

Gintrowski

– a jednak coś po nas zostanie...

11 GRUDNIA
GODZINA 20.00
TEATR POLSKI W WARSZAWIE

WYSTĄPIĄ:
GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA,
RENATA PRZEMYK, OLA GINTROWSKA,
JULIA GINTROWSKA, MIETEK
SZCZEŚNIAK, MUNIEK STASZCZYK,
PAWEŁ KUKIZ, KRZYSZTOF KILJAŃSKI,
ANDRZEJ SEWERYN
ORAZ 30 - OSOBOWA ORKIERSTRA
POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

BILETY DO NABYCIA:
KASA GŁÓWNA TEATRU
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6
ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00
SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA
WYŁĄCZNIE
NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 31 PAŹDZIERNIKA
POD ADRESEM: **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

WSPÓŁORGANIZATOR: FINA

MECENAT KONCERTU: PGNiG, LOTOS

PARTNERZY WYDARZENIA: LOTTO

PATRONI MEDIALNI: wprost, Rzeczy, TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: Classic

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Straszny sen muzealnika

★★★★★☆

REŻ. RUBEN ÖSTLUND
„THE SQUARE"
SZWECJA/DANIA/FRANCJA/NIEMCY 2017

wyst. Claes Bang, Elisabeth Moss, Dominic West

Gdyby ironia mogła zabijać, pod kinami wyświetlającymi „The Square" dyżurowaliby przedstawiciele firm pogrzebowych. Jakiś czas temu Polskę obiegła wieść o smutnym losie instalacji artystycznej, która – umieszczona w miejskim parku – zardzewiała i zarosła krzakami, aż w końcu jakiś poczciwiec odstawił ją do punktu skupu złomu.

W filmie Östlunda integralność ekspozycji pt. „Nie masz nic" zostaje brutalnie naruszona przez sprzątacza. Nabijanie się ze sztuki, zwanej nowoczesną, chwały nie przynosi, bo przypomina kopanie leżącego. Szwedzki reżyser wziął więc na celownik ludzi, którzy z tej sztuki żyją.

Kuratorzy i artyści mądrze brzmiącym bełkotem maskują nicość tego, co mają do pokazania. „Przyjaciele muzeum" na wyścigi gnają do stołów z jedzeniem. Dziennikarze zamiast zadawać pytania, wygłaszają ideologiczne manifesty (albo rzucają się na sensacje). Młodzi narwańcy z agencji reklamowych nie cofną się przed żadnym idiotyzmem, byle tylko zwiększyć „klikalność" i osiągnąć upragniony „efekt wiralowy". Przekonanie, że sztuka potrzebuje kontrowersji, a twórca, który chce być zauważony, musi szokować, zderza się ze skandynawską poprawnością polityczną. I łatwo przewidzieć, kto w tej kolizji ucierpi bardziej.

Ambicje Östlunda sięgają jednak znacznie dalej niż przekonanie widzów, że największymi artystami są złodzieje, którzy w brawurowy sposób pozbawiają dyrektora sztokholmskiego muzeum komórki i portfela. Ludzi kultury przedstawia jako oderwanych od życia pięknoduchów, może nawet hipokrytów, nie odmawia się im jednak intuicji. Tytułowy „Kwadrat", wystawa, będąca oczkiem w głowie wspominanego dyrektora, mimowolnie odsłania olbrzymi deficyt zaufania. Deklaracje rozmijają się z rzeczywistością. Nikt nie rwie się do pomagania bliźnim w potrzebie. Wszechogarniająca tolerancja doprowadziła do zobojętnienia. Źle się dzieje w państwie szwedzkim. Jednak czy tylko tam?

Sekwencję z człowiekiem małpą, rozrabiającym na przyjęciu dla sponsorów, najchętniej bym z filmu wyciął. Chociaż efektowna, to niczego nie wnosi, nie ma też żadnych fabularnych konsekwencji. Można by pomyśleć, że to koszmarny sen bohatera albo wyraz podświadomego lęku przed Rosją (małpolud nazywa się Igor Rogozin). W każdym razie Östlund idzie śladami Buñuela. Hiszpański maestro też znajdował przyjemność w mnożeniu absurdalnych sytuacji i dręczeniu ludzi ze świecznika.

„The Square" ma już na koncie Złotą Palmę, teraz aspiruje do Oscara. Amerykańscy akademicy musieliby się jednak wspiąć na szczyty snobizmu, by nagrodzić film, który ze snobów sobie dworuje. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BLADE RUNNER 2049"

Ridley Scott powraca do swego mrocznego arcydzieła z 1982 r., ale tylko jako producent, bo do reżyserii zabrał się Denis Villeneuve, autor najlepszego od lat filmu SF „Nowy początek". Młodego poszukiwacza replikantów (tytułowego blade runnera, czyli w polskiej wersji oryginału „łowcę androidów") gra Ryan Gosling, ale w filmie pojawi się także bohater pierwszego filmu – Rick Deckard grany przez Harrisona Forda. ***Piotr Gociek***

- ***„Blade Runner 2049", reż. Denis Villeneuve, wyst. Ryan Gosling, Harrison Ford, Ana de Armas, Jared Leto, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Twój Vincent", reż. Dorota Kobiela, Polska/Wielka Brytania 2017***
- ***„Wszyscy moi mężczyźni", reż. Hallie Meyers-Shyer, USA 2017***
- ***„Fantastyczna kobieta", reż. Sebastián Lelio, Chile 2017***
- ***„Ciao Italia!", reż. Pif, Włochy 2016***

eprasa.pl 87d60c29ab

Cesarz odchodzi

Kiedy ludzkość ci zbrzydła, wzrusz się stworzeniami, które mają skrzydła. U pingwinów skrzydła pełnią raczej funkcję płetw, ale poza tym wszystko się zgadza. Są wytrzymałe, wierne i przewidywalne – przeciwnie do większości przedstawicieli gatunku homo sapiens. Na lądzie mogą wydawać się niedołężne, lecz w krystalicznie czystej (choć lodowatej) wodzie przeżywają metamorfozę – stają się szybkie i zwinne. Potrafią nawet pływać stylem grzbietowym.

Ich komiczny potencjał wykorzystali autorzy teledysku ilustrującego „Oxygene (Part 4)" Jeana-Michela Jarre'a.

W oscarowym „Marszu pingwinów" Luc Jacquet postawił je na piedestale. Kontynuacji tego filmu bliżej do dokumentu przyrodniczego. Francuz unika epatowania brutalnością matki natury oraz natrętnej propagandy ekologicznej. Tytułowy cesarz ma już 40 lat, ale zanim abdykuje, zostanie po raz kolejny ojcem.

Przez cztery miesiące, przy siarczystym mrozie i szalejącej wichurze, będzie się opiekował jajem, wystawiając się śmierć z głodu i pragnienia.

Kto by pomyślał, że w tak niegościnnym zakątku świata jest tyle życia? Setki pingwinów maszerujących w tym samym kierunku robią wrażenie, najbardziej jednak zaskakuje to, że Lambert Wilson okazał się lepszym lektorem niż Piotr Fronczewski. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. LUC JACQUET
„MARSZ PINGWINÓW 2: PRZYGODA NA KRAŃCU ŚWIATA" („L'EMPEREUR")
FRANCJA 2017

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TATA Z KOSMOSU POWRACA

★★★★☆☆

REŻ. JAMES GUNN
„STRAŻNICY GALAKTYKI VOL. 2"
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Chris Pratt, Zoe Saldana, Dave Bautista, Kurt Russell

Po sukcesie pierwszego filmu poprzeczka ustawiona była wysoko. „Strażnicy Galaktyki" pokazali, że filmy o superbohaterach nie muszą być napuszone – była to przede wszystkim łobuzerska, przygodowa, zabawna ekstrawagancja na kosmiczną skalę. W części drugiej niespodziewanie pojawia się zaginiony ojciec Petera Quilla (głównego bohatera pochodzącego z Ziemi). Drużynę, której główną atrakcją jest gadający szop, dosięgną też stare kłopoty – zemsta okradzionych klientów (była to wyjątkowo wpływowa obca rasa) i zainteresowanie ze strony kosmicznych piratów (Ravengers). W tle oczywiście znów pobrzmiewa muzyka z lat 70. W szerszym planie dla całego kinowego uniwersum Marvela najważniejsze są rewelacje na temat prawdziwego pochodzenia Quilla, których pełne konsekwencje ujrzymy w części trzeciej – ma wejść na ekrany w roku 2020. Dla miłośników dawnych gwiazd kina akcji parę smaczków – na ekranie sporo Kurta Russella plus odrobina Sylvestra Stallone'a.

TAJEMNICE PEWNEGO MIASTECZKA

★★★★☆☆

REŻ. JEAN-MARC VALLÉE
„WIELKIE KŁAMSTEWKA"
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Reese Witherspoon, Nicole Kidman, Shailene Woodley

Zaczyna się od gwałtownej śmierci. Jednak kto zginął? Wypadek czy zabójstwo? Jeśli to drugie, to kto zabił? Rzecz dzieje się w pięknym kalifornijskim miasteczku i dotyczy życia trzech kobiet: Madeline, Celeste i Jane. Te dwie pierwsze to najlepsze przyjaciółki i postaci wyglądające z początku jak bohaterki soap opery – ładne, zamożne, z pięknymi rodzinami, gadające w kółko o dzieciach albo o ciuchach. Nowa w okolicy Jane jest wycofana, kryje w sobie tajemnicę. Samotnie wychowuje syna. W rolach głównych Reese Witherspoon, Nicole Kidman, Shailene Woodley i to już wystarcza, by zwrócić uwagę na ten dramat obyczajowy z elementami kryminału. Głównie o kobiecych kłopotach. Bohaterki są w walce ze swoimi demonami samotne, a jedyne wsparcie, na jakie naprawdę mogą liczyć, to dobrosąsiedzka „girl power". ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „BATTLEFIELD 1" – „W IMIĘ CARA"

★★★★★☆

„Battlefield 1", której akcja rozgrywa się podczas I wojny światowej, to nawet bez dodatków sieciowych jedna z najlepszych gier FPS ostatnich lat. Z polskiego punktu widzenia szczególnie najnowsze z rozszerzeń – „W imię cara" – zasługuje na szczególną uwagę. Dlaczego? Ponieważ po raz pierwszy na taką skalę możemy wziąć udział w starciach wojsk austro-węgierskich z carską Rosją na terenach obecnej Polski, np. bijąc się w malowniczej Przełęczy Łupkowskiej. Dodatkowo otrzymujemy m.in. efektowne starcia podczas ofensywy Brusiłowa, nowe rodzaje broni i pojazdy, a także możliwość udziału w bolszewickiej rewolucji.

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *DICE/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 87d60c29ab

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Szkatułki z Tyrolu

Z ciekawością, ale i dużymi nadziejami przypatruję się poczynaniom Państwowego Instytutu Wydawniczego, od początku tego roku, już oficjalnie, państwowej instytucji kultury kierowanej przez dr. Łukasza Michalskiego. Czekając nie tylko na nowe, znaczące tytuły światowej literatury czy, szerzej, humanistyki, lecz także na wznowienia, bo naprawdę grzechem byłoby nie skorzystać z gigantycznego dorobku tej oficyny. Dorobku uszczuplonego wprawdzie minionymi laty o prawa do edycji ważnych w historii PIW tytułów, wciąż jednak imponującego.

Długo nie trzeba było czekać, bo oto do księgarń dotarły sztandarowe tytuły znakomitej „ceramowskiej" serii: czwarte wydanie „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego" Edwarda Gibbona i druga edycja „Upadku Cesarstwa Rzymskiego" tego samego autora, evergreeny powstałe w XVIII (!) stuleciu. W zapowiedziach zwracają uwagę książki Eliadego i polskich pisarzy: Białoszewskiego i Choromańskiego, ale największą radość sprawił mi PIW wznowieniem powieści, która wydana swego czasu (1972), w innym przekładzie zresztą, z miejsca znalazła sobie niemałe wcale grono miłośników, urzeczonych tyleż treścią, ileż formą tego dzieła wprost nawiązującego do tradycji powieści szkatułkowej i nasuwającego oczywiste porównania zarówno z „Rękopisem znalezionym w Saragossie", jak i z „Dekameronem".

Jak wyliczono, w tej debiutanckiej powieści tyrolskiego pisarza (urodził się w 1934 r. w Bolzano, a zatem we Włoszech, następnie mieszkał w Monachium – do 1943 r., gdy przeniósł się do dziadków, do austriackiego Tyrolu, znów przyjechał do Monachium, w Niemczech pracował i przebywał do roku 1997, by na koniec życia powrócić do Tyrolu Południowego, nadal włoskiego, i tam umrzeć w roku 2012) znalazło się aż 17 opowieści, z których każda zasługuje na odrębną książkę. A są wśród nich prawdziwe perły, takie jak historia o łowieckiej wyprawie na ziejącego ogniem smoka, dzieje miłości przeżywanej w Wenecji w epoce Don Juana oraz „negatywna opowieść wigilijna". Dodajmy do tego nieprawdopodobnie komiczne dialogi, więcej niż interesujące dywagacje muzyczne (Herbert Rosendorfer był nie tylko świetnym prozaikiem, lecz także komponował, malował, a przez całe swoje dorosłe życie pracował, po studiach prawniczych, jako sędzia w Monachium, Bayreuth i Naumburgu) oraz dominujący nad tym wszystkim klimat zagrożenia totalną katastrofą zwiastującą koniec naszego świata.

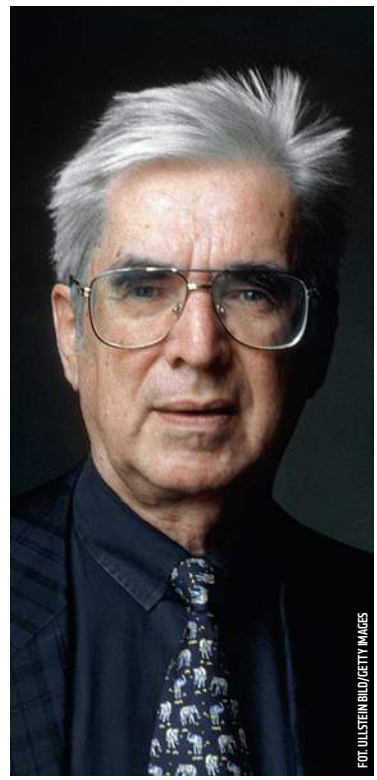

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Jak wyliczono, w tej debiutanckiej powieści tyrolskiego pisarza znalazło się aż 17 opowieści

„Budowniczy ruin", sam w sobie będący wirtuozerskim popisem pisarskim, przynosi też – co akcentuje w posłowiu Adam Lipszyc – rozważania o samej naturze opowiadania i jej związkach z narracyjną strukturą życia. Mirandolina, jedna z powieściowych postaci, konstatuje: „Żadna z historii w rzeczywistości nigdy się nie kończy […], każda jest tylko cząstką większej historii i składa się z opowiadanych i przemilczanych mniejszych historii. A w każdej z nich, czy się chce, czy się nie chce, opowiada się bezsłownie także wszystkie cienie innych. Dlatego tak już jest: skoro się raz, jeden jedyny raz opowiedziało jakąś historię, która jest tylko oczkiem sieci tej wielkiej opowieści, skoro się wyzwoliło jedną historię, to ona człowieka już nie puści, trzeba opowiadać dalej. A ponieważ samemu jest się historią, jak każde życie, staje się człowiek historią".

Otóż to. Umberto Eco w powieści „Baudolino" kazał tytułowemu bohaterowi łgać bez opamiętania, zachęcając go do pogrążania się we wszechogarniającym kłamstwie. Było ono piękne i to stanowiło wystarczający mandat uprawomocniający wyssaną z palca fabułę. W „Budowniczym ruin" fantazja przemieszana jest z realnym życiem, a że w rezultacie nie jesteśmy wcale pewni, co w tej powieści jest rzeczywiste, a co nie, świadczy to jedynie o mistrzostwie narracji i skali talentu autora. ©℗

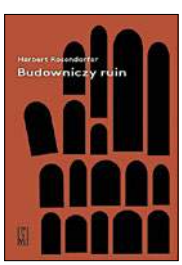

★★★★★★

HERBERT ROSENDORFER „BUDOWNICZY RUIN" PIW 2017

eprasa.pl 87d60c29ab

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na dnie w Londynie i Glasgow

Jak łatwo utraciliśmy całkowicie kontrolę nad własnym życiem? – dziwi się Jack, główny bohater powieści „Na gigancie". Wypadałoby jeszcze dodać: i jak szybko. Jest rok 1965, 17-letni Jack marzący o karierze muzyka rockowego w towarzystwie czterech najlepszych kumpli ucieka z domu. Furgonetka jest kradziona, w kieszeniach więcej płótna niż funtów, a w głowach członków amatorskiego bandu z Glasgow o nazwie The Skiffles roją się marzenia o wielkiej karierze. Wystarczy dotrzeć do Londynu i jakoś to będzie.

Pięćdziesiąt lat później paczka znowu jedzie z Glasgow do Londynu, w nieco innym składzie i w zupełnie innym nastroju. Pełnych nadziei chłopców zastąpiły ich stare, zgorzkniałe wersje, wokalistę trzeba było wykraść ze szpitala, w którym umierał na raka. Bezpośrednim impulsem, który wywołał eskapadę, jest prasowa notatka o pewnym morderstwie. Zaginiony przed laty aktor wrócił do kraju tylko po to, by paść ofiarą zabójstwa. Co to ma wspólnego z wydarzeniami z roku 1965? Jak przystało na porządny kryminał, wszystko wyjaśni się w ostatnim rozdziale.

Rekomendowałem kiedyś książkę Petera Maya „Czarny dom", świetną powieść o dojrzewaniu ubraną w szaty historii kryminalnej. „Na gigancie" nie jest aż tak dobra, lecz wciąż trzyma poziom. May potrafi pisać, a kiedy zabiera się do nostalgicznych kawałków o minionej młodości i zapomnianych, dobrych czasach, osiąga rezultaty najlepsze. Ładnie kreśli portrety swojej piątki z Glasgow, jest – jak należy – liryczny, gdy opisuje ich pierwsze miłości, fascynująco pod jego piórem wygląda pejzaż Wysp Brytyjskich ery Beatlesów i Rolling Stonesów – oczami bohaterów widzimy oprócz Londynu także zasnute żółtą mgłą Leeds z czasów, gdy „pracy było tyle, że jak ktoś swojej nie lubił, szedł za róg ulicy i dostawał inną".

Mam wrażenie, że May, ceniony scenarzysta i pisarz, tak naprawdę wcale nie chciałby pisać kryminałów, że po prostu bezprzymiotnikowa proza interesuje go bardziej, ale czasy są takie, że sprzedaje się tylko literatura gatunków. Czytałem jego książkę, kompletnie nie przejmując się tym, jak rozwiąże zapowiedzianą już na pierwszej stronie zagadkę kryminalną. To, co najciekawsze, działo się w duszach nastoletnich uciekinierów, w przyspieszonym tempie pobierających lekcje życia. Jak im wyszło? Gdyby byli pojętnymi uczniami, nie byłoby tej książki. ©℗

★★★★☆☆
PETER MAY
„NA GIGANCIE"
ALBATROS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzydzieści krótkich szkiców biograficznych, a wśród bohaterek oprócz wyborów oczywistych (Gojawiczyńska, Iłłakowiczówna, Konopacka, Nałkowska) także nazwiska mniej znane, a godne pamięci: Lucyna Messal oraz Maria Morska.

JERZY CHOCIŁOWSKI
„NIEZWYKŁE KOBIETY DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ"
AKURAT

Na półki księgarń wraca książka fundamentalna dla zrozumienia świata „Władcy Pierścieni", zbiór opowieści o Śródziemiu, nad którymi Tolkien pracował całe życie. Edycja w twardej oprawie ze wspaniałymi ilustracjami Teda Nasmitha.

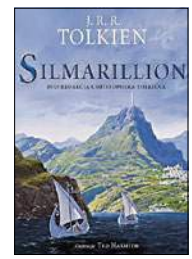

J.R.R. TOLKIEN
„SILMARILLION"
ZYSK I S-KA

Współczesna kultura popularna (z naciskiem na fantastykę) pod lupą polskiego pisarza, krytyka i redaktora (m.in. „Nowej Fantastyki"). Eseje, szkice, recenzje, a wśród bohaterów Gaiman, Dukaj, Sapkowski i wielu innych.

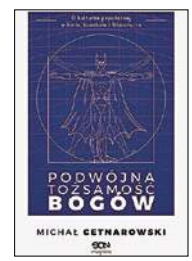

MICHAŁ CETNAROWSKI
„PODWÓJNA TOŻSAMOŚĆ BOGÓW"
SQN

Najważniejsza książka w dorobku znanego amerykańskiego popularyzatora historii, konsultanta przy produkcji serialu „Pacyfik". Dzieje amerykańskiego lotnictwa w walce z Niemcami – wkrótce także serial HBO. ©℗

poleca Piotr Gociek

DONALD L. MILLER
„WŁADCY PRZESTWORZY"
REPLIKA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***David Lagercrantz „Mężczyzna, który gonił swój cień" (Czarna Owca) – piąty tom cyklu „Millennium", drugi, którego autorem nie jest Stieg Larsson.***
2. ***Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice" (Arbitror) – pomieszanie z poplątaniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątła, gdy chodzi o fakty.***
3. ***Deynn & Majewski „Trening życia" (Flow Books) – para celebrytów fitness i popularnych vlogerów dzieli się swoimi pomysłami na życie.***
4. ***Izabella Wentz „Hashimoto" (Wydawnictwo Otwarte) – podtytuł mówi wszystko: „Jak w 90 dni pozbyć się objawów i odzyskać zdrowie".***
5. ***Guillaume Musso „Dziewczyna z Brooklynu" (Albatros) – pisarz w poszukiwaniu ukochanej, która po kłótni znika w dziwnych okolicznościach.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik 4–17.09.2017)

eprasa.pl 87d60c29ab

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Seks, przemoc i rock and roll

Koncert Decapitated FOT. GETTY IMAGES

Zatrzymanie polskich muzyków z deathmetalowej grupy Decapitated w Kalifornii, pod zarzutem dokonania zbiorowego gwałtu, zbiegło się w czasie z napaścią i gwałtem w Rimini, którego sprawcami są imigranci z Afryki Północnej. Część publicystów podjęła temat rodzimych muzyków gwałcicieli jako oręż w walce z rządem PiS i tymi, którzy napad w Rimini wpisali w debatę o relokacji uchodźców.

– Gwałty zdarzają się wszędzie, grzmią liberalne media, a sprawcami mogą być zarówno Arabowie, jak i Polacy. „Dlaczego o sprawie wymownie milczy TVP? Czemu nie słychać wiceministra Patryka Jakiego?" – pyta na łamach „Polityki", Joanna Gierak-Onoszko.

Internauci zwrócili jednak uwagę, że porównywanie tych zdarzeń jest mocno naciągane. Ofiara Decapitated po koncercie dobrowolnie wsiadła do busa muzyków, poszła do hotelu i uczestniczyła w libacji. To już zupełnie rozsierdziło publicystkę „Polityki", dla której te wpisy są dowodem, że gwałt jest wytworem również polskiej kultury. „[...] u nas mężczyźni śmieją się, że nie można zgwałcić prostytutki. To u nas dzieci słyszą: jak suka nie da, pies nie weźmie. To u nas w podręcznikach do katechezy uczy się, że na zakryte części ciała nie patrzymy i o nich nie mówimy [...] żaden mężczyzna (Polak, katolik, muzyk, ojciec, mąż) nie ma prawa bez zgody kobiety naruszać jej nietykalności. Trzeba tego uczyć dzieci od maleńkości" – apeluje Gierak-Onoszko, której tekst ilustruje zdjęcie z koncertu Decapitated, na którym widać wyciągnięte ręce w satanistycznym pozdrowieniu. Czy ktoś przy zdrowych zmysłach uwierzy, że metalowcy-sataniści są przykładem polskiej i katolickiej kultury, a nauczanie: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie pożądaj żony bliźniego, kształtuje w dzieciach przyzwolenie na gwałt?

Jak złe mniemanie o inteligencji czytelników ma „Polityka", by wciskać taki kit? O tym, jaki wpływ na przemoc wobec kobiet ma pornografia, erotyzacja przestrzeni publicznej i kultury masowej oraz inwazyjna edukacja seksualna, „Polityka" „wymownie milczy". ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Furia i melodyjna cisza

Dave Grohl był „tylko" perkusistą kultowej Nirvany. Natomiast z własną grupą sprzedał tylko w USA 12 mln albumów, zdobył 11 nagród Grammy, a omawiana płyta była numerem jeden w siedmiu krajach.

Kto wie, czy właśnie „Beton i złoto" nie jest najlepszym krążkiem w dorobku Foo Fighters. Wprawdzie fani zapewne wyżej postawią „Wasting Light" (2011) czy „The Colour and the Shape" (1997), ale na żadnym z wcześniejszych albumów nie udało się Grohlowi tak doskonale połączyć agresji z popowymi melodiami i wpadającymi w ucho refrenami.

Soczyste rockowe riffy przypominają, że istotą tej muzyki od zawsze była gitara elektryczna. Tylko że bez dramatycznego tekstu, graniczącej z patosem aranżacji i hymnowych refrenów nie byłoby herosów ciężkiego grania. Posłuchajcie „The Sky Is a Neighborhood", a poczujecie zew młodości. Następujące po niej „La Dee Da" może albo zakłócić wasze pożycie małżeńskie, albo przywrócić przyjaźń z dawnymi kolegami.

W nagraniach pojawiają się Alison Mosshart (The Kills), Justin Timberlake (!), Shawn Stockman z Boyz II Men, a nawet sam Paul McCartney, który zagrał na... perkusji we wspaniałej bitelsowskiej „Sunday Rain". Jakby tego było mało, kończący album utwór tytułowy jest hołdem złożonym Pink Floydom. Na szczęście dzięki producentowi Gregowi Kurstinowi (Adele, Sia) ta mieszanka brzmi naprawdę fenomenalnie. ©℗

★★★★★☆
FOO FIGHTERS
„CONCRETE AND GOLD"
RCA

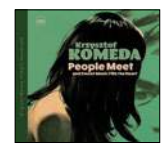

★★★★★☆
KRZYSZTOF KOMEDA
„PEOPLE MEET"
GAD

Muzyka do duńskiego erotycznego filmu skomponowana przez Komedę w 1967 r. wręcz urzeka. Od koktajlowego jazzu przechodzimy do słodkiej bossa novy z żeńskimi wokalami, by zakończyć na awangardzie. Pierwszy raz na płycie. ©℗

★★★★☆☆
RSPARKS
„HIPPOPOTAMUS"
BMG

Bracia Ron i Russell uwiedli przed 40 laty fuzją teatralnego popu połączonego z patetycznymi wokalami. Pianino wciąż wybija hipnotyczny rytm, smyki szaleją, a artystowskie teksty w duchu Oscara Wilde'a nadają ekscentryczny posmak. ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

SUPER HISTORIA.pl

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

3 PAŹDZIERNIKA

CZĘŚĆ V Z CYKLU „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI”

„ŻYCIE ZA ŁAPÓWKĘ”

HISTORIA LESZKA MROCZKOWSKIEGO - MŁODEGO PARTYZANTA, OFIARY I ŚWIADKA TORTUROWANIA POLSKICH ŻOŁNIERZY PRZEZ UB

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 87d60c29ab

Grzegorz Kucharczyk

Wrogie

Słowem kluczem opisującym stan współczesnej Europy jest „kryzys". Kryzys imigracyjny, kryzys w strefie euro, kryzys związany z decyzją o brexicie. W tle jest jednak o wiele poważniejszy kryzys – natury duchowej i kulturowej

W swojej encyklice „Spe salvi" z 2008 r. papież Benedykt XVI zauważył, że cechą wspólną wszystkich prądów kulturowych dominujących na Starym Kontynencie od czasów nowożytnych jest dążenie do „królestwa Bożego realizowanego bez Boga, a więc królestwa, które nieuchronnie zmierza ku perwersyjnemu końcowi" („Spe salvi", s. 23). Zamiast nadziei na nastanie Królestwa Bożego pojawiła się na horyzoncie duchowym i intelektualnym Europejczyków od czasów nowożytnych „nadzieja na królestwo ludzkie", czyli „nadzieja na ustanowienie doskonałego świata, który dzięki osiągnięciom nauki i naukowo uzasadnionej polityce wydawał się możliwy do zrealizowania" („Spe salvi", s. 30).

PIERWSZE PODEJŚCIE

W ten sposób Benedykt XVI streścił istotę projektu, który od czasów reformacji i rewolucji francuskiej jest systematycznie aplikowany Europejczykom. Protestancka reformacja zakwestionowała samą zasadę Kościoła, rewolucja francuska uderzyła w sojusz Tronu i Ołtarza, by tym łatwiej zniszczyć je z osobna. W XIX w. nastał czas „wojen kulturowych" (kulturkampfów) przetaczających się przez całą Europę – od Prus do Portugalii – narzucających milionom Europejczyków ideologię laicką. Liberalne hasło: „Wolny Kościół w wolnym państwie" (hr. Emilio Cavour, premier Piemontu) w rzeczywistości bismarckowskich Niemiec, III Republiki Francuskiej i w Portugalii po rewolucji 1910 r. oznaczało raczej zniewolony Kościół w coraz potężniejszym państwie.

W ten sposób przygotowywano grunt pod kolejne odmiany rewolucji nihilizmu, które w XX w. pojawiły się najpierw w Rosji (rewolucja bolszewicka 1917 r.), a następnie w Niemczech (przejęcie władzy przez narodowych socjalistów w 1933 r.). Swoje zrobiła również I wojna światowa, naruszając trwale dotychczasowe więzi społeczne. Czas królów odszedł w przeszłość. Ostatnia w Europie katolicka koronacja królewska odbyła się w 1916 r. w Budapeszcie, gdy koroną św. Stefana na króla Węgier koronowany został cesarz Austrii bł. Karol I Habsburg (jako król Węgier Karol IV). Z kolei twórcy politycznego ładu w powojennej Europie, którzy w 1919 r. obradowali w Paryżu, dołożyli wszelkich starań, by w obradach – nawet w charakterze obserwatora – nie uczestniczył delegat Stolicy Apostolskiej. Nowa Europa miała być organizowana bez papieskiego Rzymu. Nie tylko w sensie konstrukcji dyplomatycznej kongresu pokojowego.

Rządząca w Rosji od 1917 r. Wszechrosyjska Komunistyczna Partia bolszewików, a w Niemczech będąca u władzy od 1933 r. Narodowosocjalistyczna Partia Robotników Niemiec, pozostając w zgodzie z lewicową tradycją dekonstrukcji, a następnie rekonstrukcji świata na nowo, rzecz jasna na podstawie „naukowych" systemów (por. „naukowy socjalizm" w Sowietach i rozwój rasizmu jako „nauki" w Niemczech hitlerowskich), wdrożyły systematyczną politykę ludobójstwa. Jak zauważył w 1937 r. papież Pius XI, obydwa totalitar-

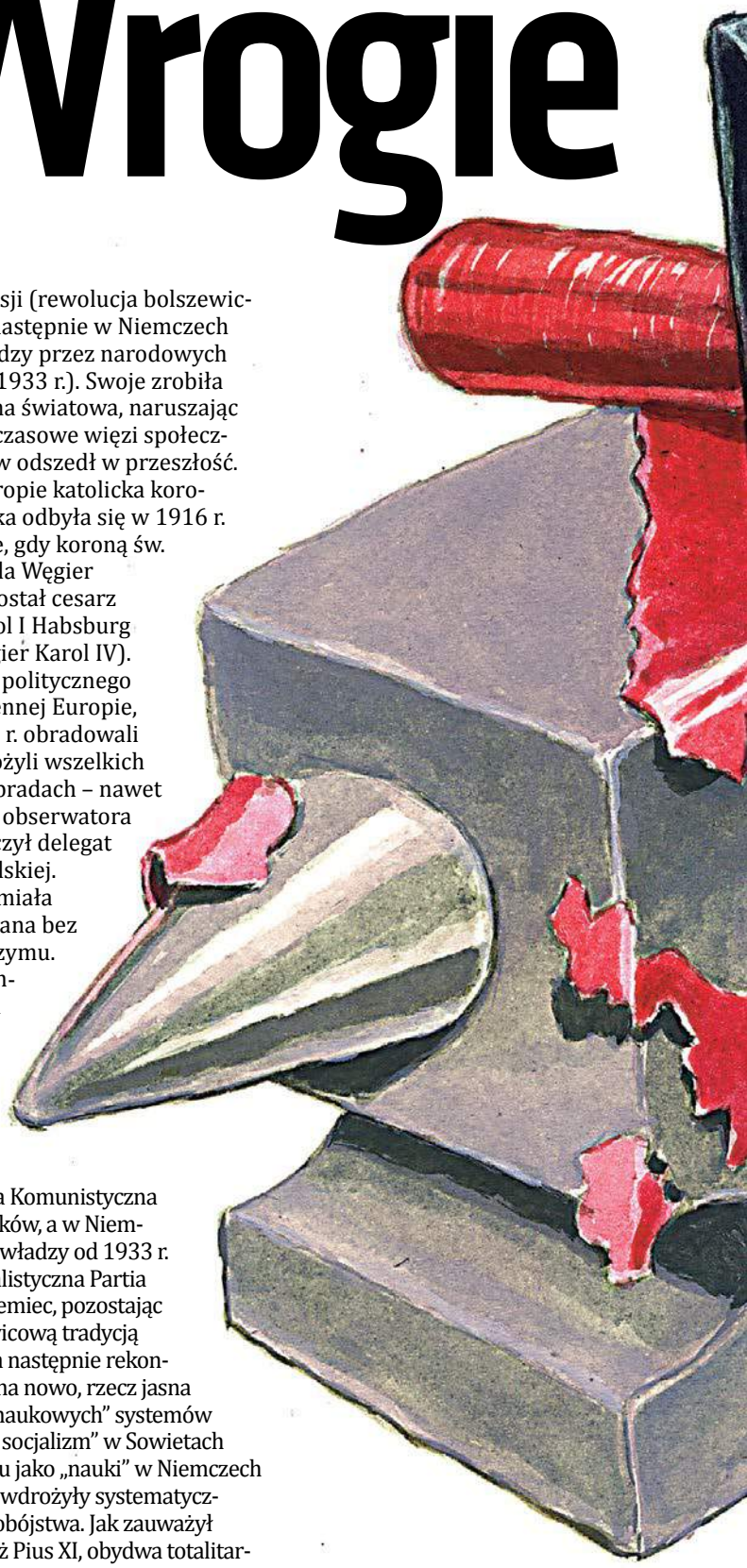

eprasa.pl 87d60c29ab

przejęcie

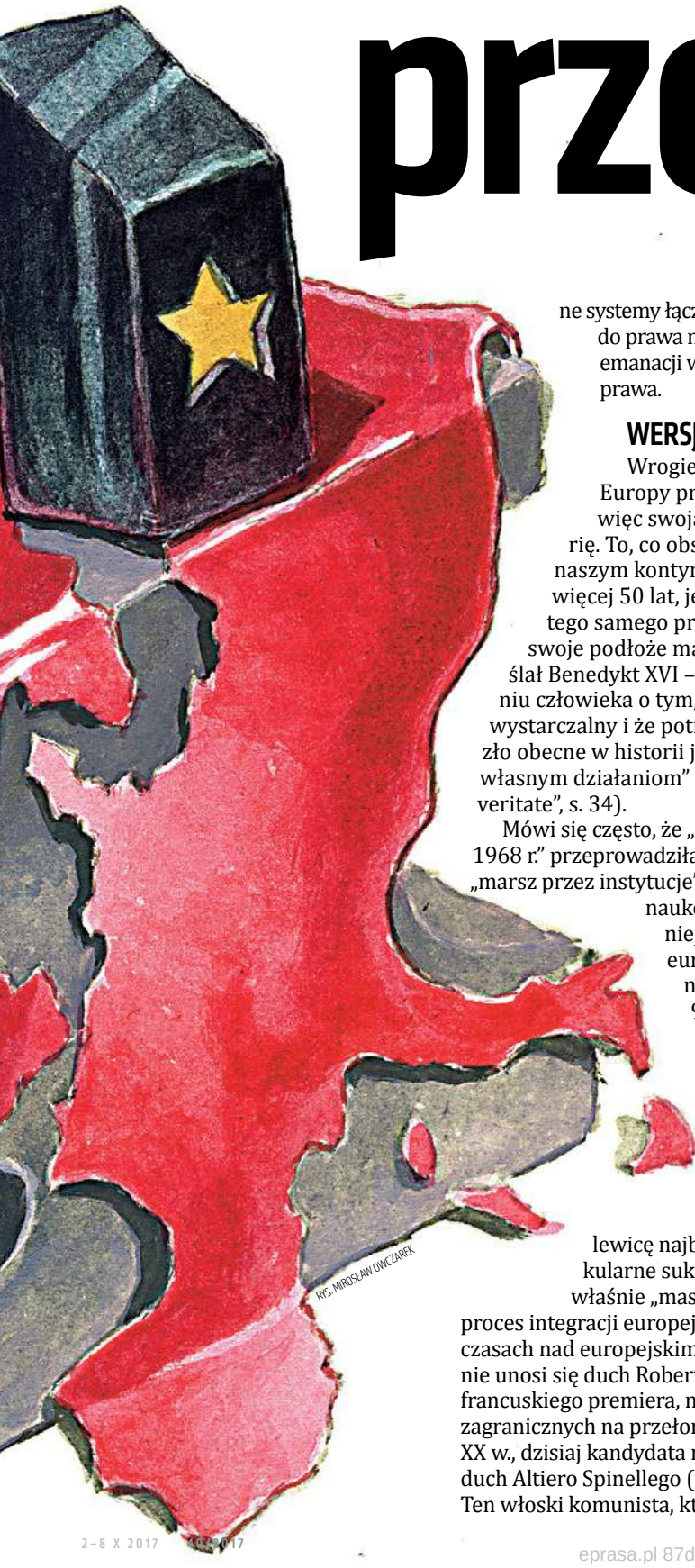

RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

ne systemy łączyła nienawiść do prawa naturalnego jako emanacji wyższego, Bożego prawa.

WERSJA 2.0

Wrogie przejmowanie Europy przez lewicę ma więc swoją długą historię. To, co obserwujemy na naszym kontynencie od mniej więcej 50 lat, jest wersją 2.0 tego samego procesu, który swoje podłoże ma – jak podkreślał Benedykt XVI – w „przekonaniu człowieka o tym, że jest samowystarczalny i że potrafi usunąć zło obecne w historii jedynie dzięki własnym działaniom" („Caritas in veritate", s. 34).

Mówi się często, że „rewolucja 1968 r." przeprowadziła skuteczny „marsz przez instytucje" (polityczne, naukowe) najważniejszych krajów europejskich, które na początku lat 90. ubiegłego stulecia utworzyły Unię Europejską. Wersja 2.0 wrogiego przejmowania Europy przez lewicę najbardziej spektakularne sukcesy odniosła, właśnie „maszerując" przez proces integracji europejskiej. W naszych czasach nad europejskimi instytucjami nie unosi się duch Roberta Schumana – francuskiego premiera, ministra spraw zagranicznych na przełomie lat 40. i 50. XX w., dzisiaj kandydata na ołtarze – ale duch Altiero Spinellego (1907–1986). Ten włoski komunista, którego nazwisko jest wyryte przed wejściem do Parlamentu Europejskiego jako wspomnienie jednego z „ojców Europy", w swoim tzw. manifeście z Ventotene – spisanym razem z innymi włoskimi marksistami na początku lat 40. – stwierdzał, że „pierwszym zadaniem, bez rozwiązania którego wszelki postęp będzie tylko złudzeniem, jest ostateczne zlikwidowanie granic dzielących Europę na suwerenne państwa". W tym samym dokumencie zapowiadano również, że „nowe państwo [europejskie] powstanie dzięki dyktaturze rewolucyjnej partii i dla nowej, prawdziwej demokracji".

Dążenie do odgórnej uniformizacji i budowania silnego, scentralizowanego państwa to stare marzenie lewicy od czasów francuskich rewolucjonistów dzielących swój kraj z geometryczną dokładnością (cyrkiel – narzędzie uniwersalne!) na departamenty do tzw. centralizmu demokratycznego Lenina i Stalina. Historia nieodmiennie pokazywała, że uniformizacja przeradza się w jednostajność, a kończy się marazmem. To w wersji „light". Przykład sowiecki pokazuje, że gnicie „demokratycznie scentralizowanego" państwa mogło trwać dziesiątki lat, pochłaniając miliony istnień ludzkich.

Jedną z pierwszych ofiar federalistycznej manii, która w strukturach europejskich datuje się mniej więcej od czasów prezydowania Komisji Europejskiej przez francuskiego socjalistę Jacquesa Delorsa (lata 80. XX w.), jest zasada subsydiarności (pomocniczości); wpisana jako jeden z fundamentów działania wspólnot europejskich w zamierzchłych czasach (tj. lata 50.), gdy szukano jeszcze inspiracji w katolickiej nauce społecznej. Sposób rozwiązywania przez struktury unijne tzw. kryzysu imigracyjnego polegający na próbie odgórnego narzucenia poszczególnym krajom „kwot relokacyjnych" jest

eprasa.pl 87d60c29ab

wyraźnym dowodem na to, że wygrywa duch Spinellego, a więc dążenie do stworzenia europejskiego superpaństwa. Jednak takie państwo – co pokazuje historia kolejnych lewicowych eksperymentów – będzie „super" tylko z nazwy.

KULTURA, TOWARZYSZE! KULTURA!

Autorzy manifestu z Ventotene piszą o „dyktaturze rewolucyjnej partii" w przyszłej, zorganizowanej na federalistyczną modłę Europie. Co to za partia? W dzisiejszych warunkach to „pokolenie 1968 r." mocno usadowione w instytucjach politycznych, ale – co ważniejsze – również w instytucjach kulturalnych i naukowych zachodniej Europy. Pokolenie działaczy politycznych, socjologów, pisarzy, filozofów i historyków uformowanych na zmodyfikowanym marksizmie, zmutowanym jeszcze przed II wojną światową przez twórców tzw. szkoły frankfurckiej (Max Horkheimer, Theodor Adorno, Herbert Marcuse) i Antonia Gramsciego.

Neomarksizm „frankfurtczyków" i rewizja marksizmu dokonana przez Gramsciego miały zasadniczą wspólną cechę: zwracały uwagę na kluczową rolę „nadbudowy" w procesie rewolucji. Afirmowano w ten sposób niedocenianą przez Marksa sferę szeroko pojętej kultury i religii. Najważniejsza była, jak pisali twórcy „szkoły frankfurckiej" (w tym Marcuse – w latach 60. prawdziwy guru studenckiej rewolty po obu stronach oceanu), nie „rewolucja w sferze środków produkcji", ale „rewolucja w ideach". Jej wstępnym etapem miała być krytyka „burżuazyjnej kultury", rozumianej np. jako kultywowanie tradycyjnego modelu rodziny. To na wstępie, bo kolejne etapy tak pojętej „rewolucji w ideach" wyznaczały od lat 70. i 80. kolejne nurty postmodernizmu (dekonstruktywizm etc.). Od przełomu XX i XXI w. dekonstrukcji poddawane są najbardziej podstawowe i od wieków traktowane jako naturalne wspólnoty ludzkie: naród oraz rodzina. Ten pierwszy postrzegany jest jako „wspólnota wyobrażona" (B. Anderson), ta druga niszczona jest przez genderyzm i „teorię queer".

Antonio Gramsci (1891–1937) opracował natomiast koncepcję „marszu przez instytucję", czyli opanowywania przez marksistów kolejnych instytucji życia społecznego, kulturalnego, a nawet religijnego. Tak miała dokonać się rozłożona na lata, bo prowadzona jako „wojna pozycyjna", rewolucja przeciw temu, co pozostało jeszcze z chrześcijańskiej cywilizacji w Europie.

Uczniowie „szkoły frankfurckiej" i adepci nauk Gramsciego w latach 60. XX w. wymachiwali na kampusach uniwersyteckich w RFN czy we Francji „Czerwoną książeczką" Mao Tse-tunga (jednego z największych ludobójców w historii) jako „manifestem wolności". W latach 80. i 90. jako prawdziwie rewolucyjna partia przeniknęli do świata polityki, kultury oraz nauki, gdzie – jak domagał się tego Spinelli – sprawują iście dyktatorską władzę w myśl starej jakobińskiej zasady, że „nie ma wolności dla wrogów wolności".

Ekspansji kulturowej lewicy w Europie nie sposób zrozumieć, jeśli nie weźmie się pod uwagę erozji podstawowej linii obrony, jaką dla tradycyjnych wartości był zawsze Kościół katolicki

Wolność badań akademickich ogranicza „nieświęta inkwizycja" politycznej poprawności, tocząca bezwzględną walkę z „mową nienawiści". Narazić się można, zbyt skrupulatnie badając chociażby dzieje rewolucji francuskiej. Reynald Secher, autor fundamentalnej pracy (dostępnej także w języku polskim) na temat ludobójczej rzezi Wandei dokonanej przez wojska republiki („Wandea. Francusko-francuskie ludobójstwo"), musiał pożegnać się z uniwersytecką karierą we Francji, choć jego monografia oparta na bogatej kwerendzie źródłowej spełniała wszelkie wymogi warsztatowe. To było jej główną wadą. Pokazała zbyt wiele.

KOLEJNY WYRÓB RELIGIOPODOBNY

Od czasu utrącenia w 2004 r. kandydatury Rocca Buttiglionego na członka Komisji Europejskiej, z powodu jego zgodnych z nauczaniem Kościoła poglądów na kwestie aborcji czy tzw. praw homoseksualistów, wiadomo już, że wierzący serio chrześcijanie nie mają czego szukać w kluczowych gremiach Unii Europejskiej. Wychowana na „szkole frankfurckiej" i Gramscim lewica – sprawująca dyktatorską władzę w europejskich instytucjach kulturalnych, naukowych oraz politycznych (unijne gremia) – za jednym ze swoich intelektualnych guru twierdzi, że „wielkie opowieści utraciły swoją wiarygodność" (Jean-François Lyotard). Do tej kategorii zaliczane są w pierwszym rzędzie chrześcijaństwo i jego kulturowe dziedzictwo kształtujące od wieków Europę. Gdy na początku obecnego stulecia trwały prace nad tzw. konstytucją dla zjednoczonej Europy (ostatecznie odrzuconą w referendach we Francji i w Holandii), gremium kierowane przez byłego prezydenta Francji Valéry'ego Giscarda d'Estaigne'a przygotowało preambułę do tego dokumentu, z której wynikało, że oblicze kulturowe Europy ukształtowały grecko-rzymska starożytność i oświecenie. Pomiędzy nimi zaś nie było nic – wielka czarna dziura, czyli ponad tysiąc lat chrześcijańskiej Europy.

Trzeba jednak w coś wierzyć. Niektóre „wielkie opowieści" tracą wiarygodność, ale w ich miejscu pojawiają się nowe. Mniej więcej od lat 70. ubiegłego stulecia do rangi nowej świeckiej religii urosły prawa człowieka. Na potrzeby „wojny pozycyjnej", wytoczonej tradycyjnemu światu pojęć i wartości, radykalnej zmianie uległo od tego momentu znaczenie tego pojęcia. Niegdyś w zamierzchłych czasach, gdy jeszcze trwała pamięć o chrześcijańskiej nauce o godności osoby ludzkiej jako godności dziecka Bożego, prawa człowieka oznaczały nienaruszalność cielesną i majątkową oraz wolność sumienia. Od ostatniej ćwierci XX w. maszerująca przez europejskie instytucje kulturowa lewica nadaje prawom człowieka zupełnie inną konotację, w której słowa klucze to: „uczestnictwo", „uznanie", a przede wszystkim „niedyskryminacja". Niedyskryminacja z powodu seksualnej tożsamości i zapewnienie równego uczestnictwa wszystkim mniejszościom seksualnym w życiu społecznym – tak mniej więcej wygląda dziś istota podstawowych praw człowieka wedle europejskiej kulturowej lewicy. Niedługo do tego katalogu „praw" dołączy „prawo do aborcji".

Podpisany 10 lat temu traktat lizboński doskonale oddaje tę nową, z gruntu rewolucyjną filozofię praw człowieka.

eprasa.pl 87d60c29ab

Jak wskazują badacze procesu integracji europejskiej, między 1992 (traktat z Maastricht) a 2007 r. (traktat lizboński) doszło do przejścia od zasady „równości przed prawem" do nowej zasady „równości przez prawo". Prawo uchwalają jednak politycy. Ostatecznie więc to „polityczne pozytywne środki" mają zapewnić przestrzeganie nowej wykładni praw człowieka. Casus tzw. konwencji antyprzemocowej zamocowanej w traktacie lizbońskim, a ratyfikowanej rzutem na taśmę przez rząd PO-PSL w 2015 r., jest tego klasycznym przykładem.

EROZJA OSTATNIEGO SZAŃCA

Dlaczego od niemal pół wieku kulturowa lewica odnosi w Europie zwycięstwo za zwycięstwem w „wojnie pozycyjnej" wytoczonej „hegemonii kulturowej" starego świata? Z pewnością nie wszystko tłumaczy atrakcyjność neomarksizmu, który zainfekował buntujących się w latach 60. studentów, którzy po latach zasiedli w ważnych europejskich instytucjach. Ekspansji kulturowej lewicy w Europie nie sposób zrozumieć, jeśli nie weźmie się pod uwagę erozji podstawowej linii obrony, jaką dla tradycyjnych wartości był zawsze Kościół katolicki.

Lata 60. to czas rewolucyjnych przemian nie tylko na uniwersytetach. Sobór Watykański II (1962–1965), a zwłaszcza proces wdrażania tzw. reform posoborowych, okazały się dla Kościoła na zachodzie Europy prawdziwym kataklizmem, mierzonym gwałtownym spadkiem powołań, uczestnictwa wiernych we mszach oraz destrukcją liturgii. Nie każdy Kościół lokalny miał szczęście mieć na swoim czele tak roztropnego pasterza, jakim był wtedy w Polsce kard. Stefan Wyszyński.

Jedną ze zmian posoborowych było zarzucenie w doktrynie Kościoła (zwłaszcza w jego nauce społecznej) zasady „państwa chrześcijańskiego". W oficjalnych dokumentach zachęca się natomiast katolików coraz częściej do poszukiwania współpracy ze „wszystkimi ludźmi dobrej woli", nawet o „lewicowej wrażliwości". Proces, który został przyhamowany w okresie pontyfikatów św. Jana Pawła II i Benedykta XVI, w czasie obecnego pontyfikatu wydaje się przybierać na sile (por. słowa papieża Franciszka o „społecznym zaangażowaniu" komunistów).

Równie zawstydzające jest milczenie Kościoła – na poziomie lokalnym i z wyżyn Watykanu – wobec przyspieszonego w ostatnich latach frontalnego ataku na rodzinę. Symptomatyczna pod tym względem była reakcja kard. Reinharda Marxa, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec, który w reakcji na uchwalone w lipcu tego roku przez Bundestag prawo zrównujące tzw. małżeństwa jednopłciowe z normalnymi małżeństwami stwierdził: „To żaden przełom".

Zamęt w Kościele w naturalny sposób przyczynił się do szybszego przesuwania się w lewo chadeckich ugrupowań w takich krajach jak Niemcy, Włochy i Belgia. W latach 80. chadeckie partie głosowały za ustawami legalizującymi eutanazję w krajach Beneluksu. Największa z zachodnioeuropejskich partii chadeckich – niemiecka CDU – jest najbardziej wyrazistym przykładem gubienia literki „C" w swoim programie i decyzjach politycznych. Niedawne głosowanie większości posłów CDU nad legalizacją „małżeństw jednopłciowych" jest tego ostatnim, choć nie jedynym dowodem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ROAMER SUPERIOR CHRONO II

Już sama nazwa ROAMER, której angielskie znaczenie to światowy odkrywca, oddaje przyświecającego przedsiębiorstwu ducha innowacji, stałego rozwoju i dążenia do perfekcji. Pozwala to marce tworzyć wysokiej jakości, niezawodne, szwajcarskie zegarki o niepowtarzalnym wyglądzie.

SUPERIOR CHRONO II to stylowy, męski zegarek idealny do noszenia na co dzień. Sportowy kształt, szlachetne materiały i przyciągająca spojrzenia kolorystyka to kompozycja, która sprawdzi się przy każdej okazji. Na szczególną uwagę zasługuje fakturowana, przestrzenna tarcza z detalami w kolorze różowego złota. Dbałość o szczegóły widać również na koronce, ozdobionej pierścieniem w kolorze czarnym. Zegarek posiada chronograf oraz datownik, umieszczony na godzinie szóstej. ROAMER SUPERIOR CHRONO II dostępny jest w kilku wariantach kolorystycznych, zarówno na stalowej bransolecie jak i komfortowym pasku silikonowym. Wszystkie modele zostały wyposażone w wysokiej klasy kwarcowe szwajcarskie mechanizmy, gwarantujące dokładność i niezawodność. Kopertę o średnicy 43 mm pokryto odpornym na zarysowania szafirowym szkłem z powłoką antyrefleksyjną, zapewniając tym samym wieloletnią trwałość i nieskazitelny wygląd.

/510902 39 54 05/ **CENA: 1780 zł**

eprasa.pl 87d60c29ab

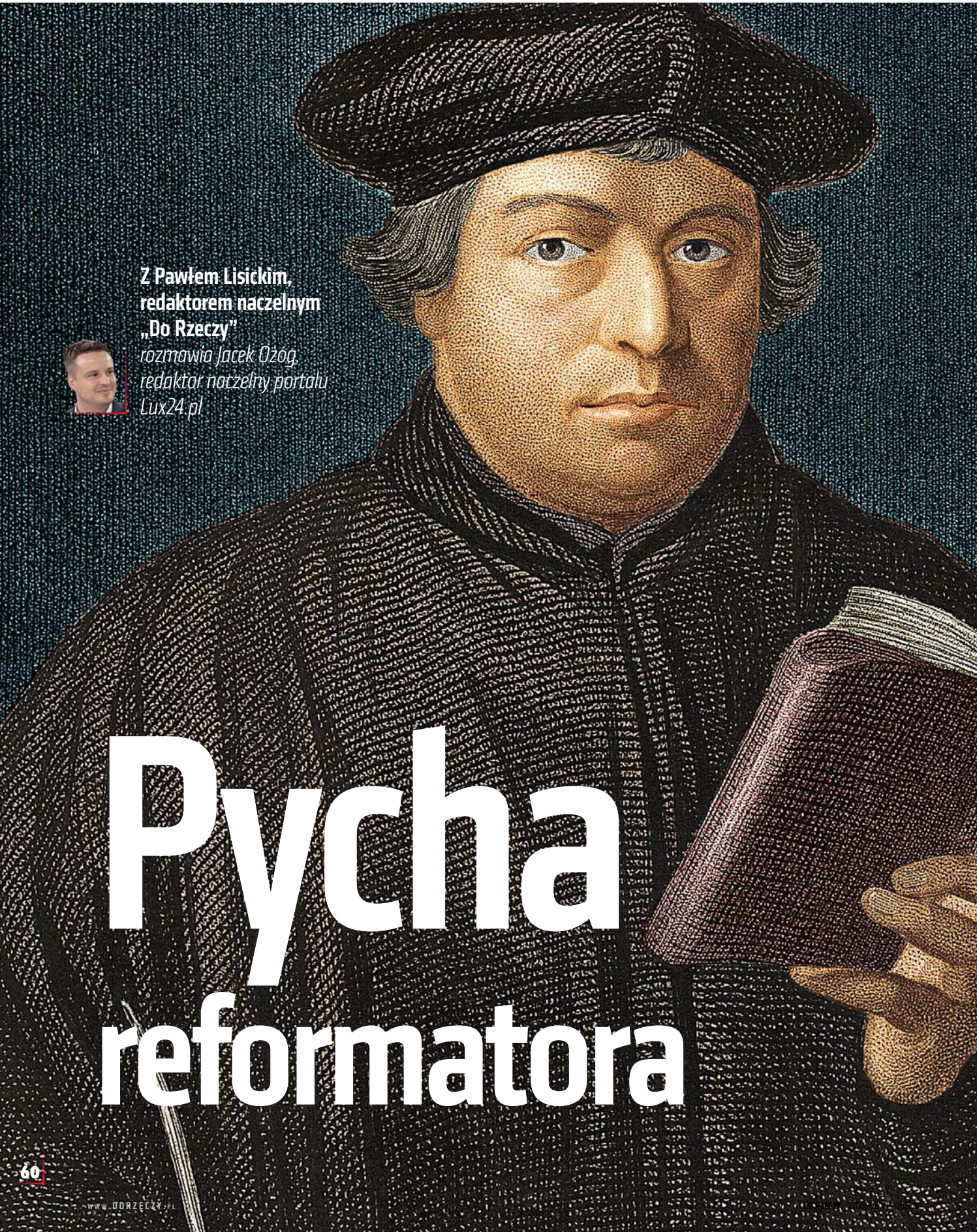

Z Pawłem Lisickim, redaktorem naczelnym „Do Rzeczy”
rozmawia Jacek Ożóg, redaktor naczelny portalu Lux24.pl

Pycha reformatora

FOTOSTOCK MONTAGE/GETTY IMAGES

JACEK OŻÓG: Dlaczego książka o Marcinie Lutrze? W tym roku oczywiście 500-lecie reformacji, ale czy to temat najbardziej frapujący z punktu widzenia kondycji cywilizacji europejskiej?

PAWEŁ LISICKI: Mam wrażenie, że piszę o Lutrze w taki sposób, w jaki inni dzisiaj, przy okazji rocznicy, go nie pokazują. Narasta ogromna fala politycznej poprawności przy przedstawianiu postaci Lutra, mówi się o nim niemalże jako o twórcy współczesnej Europy, ojcu założycielu cywilizacji zachodniej. Ja staram się przedstawić inną, ciemną stronę Lutra, jego przesłania i rozumienie wiary. Dlaczego dzisiaj? Bardzo wiele elementów, które pojawiły się w pismach Lutra, jego zachowaniu i retoryce, sposobie jego myślenia oraz mówienia, weszło w skład cywilizacji Zachodu, ale niestety są to ziarna, które od XVI w. rozsadzały kulturę chrześcijańską i wciąż ją niszczą.

Jak każde zjawisko historyczne reformacja zapewne ma wiele przyczyn. Co uczyniło ją możliwą? Jakie były warunki brzegowe?

Skupiając się na przyczynach najważniejszych: kryzys Kościoła, pochodna awiniońskiej niewoli papieży w XIV w., potem jeszcze gorszej wielkiej schizmy zachodniej. W jednym momencie było dwóch, a nawet trzech papieży. Urząd Piotra, który nie powinien być podzielny, zdawał się być sprawowany przez kilka osób równolegle. Zakończyło się to na soborze w Konstancji, ale pamięć i poczucie osłabienia jednolitości zostały. Druga przyczyna to sukces filozofii nominalistycznej – na największych uniwersytetach zachodnich pojawiało się coraz więcej nauczycieli kwestionujących tradycyjną naukę Kościoła, inkorporowaną przede wszystkim w tomizmie, pojawiła się via moderna – nominalizm. Nie ma już obiektywnej rzeczywistości, wszystkie najważniejsze pojęcia filozoficzne stały się de facto wytworem człowieka, język nie odbija rzeczywistości, stanowi formalny, pusty uzus. Pojawiło się poczucie arbitralności. Nie doskonałość i dobroć, lecz wolność była odtąd głównym przymiotem Boga, który może dowolnie sobie zaprzeczać.

Stat rosa pristina nomine, nomina nuda tenemus...(Dawna róża pozostała tylko z nazwy)

Było to paradoksalnie bliskie spojrzeniu islamu: Bóg poza rozumem albo nad rozumem, ponieważ rozum i mądrość można uznać za kategorie pętające człowieka.

Bóg groźny i nieskończenie niedostępny.

Nie można dopuścić się bliskości z tym Bogiem, jest przerażający i odpychający.

Dystans wobec Arystotelesa nie musi jednak równać się herezji, współczesny Tomaszowi neoplatonik Bonawentura został świętym.

Mamy tu jednak do czynienia z wielością czynników: nowe rozumienie religii pociągało za sobą nowe rozumienie Kościoła. Wielu myślicieli tego czasu sprzyjało cesarzowi i podporządkowaniu papiestwa władzy świeckiej, jak chociażby Marsyliusz z Padwy. Mamy więc nową filozofię, osłabienie papiestwa, pokiereszowanego po schizmie zachodniej. Trzecim wreszcie czynnikiem jest humanizm, prąd z czasem dominujący również wśród elit zachodnich, każący wracać do źródeł i patrzeć z większą uwagą na to, co ludzkie, niż na to, co boskie.

Narasta ogromna fala politycznej poprawności przy przedstawianiu postaci Lutra, mówi się o nim niemalże jako o twórcy współczesnej Europy, ojcu założycielu cywilizacji zachodniej

W książce wspomina pan jeszcze o konfliktach narodowościowych, o rodzącym się narodzie niemieckim, ze złożoną strukturą społeczną i z bogacącym się mieszczaństwem. Tworzy się resentyment zwrócony zwłaszcza przeciwko Włochom.

Jesteśmy na przełomie XV i XVI w. Nie ma aż takiej różnicy między religią a polityką i narodowością. Doskonałym przykładem są dzieje Jana Husa – reformatora religijnego i buntownika przeciwko dominacji niemieckiej. Ta analogia nie jest zupełna, ale w Rzeszy narastał resentyment w stosunku do papiestwa. Niektóre raporty nuncjuszy papieskich wskazywały, że jeżeli nie nastąpi w Rzymie zmiana podejścia do cesarstwa, to można się liczyć z daleko idącym kryzysem. Chodziło o beneficja kościelne, zadawniony zwyczaj

eprasa.pl 87d60c29ab

kupowania urzędów, na które powoływano osoby niegodne z punktu widzenia moralnego, traktujące urzędy jak inwestycję. Do tego mamy do czynienia z zeświecczeniem duchownych, rozprzężeniem reguł zachowania.

Tutaj wkracza postać Marcina Lutra. Podsumowując dobre cechy tego augustianina, można powiedzieć o nim: potencjalnie idealny kandydat na świętego, z niezłomną wolą, gotowy podejmować największe posty i poświęcenia, osoba, której zależy na Chrystusie i na tym, żeby być bezgrzesznym.

Musimy wspomnieć tutaj o elemencie posłuszeństwa władzy duchownej. Tego u Marcina Lutra na pewno brakowało po roku 1517. Jest człowiekiem sukcesu – został wikariuszem augustianów na Niemcy, uznanym wykładowcą. Jest zaufanym człowiekiem Georga Spalatina – wychowawcy dzieci księcia Fryderyka Mądrego na dworze w Wittenberdze. Sprawy religijne wydaje się również traktować po katolicku – i wtedy pojawia się u niego coś nowego – nowa doktryna, nowy sposób patrzenia.

Wszystkie elementy które wymieniliśmy, nawet razem wzięte jeszcze nie musiały przyczynić się do takiego wydarzenia jak reformacja. Tutaj wchodzi w grę ten zaskakujący czynnik historyczny, którym jest pojawienie się człowieka i jego własnego, nieodgadnionego sposobu patrzenia. Gdyby ktoś żył na początku XVI w. w Wittenberdze pod wodzą Fryderyka Mądrego albo w innych częściach Saksonii, uznałby, że nic wielkiego się nie dzieje. Kościół Wszystkich Świętych, w którym nauczał Luter, zawierał największy zbiór relikwii w całych Niemczech, tylko Lipsk mógł z nim konkurować – oba miasta później zostały ostoją niemieckiego protestantyzmu. Kiedy na przełomie XV i XVI w. przybył do Erfurtu jeden z francuskich kardynałów – witały go tłumy, organizowano procesje.

Dwie standardowe cechy występują najczęściej w przypadku apostazji – pierwszą z nich jest pycha: chęć urządzenia Kościoła po swojemu w przypadku Lutra. Pycha, jak mówi św. Augustyn, jest źródłem wszystkich grzechów. Drugim elementem jest porzucenie modlitwy, brak odmawiania brewiarza, do którego Luter był zobowiązany jako zakonnik – od tego się zaczęło.

PAWEŁ LISICKI „LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI” FRONDA 2017

U Lutra było to o tyle skomplikowane, że w początkowym okresie, o którym wspomina później, z jednej strony starał się być bardziej gorliwy niż wszyscy inni bracia, z drugiej – miał okresy, w których się nie modlił, a w przypływach wzmożonej religijności starał się nadrobić to, co stracił. Każdy, kto ma jakiekolwiek pojęcie o tym, jak wygląda dyscyplina duchowa, rozumie, że jej podstawą musi być regularność, posłuszeństwo przełożonym, a wreszcie świadomość, że uchybienia w tym względzie mogą powodować frustracje i wyrzuty sumienia...

... sumienia, które – jak wynika z przekazów – było skrupulatne. Jednak nie musiało to przecież do niczego złego doprowadzić.

Jest wielu skrupulantów, czyli ludzi, którzy nadają ogromne znaczenie popełnionym przez siebie grzechom. Elementem kluczowym była jednak ta nowa doktryna usprawiedliwienia. Luter chciał racjonalizować sytuację swojego sumienia. Powstało u niego przekonanie, że wystarczy uwierzyć, aby być zbawionym. Do wszystkiego wystarczy prywatny osąd: skoro ja, Marcin Luter, zostałem usprawiedliwiony, to nie muszę się stosować do niczego innego, zewnętrznego. Po co modlitwa, posty i cały sztafaż katolicki, który okazuje się być faryzeizmem?

Pan zdaje się sugerować w książce, że gdyby Luter przetrzymał „noc ciemną”, poczucie bycia plugawym i odrzuconym przez Boga grzesznikiem oraz wytrwał w modlitwie, jak np. św. Teresa od Jezusa, po jakimś czasie zostałby wielkim świętym (powracam do tego tematu). Wybrał jednak inną drogę...

Przede wszystkim był człowiekiem o zbyt silnej woli i poczuciu wiary w siebie. Nie był w stanie czekać i cierpieć poczucia odrzucenia. Sam starał się odzyskać nad tym kontrolę – to jest źródło tej pychy. Słynne „przeżycie w wieży” jest początkiem zrównania aktu zawierzenia z usprawiedliwieniem.

Wreszcie pojawia się trzeci czynnik występujący niemal u każdego apostaty: nienawiść do celibatu, do życia w czystości seksualnej. Luter mówi tu o „piekle celibatu”. Nie chcę parafrazować Waldemara Łysiaka, który nazwał anglikanizm religią zbudowaną „na kawałku kobiecego tyłka”, bo w luteranizmie to jest nieco bardziej skomplikowane, ale jednak coś jest na rzeczy.

Jest, przy czym ten element u Lutra kształtował się z czasem, jako kolejna ilustracja tezy, że idee mają konsekwencje. Najpierw była nieśmiała idea, że ufność daje nam usprawiedliwienie. Jej konsekwencją był spór o odpusty, który doprowadził do sporu o papiestwo. Spór o papiestwo doprowadził do sporu o znaczenie Kościoła i doktryny. Na przykład w 1517 r. Luter wierzył w istnienie czyśćca, był zakonnikiem uważającym, że celibat jest ważną rzeczą. Trzy lata później stał się wrogiem celibatu, uważał go za jeden z łańcuchów nałożonych na człowieka. Mechanizmem napędzającym tę naukę była wola Lutra. Bezlitośnie wyciągał wnioski z pierwotnej doktryny i nie wahał się nawet, gdy zmuszało go to do zrywania kolejnych więzów: z Kościołem, z tradycją, z papiestwem, z całą swoją przeszłością.

Język Lutra jest coraz bardziej obrzydliwy: w stosunku do papieża, Kościoła, ludzi którzy się z nim choć trochę nie zgadzali, a przede wszystkim w stosunku do rozumu.

Jeszcze przed rokiem 1517 student Lutra, broniący jego tez antyscholastycznych na uniwersytecie w Erfurcie, bardzo ostro atakował filozofię Arystotelesa zakładającą możliwość rozumowego wznoszenia się do Boga i ufundowanie rzeczywistości na ładzie rozumowym. To wszystko Luter przedrzeźniał, potrafił wyśmiewać, wyszydzać... Używał wulgarnego języka, niedopuszczalnego zarówno wtedy, jak i dzisiaj, ale – co więcej – był bardzo biegły w posługiwaniu się dostępnymi ówcześnie mediami. Ulotki, karykatury papieży, komiksy – to wszystko wychodziło regularnie. Spółka Luter/Cranach mniej więcej od roku 1520 ciągle atakowała kolejnych następców św. Piotra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor książki „Luter. Ciemna strona rewolucji” Paweł Lisicki spotka się z czytelnikami 4 października o godz. 17.30 w Przystanku Historia Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki (Warszawa, ul. Marszałkowska 21/25). W spotkaniu jako goście udział wezmą Sławomir Cenckiewicz i Cezary Gmyz.

CAŁA ROZMOWA NA PORTALU LUX24.PL

eprasa.pl 87d60c29ab

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Janusz – to brzmi dumnie

Ktoś znowu ma dość Polski i chce z niej wyjechać. Ktoś inny nie czuje się Polakiem i ma kompletnie obojętny stosunek do ojczyzny, języka, którym się posługuje, swoich rodaków. Jeszcze ktoś wstydzi się za Polskę. Co chwila liczni ktosie narzekają, jacy to jesteśmy chamscy, kiepscy, wieśniaccy, ponurzy i ksenofobiczni.

Nie wiem, o co chodzi, ale mam wrażenie, że żyjemy w innych krajach. Oczywiście może być tak, że jestem wyobcowany. W końcu mieszkam w Warszawie, dużej metropolii. W ogromnym bloczydle, które nie jest ogrodzone i do którego dostępu nie broni sekcja umundurowanych agentów ochrony. Po moim mieście staram się jeździć komunikacją publiczną. Pewnie jestem mało reprezentatywny.

Nic nie poradzę jednak na to, że ciągle spotykam przemiłych i uczynnych ludzi. Najgorszą rzeczą, jaka mnie ostatnio spotkała, to zadymiona winda w moim bloku. Fakt, wkurzyłem się. Jakiś nieokrzesany cham zapalił sobie podczas podróży z dołu na górę i miał w nosie każdego, kto po nim wsiadł do tej windy.

Nie przesłania mi to jednak całej masy radosnych wydarzeń, którymi jestem na co dzień po prostu zalewany przez rzeczywistość. Wczoraj jechałem tramwajem, do którego wsiadła starsza pani i na jej widok natychmiast poderwały się trzy osoby, gotowe ustąpić jej miejsca. Pani w firmie dostarczającej energię, do której miałem interes (do firmy, nie do pani), zajęła się mną wielce troskliwie, kiedy tylko mogła szła mi na rękę i nie rzucała kłód pod nogi z czystej złośliwości. Czułem, że autentycznie chce mi pomóc. I pomogła. Do jakiegokolwiek sklepu pójdę, sprzedawcy są uprzejmi i uśmiechnięci. Ba! Kiedy czegoś nie ma, mówią, że „niestety nie ma", a nie jak kiedyś informują o tym z trudno skrywaną satysfakcją.

Na szkolnym festynie największym wzięciem cieszyły się sajgonki przygotowane przez rodzinę Wietnamczyków, dla których wszyscy inni rodzice byli rozbrajająco mili. Wszędzie, gdzie się ruszę, obcuję z ludzką serdecznością i uśmiechem. Tak było też podczas wakacji, kiedy dużo jeździliśmy po polskiej prowincji.

Aż zacząłem podejrzewać, że występuję w jakimś „Truman Show" i wszystko to jedna wielka ustawka, mająca mnie przekonać, że skwaszeni, nabzdyczeni Polacy wyparowali.

Potem jednak dowiedziałem się o rodzinie moich znajomych, którym zachorował na raka synek. Amerykańska klinika wyceniła kurację na dwa miliony dolarów. Rodzina bez większej nadziei na sukces wrzuciła informację o tym na jeden z charytatywnych serwisów społecznościowych. Równowartość dwóch milionów dolarów zebrano w trzy dni. Przeciętna wpłata to 20 zł. W zbiórce wzięło udział kilkaset tysięcy osób.

Rząd rządem, polityka polityką, ale przeciętny Polak nie zasługuje na pogardę. Typowy Janusz jest całkiem w porządku. Ot co! ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Jeszcze raz

Jedna z moich ulubionych anegdot opowiada o tym, jak pewnego dnia ojciec wraca do domu z restauracji lekko poturbowany. Zdenerwowany syn woła, że nie można tego puścić płazem, wraca z ojcem do knajpy i krzyczy: „Kto to zrobił?". Podnosi się potężny, wytatuowany osiłek i mówi hardo: „Ja!". „A spróbuj to zrobić jeszcze raz!" – woła syn. „Bach!" – plasowany cios rzuca ojca na ziemię. Syn podnosi go i jeszcze bardziej zdenerwowany krzyczy do napastnika: „A spróbuj jeszcze raz!". Znów uderzenie i zalany krwią mężczyzna pada na ziemię. Syn bierze go pod ramię i mówi: „Chodź stąd, tato, bo cię zabiją!".

Gdyby politycy PO znali historię, wiedzieliby, że szanse powodzenia mają jedynie protesty oddolne, spontaniczne

Nie wiem dlaczego, ale przywodzi mi to na myśl zachowanie Platformy Obywatelskiej w tej kadencji. Kolejne cięgi (np. blamaż popieranego systemu relokacji uchodźców), kolejne spadki w sondażach, a ci brną, jak brnęli. Co gorsza, ocierają się o śmieszność. Zapowiadają rewolucję i biorą się organizacyjnie do przygotowania protestów. Gdyby znali historię, wiedzieliby, że szanse powodzenia mają jedynie protesty oddolne, spontaniczne, o dramaturgii kuli śnieżnej. W dodatku takie akcje zawsze muszą mieć jakiś realny powód – gwałtowne pogorszenie stopy życiowej, skok cen, prześladowania religijne czy polityczny terror. Emerytury odbierane ubekom czy wysłanie na emeryturę kolegów pani Gersdorf to stanowczo za mało, aby zgromadzić na ulicach prawdziwe tłumy. Gospodarka rozkwita, Trump nas ceni, wizja Międzymorza się rozwija, a ludzkie krzywdy ujawnione przez komisję weryfikacyjną ds. reprywatyzacji i śledczą w sprawie Amber Gold mają realne szanse zadośćuczynienia. W dodatku naczelnik państwa wyłapuje kiksy swoich co bardziej narwanych zawodników i nie pozwoli skłócić dużego pałacu z małym, a Wiejskiej z Nowogrodzką. Zapewnienia liberalnych Kasandr też zdały się na nic: „500+" i obniżenie wieku emerytalnego nie załamało budżetu, nauczyciele nie tracą pracy wskutek reformy oświatowej, nikt nie chce podnosić podatków itd.

Pozostaje tylko ślepa wiara w awanturę na ulicy i jakiś polityczny fuks. Zastanawia mnie, jaki geniusz tym kieruje, jaki tajny agent PiS goni bezradne lemingi ku zagładzie. Kiedyś podejrzewano, że Michał Kamiński, ale ten – podobnie jak Niesiołowski – jest poza partią. Teraz można domniemywać, że jest tym kimś Borysław Budka. Tyle że on ma tyle wspólnego z mężem stanu co gmach Sejmu z budką dróżnika. ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

Uroczystość odznaczenia Orderami Odrodzenia Polski kombatantów i weteranów lotnictwa. Przemawia Franciszek Kornicki, sierpień 2012 r.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Polak legendą RAF

Piotr Włoczyk

100-letni polski pilot został wybrany na bohatera wystawy na 100-lecie RAF. Ku wielkiemu zaskoczeniu samych Brytyjczyków

Kiedy pracownicy muzeum RAF zdecydowali się zorganizować głosowanie na najwspanialszego pilota Spitfire'a Mark V w historii, mogli zakładać, że zwycięzcy nie trzeba będzie szukać daleko". Brytyjski dziennik „The Telegraph" z uśmiechem zaczął swój tekst o zaskakujących wynikach internetowego plebiscytu zorganizowanego z okazji przypadającego w przyszłym roku 100-lecia Królewskich Sił Powietrznych.

Wcześniej sam „The Telegraph" próbował zachęcić Brytyjczyków do wzięcia udziału w głosowaniu za pomocą hasła: „Britons, the RAF needs you" („Brytyjczycy, RAF was potrzebuje").

Na nic się jednak zdały patriotyczne hasła. Szybko bowiem się okazało, że Brytyjczycy w całej sprawie niewiele mają do powiedzenia, a plebiscyt „porwali" Polacy. Dzięki mobilizacji nad Wisłą, a także wśród Polonii zamieszkującej Wyspy, zwycięzcą okazał się 100-letni Franciszek Kornicki, ostatni żyjący dowódca polskiego dywizjonu z okresu II wojny światowej.

Nasz pilot zdeklasował konkurencję – zdobył 325 tys. głosów – 16 razy więcej niż reszta kandydatów razem wziętych. W wyborze ogromne znaczenie miało niewątpliwie to, że Franciszek Kornicki był jedynym żyjącym kandydatem spośród 11 pilotów, na których można było oddać głos.

Sylwetka zwycięzcy, naturalnej wielkości, zostanie postawiona w przyszłym roku w muzeum RAF obok Spitfire'a VB BL614. Zwiedzający specjalną wystawę z okazji 100-lecia RAF będą też mogli zapoznać się z dołączonym do postaci biogramem zwycięskiego pilota.

Jak tłumaczy Peter Devitt, kurator z muzeum RAF, który wymyślił ten plebiscyt, nie chodziło w nim o wybór najlepszego pilota RAF, lecz o wyróżnienie lotnika, którego historia najbardziej chwyciła ludzi za serce.

Franciszek Kornicki, mieszkający od wojny w Wielkiej Brytanii, wydaje się być onieśmielony zamieszaniem wokół własnej osoby. – Jestem zaskoczony i nieco oszołomiony swoją popularnością, ale jestem jedynie jednym z bardzo wielu, a wśród walczących byli piloci o wiele

eprasa.pl 87d60c29ab

wybitniejsi ode mnie – powiedział po ogłoszeniu wyników. Zwycięzca plebiscytu nie czuje się ostatnio najlepiej, dlatego rzadko zgadza się na rozmowę z mediami.

– To niesamowite, jak Polacy zachęcali się nawzajem w mediach społecznościowych do głosowania na mojego ojca. Ta akcja robiła wrażenie – mówi nam Richard Kornicki, przewodniczący Polish Air Force Memorial Committee, organizacji zajmującej się kultywowaniem pamięci o polskich lotnikach. – Zwycięstwo mojego ojca pokazuje, jak ważna jest dla Polaków historia, jak są z niej dumni. W Wielkiej Brytanii ta kwestia wygląda inaczej, szczególnie wśród młodych ludzi.

Wyniki plebiscytu przestają dziwić, gdy spojrzymy na rezultat sondażu przeprowadzonego dwa lata temu, w 75. rocznicę bitwy o Anglię. Wynika z niego, że 40 proc. Brytyjczyków w wieku 18–24 lata nie ma pojęcia, czym była ta bitwa ani kiedy do niej doszło. 10 proc. z nich wskazało nawet, że był to najazd wikingów.

Pana Franciszka dobrze zna Piotr Sikora, polski historyk lotnictwa, od lat mieszkający w Wielkiej Brytanii. Polski pilot jest dla niego skarbnicą wiedzy, jeżeli chodzi o ciekawostki z życia lotników. Jak wspomina Piotr Sikora, w kontakcie ze zwycięzcą plebiscytu uderzająca jest jego skromność. Pan Franciszek nie pozwala zwracać się do siebie per „panie pułkowniku", uznając jedynie swój ostatni stopień z czasów II wojny światowej: kapitan.

W tekstach poświęconych zwycięstwu pana Franciszka brakuje zazwyczaj dosyć istotnej informacji: 100-letni pilot nie ma na swoim koncie ani jednego zestrzelenia wrogiej maszyny. Jak jednak podkreśla Piotr Sikora, wartość służby pilota ciężko mierzyć tym jednym parametrem.

– To dobrze, że wygrał pilot, który nie jest asem myśliwskim. Zazwyczaj bowiem patrząc na pilota myśliwskiego, sprawdzamy przede wszystkim to, ile zestrzeleń ma na koncie. Piloci myśliwscy mieli tymczasem w tamtej wojnie mnóstwo innych zadań, jak choćby wykonywanie lotów w osłonie bombowców, gdzie sama ich obecność często odstraszała wroga, czy też atakowanie celów naziemnych. Bardzo wielu pilotów zginęło, wykonując te zadania, i wielu spośród nich miało „zerowe" konto zestrzeleń. Również im należy się wyróżnienie – uważa Piotr Sikora.

– Najwięcej zestrzeleń piloci zaliczyli w czasie bitwy o Anglię. Franciszek Kornicki służył w tym czasie w 307. Dywizjonie Myśliwskim Nocnym i był w nim wyznaczony do roli „woźnicy". Samoloty Boulton Paul Defiant były dwumiejscowe i pilot niejako „woził" strzelca pokładowego. Gdy z kolei przeniesiono pana Franciszka do Dywizjonu 303 – było to jeszcze podczas bitwy o Anglię – nie służył on jako pilot operacyjny, lecz wciąż się szkolił – wyjaśnia Piotr Sikora.

Franciszek Kornicki urodził się 18 grudnia 1916 r. w Wereszynie, wsi leżącej w województwie lubelskim. Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie ukończył z trzecią lokatą na 173. W czasie kampanii wrześniowej służył w 162. Eskadrze Myśliwskiej, osłaniającej Armię „Łódź".

– Pan Franciszek poznał we wrześniu 1939 r. gorycz rozczarowania, która udzieliła się zresztą wtedy wszystkim polskim pilotom. Nasze myśliwce serii PZL P. („konstrukcji Puławskiego") na początku lat 30. były najlepszymi myśliwcami na świecie, ale w 1939 r. bardzo odstawały od maszyn nieprzyjaciela i ciężko nimi było dogonić nawet niemieckie bombowce – mówi historyk lotnictwa.

Franciszek Kornicki w lutym 1943 r., w wieku 26 lat, objął dowództwo dywizjonu 308 FOT. MUZEUM RAF

Po wycofaniu się jego jednostki na tereny wschodniej Polski Kornicki przedostał się przez Rumunię do Francji. Po jej klęsce w czerwcu 1940 r. został przerzucony do Wielkiej Brytanii.

Służył tam w dywizjonach 307, 303, 315, 308 oraz 317. Do historii polskiego lotnictwa przeszedł jako najmłodszy dowódca dywizjonu w Polskich Siłach Powietrznych – w lutym 1943 r., w wieku 26 lat, objął dowództwo dywizjonu 308.

W tym samym roku Franciszek Kornicki został odznaczony Orderem Virtuti Militari za dowodzenie osłoną bombowców nad północną Francją. W czasie tej misji Polacy zniszczyli cztery samoloty nieprzyjaciela, które przedzierały się w kierunku bombowców alianckich.

„Może nie stanowiło to przełomu w wojnie, ale na pewno fantastycznie zadziałało na nasze morale" – wspominał po latach tamtą akcję Franciszek Kornicki.

Konkurencja w internetowym plebiscycie była naprawdę silna. Drugie miejsce zajął sir Douglas Bader (1910–1982), któremu w momencie wybuchu wojny nikt nie dawałby szans na tytuł legendy RAF. W 1931 r. sir Douglas Bader stracił bowiem obie nogi w wypadku lotniczym. Zamiast jednak przejść na rentę kaleki pilot uparł się, że nauczy się latać z protezami, przechodząc tym samym do legendy RAF. W 1941 r., w czasie walki nad północną Francją, sir Douglas Bader musiał wyskoczyć z dymiącej maszyny. Resztę wojny przesiedział w obozie jenieckim.

Ostatnie miejsce na podium zajęła kobieta, pochodząca z Afryki Południowej Jackie Moggridge (1922–2004). Służyła ona w ATA (Air Transport Auxiliary), brytyjskiej służbie pomocniczej RAF. Moggridge w czasie wojny usiadła za sterami ponad 1,5 tys. samolotów 63 różnych typów.

Po wojnie Franciszek Kornicki zdecydował się pozostać w Wielkiej Brytanii, ożenił się z Angielką, z którą ma dwóch synów. Stulatek doczekał się siedmiorga prawnuków. Jak mówi, w kokpicie zawsze miał krzyżyk.

Po zakończeniu działań wojennych nie przeszedł do cywila – przez kolejne 20 lat służył w RAF, dochodząc do stopnia majora. W wolnej Polsce został awansowany do stopnia pułkownika.

– Ojciec nie chciał żyć pod rządami komunistów, ale decyzja o pozostaniu w Wielkiej Brytanii nie była dla niego łatwa. Całe życie wypatrywał potem z wielkim zainteresowaniem wieści z Polski – mówi syn Franciszka Kornickiego. – Jego komentarz po ogłoszeniu wyników plebiscytu nie wynikał z fałszywej skromności. Ojciec naprawdę czuje, że w czasie wojny był po prostu jednym z wielu. I to właśnie swoim kolegom dedykuje to wyróżnienie – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Archipelag

Panorama monasteru sołowieckiego, widok od Zatoki Pomyślności FOT. ARCHIWUM AUTORA

Adam Hlebowicz z Wysp Sołowieckich

W latach 1923–1937 działał tu najokrutniejszy przedwojenny łagier sowiecki, tzw. SŁON – Sołowiecki Łagier Szczególnego Przeznaczenia

Odbijamy od brzegu w mieście Kiem. Przed nami dwie godziny rejsu statkiem po Morzu Białym, do przepłynięcia ok. 60 km. Morze jest spokojne, bo to sierpień, jeden z tych miesięcy, gdy kapryśna północna woda nie sprawia kłopotu podróżnym. Myślę o tych tysiącach, dziesiątkach tysięcy ludzi, dla których podróż tym szlakiem była ostatnią w życiu. Gdy tu płynęli, 90 i nieco mniej lat temu, na pewno jednak mieli nadzieję na powrót, choć większość dobrze wiedziała, gdzie ten szlak prowadzi. Wtedy ukuto nazwę dla tego miejsca: „wyspy tortur i śmierci". Według ustaleń Michaiła Rozanowa spośród 83 tys. uwięzionych na archipelagu ok. 43 tys. zostało rozstrzelanych, zamordowanych w inny sposób, zmarło w wyniku chorób i wycieńczenia. To 52 proc. ogółu skazanych.

Wpływamy do Zatoki Pomyślności. Przed nami Wielka Sołowiecka, największa z wysp tutejszego archipelagu. Tuż za nią jest wyspa Anzer, na południe dwie Muksałmy, nieco poniżej dwie Wyspy Zajęcze. Tutaj w latach 1923–1937 działał najokrutniejszy przedwojenny łagier sowiecki tzw. SŁON – Sołowieckij Łagier Osobowo Naznaczenija (Sołowiecki Łagier Szczególnego Przeznaczenia).

MONASTER

To, co widać na wyspie z odległości kilku kilometrów, to przede wszystkim wyłaniające się z oparów mgły, potężne kamienne mury starego klasztoru. Kreml to gród warowny charakterystyczny dla budownictwa średniowiecznej Rusi. Twierdza sołowiecka była najpotężniejszym murem obronnym północnej części Imperium Rosyjskiego. Początek życia monastycznego sięga tu 1429 r., kiedy dwaj miejscowi pustelnicy, Sawwacjusz i German, spotkali się z mnichem Zosimą. Doszli do przekonania, że warto stworzyć coś większego niż tylko pustelnię. Ten plan się powiódł, wkrótce monaster sołowiecki urósł do rangi głównego ośrodka handlowego, politycznego, a nade wszystko duchowego północnej części Rosji. Za rządów ihumena Filipa wpływy klasztoru sięgały od Murmania do jeziora Onega. Handlowano solą i owocami morza, słynne były miejscowe ostrygi. Tuż przed przewrotem bolszewickim na terenie archipelagu mieszkało 571 mnichów. Osoby świeckie nie mogły na stałe mieszkać na wyspach. Co roku, między majem a wrześniem, wtedy, gdy Ocean Lodowaty Arktyczny nie był zamarznięty, przybywało tu z pielgrzymkami tysiące wiernych, modlących się do Boga i oddających cześć szczątkom świętych Zosimy, Sawwacjusza, Germana i Filipa.

Tym, co po raz pierwszy wstrząsnęło monasterem, były reformy patriarchy Nikona z połowy XVII w., które doprowadziły do podziału rosyjskiego prawosławia. Obrońcy starego porządku, nazwani później staroobrzędowcami, znaleźli poparcie na Sołowkach, w efekcie czego doszło do ośmioletniego oblężenia klasztoru. W 1676 r., na skutek zdrady jednego z mnichów, monaster padł, wojska carskie zamordowały większość obrońców, zachowując przy życiu jedynie 14 z nich. Czy była to zapowiedź tego, co wydarzyło się w tym miejscu kilka wieków później? Tego nie wiemy. Faktem jest, że władze carskie wykorzystywały to miejsce aż do roku 1905 do zsyłania tutaj niepokornych i niepożądanych postaci w życiu publicznym.

A sam klasztor? Jak wspomina Oleg Wołkow, autor wstrząsających zapisków na miarę Sołżenicyna i Szałamowa

eprasa.pl 87d60c29ab

SŁON

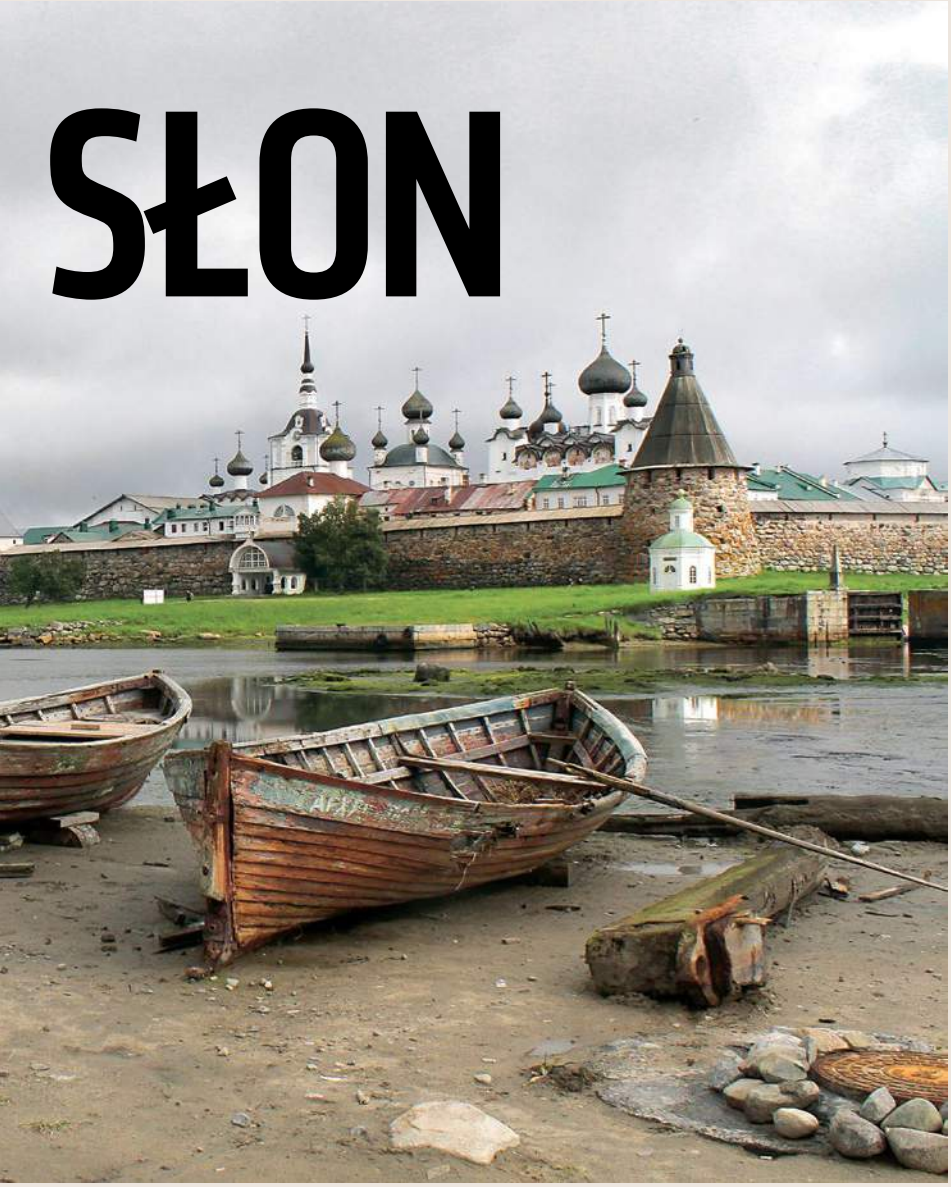

zatytułowanych „W otchłani", długoletni więzień SŁON: „Ci, którzy odwiedzali niegdyś Wyspy Sołowieckie, opowiadali o łzach na promieniujących szczęściem twarzach pielgrzymów, którzy na widok siwego klasztoru zapominali o kłopotach swego niełatwego życia. Sam w zbyt wielkim stopniu byłem człowiekiem swoich czasów, zamkniętym na tego rodzaju olśnienie, a mimo to… Mimo to ze wzruszeniem wpatrywałem się w niezniszczalną twierdzę prawosławia, zbudowaną tak, by odeprzeć wszelkie zakusy".

KIEM, ANZER I SIEKIERNA GÓRA

Klasztor ponownie rozkwitł w końcu XIX stulecia. Powstawały nowe cerkwie i pustelnie zwane skitami, powołano do życia szkoły, zbudowano stację meteo, latarnię morską, działały: radiotelegraf, pogotowie ratunkowe, tutejsze rozwiązania hydrotechniczne uchodziły za najbardziej nowoczesne w ówczesnej Europie. 29 kwietnia 1920 r. wyspy zajęli bolszewicy. Najpierw okradziono klasztor ze wszystkich kosztowności. Potem przepędzono mnichów, zostawiając tylko tych, którzy niezbędni byli do utrzymania życia na Sołowkach. Finałem były aresztowania duchownych i profanacja oraz wywiezienie do Moskwy relikwii tutejszych świętych. Przez trzy lata na wyspach działał sowchoz. W listopadzie 1923 r. Rada Komisarzy Ludowych powołała do życia SŁON. Pomysłodawcy tego rozwiązania uważali, że położenie wyspiarskie, surowy klimat, trudne warunki życia będą znakomitym miejscem dla wszelkiej maści przestępców, a nade wszystko dla „kontry". Byłych carskich oficerów, dawnych ziemian i arystokracji, niezależnej inteligencji, duchowieństwa każdej religii i każdego obrządku. Szybko do tego zestawienia dołączyli inni opozycjoniści – mieńszewicy, eserowcy, anarchiści. Z czasem przyszedł czas na swoich: oficerów bezpieki, komunistów, donosicieli. A oprócz tego zwykły, szary lud – chłopi, kolejarze, robotnicy. Każdy, na kogo znalazł się odpowiedni paragraf lub donos.

Gehenna zaczynała się już w punkcie przesyłkowym na stałym lądzie w Kiem. Tutaj, na Popiej Wyspie, trzymano wszystkich, którzy potem płynęli na Sołowki. To była pierwsza lekcja strachu, pozbawiania nadziei, łamania charakterów. Na niewielkiej powierzchni w drewnianych barakach mieszkało do 900 ludzi. Już tu goniono uwięzionych do ciężkiej, nieludzkiej pracy, stąd określenie miejsca kwarantanny – „wrota do piekieł".

Po przewiezieniu na wyspy skazańców osiedlano na terenie klasztoru, z czasem, gdy liczba uwięzionych rosła, zbudowano dla nich drewniane baraki. Isakowo, Sawwatjewo, Siekierna Góra to miejsca, gdzie trafiali łagiernicy. Wysyłano ich także na pozostałe wyspy. Na wyspie Anzer trzymano „niepracujący element", czyli np. duchownych różnych konfesji. Jednak prawdziwym piekłem, a nie przedpieklem, była Siekierna Góra. W byłym klasztorze Wozniesienskim znajdował się karcer. Kto tu trafiał, ten wiedział, że to koniec życia. Żerdź u sufitu w cerkwi, gdzie sadzano więźniów, aż spadali z niej wyczerpani, słynne schody na wzgórzu (jest ich ponad 300), skąd zrzucano na dół skazańców przywiązanych do poprzecznej drewnianej belki. Kto wytrzymał te tortury i żył nadal, tego rozstrzeliwano.

Schodzę z Siekiernej Góry do symbolicznego cmentarza zeków. Rozpostarte sznurki wskazują, gdzie nie należy wchodzić, bo tam są pochowani ludzie. Na prawosławnych krzyżach u dołu metalowe tabliczki z informacją: 26 ludzi, dziewięciu ludzi, jeden człowiek. Tyle osób jest pochowanych pod każdym krzyżem. To udało się ustalić na podstawie badań archeologicznych przeprowadzonych w tym miejscu w 2006 r.

Zabijano jednak i gdzie indziej. Przede wszystkim pod murami Kremla. Jak wspomina Polak Mieczysław Lenardowicz, „tysiące ludzi ginęło od kul zwyrodnialców sowieckich, i to bardzo

eprasa.pl 87d60c29ab

często bez wyroków". Niektórzy nie wytrzymywali ciągłego strachu o dzień jutrzejszy i popełniali samobójstwa.

GORKI I JEGO ŻONA

Informacje o strasznych rzeczach, które dzieją się na Sołowkach, docierały do Moskwy. Niekiedy przyjmowano te wiadomości z pełną aprobatą, kiedy indziej decydowano się na wysłanie delegacji, by sprawdziła stan faktyczny. Najsłynniejsza z tych misji to wizyta w 1929 r. Maksyma Gorkiego (prawdziwe nazwisko: Pieszkow). Pewnie nie byłoby tych odwiedzin, gdyby nie ucieczki z Sołowek i świadectwa zbrodni, które ukazały się na Zachodzie. Głównie uciekano ze stałego lądu, czyli Kiemu, tylko w latach 1926–1927 próbę taką podjęło 188 osób, z czego 43 ludziom się udało. Z samych wysp zbiegło 12 osób, z których żadna nie została pojmana. Do jednej z najsłynniejszych ucieczek doszło w maju 1925 r., kiedy spod Kiemu zbiegło pięciu ludzi, w tym biały oficer Jurij Biessonow i Polak Edward Malbrodzki. Uciekinierzy przez miesiąc przedzierali się do fińskiej granicy. Ucieczki miały o tyle znaczenie dla SŁON, że część zbiegów opublikowała na Zachodzie wspomnienia z łagrów. Intelektualny świat Zachodu był nimi oburzony. Feuchtwanger, Rolland, France i inni wymyślali autorom wspomnień od najgorszych. Jedynym wyjątkiem był Rudyard Kipling, który mocno wsparł Jurija Biessonowa. Skutkiem jednak dyskusji na Zachodzie na temat obozów koncentracyjnych w Sowietach była wspomniana wizyta Gorkiego.

Władze obozowe starannie się przygotowały. Malowano fasady domów, myto pomieszczenia, ożyły teatr, biblioteki i łagrowa orkiestra. Pisarz był na wyspie półtora dnia. Odwiedził oprócz Kremla Wielką Muksałmę i Siekierną Górę. Po powrocie do stolicy napisał artykuł, w którym stwierdził, jak nielekka jest praca organów NKWD nad wychowaniem „społecznie niebezpiecznych" elementów. W podsumowaniu dodał: „Takie obozy jak Sołowki są dla nas niezbędne".

Paradoksem jest, że była żona Gorkiego – Jekatierina Pieszkowa – przez wiele lat okresu międzywojennego stała na czele Politycznego Czerwonego Krzyża, która to organizacja jako jedyna w ZSRS pomagała więźniom politycznym. Pieszkowa zaangażowana była również w prace Polskiego Biura PCK, pomagając przez ponad 15 lat wielu Polakom,

Archimandryta January, odpowiada w klasztorze za kontakty z mediami FOT. ARCHIWUM AUTORA

w tym licznym księżom katolickim. Organizowała i wysyłała paczki z pomocą, wspierała nawiązywanie kontaktów między rozłączonymi rodzinami, a także ułatwiała wyjazdy tym spośród naszych rodaków, których można było wymienić na komunistów lub sowieckich agentów.

POLACY NADAL NIEZNANI

II wojna światowa z Katyniem, Oświęcimiem, masowymi łagrami i Holokaustem zatarła pamięć o przedwojniu. Podobnie jak z ok. 200 tys. ofiar operacji polskiej NKWD z lat 1937–1938 z naszej zbiorowej pamięci zniknęła pamięć o Archipelagu SŁON. A przecież wielu naszych rodaków nie tylko tu było, lecz także straciło życie. A jak wspomina Oleg Wołkow: „Polaków traktowano szczególnie okrutnie". To świadectwo złożył ten, który sam był sześciokrotnie aresztowany i prawie 30 lat swego życia spędził w sowieckich łagrach oraz więzieniach.

Kiedy w 1991 r. zamieściłem w „Tygodniku Powszechnym" list (wtedy to było wydarzenie) zatytułowany „Co się stało ze 102 księżmi?", nie przypuszczałem, że część odpowiedzi znajduje się na Wyspach Sołowieckich. Mój list nawiązywał do inicjatywy ambasadora Polski w ZSRS Stanisława Kota z 1941 r., który wręczył naczelnemu prokuratorowi sowieckiemu Andriejowi Wyszyńskiemu dokument pytający o losy 102 duchownych uwięzionych przed wojną przez NKWD. Wyszyński nie odpowiedział na zapytanie. Czytelnicy „TP" także w niewielkim stopniu mi wtedy pomogli, bo uboga była wiedza na ten temat. Stowarzyszenie Memoriał dopiero w drugiej połowie lat 90. na podstawie ujawnionych dokumentów odnalazło miejsca pochówku więźniów SŁON, obozów Karelii i Leningradu. Większość tych osób spoczywa w dołach śmierci Wysp Sołowieckich, Sandarmochu, Krasnego Jaru, Łodiejnego Pola i w innych miejscach sowieckich kaźni. Nieliczni jedynie mieli szczęście wyrwać się z piekła i na drodze wymiany w latach 30. przyjechać do Polski. Dzięki nim, ks. Wincentemu Ilginowi i Franciszkowi Olechnowiczowi, pozostały na ten temat jakiekolwiek świadectwa.

Nadal jednak losy tych ludzi są w większości dla nas zagadką. Co nieco wiemy o Kamili Kruszelnickiej. Urodzona w Baranowiczach, a wychowana w Moskwie związała się z młodzieżowym kołem katolickim. Aresztowana wraz z innymi kobietami w 1933 r., trafiła na Sołowki. Mimo że nie znała wolnej Polski, była szczerą patriotką i dobrą chrześcijanką. W 1937 r., kiedy likwidowano SŁON, została wraz z innymi więźniami wywieziona do Sandarmochu i tam rozstrzelana. Dzisiaj toczy się jej postępowanie beatyfikacyjne, obok 14 innych męczenników z Rosji.

PRZYSZŁOŚĆ SOŁOWEK

Pisząc o katolickim duchowieństwie, ofierze SŁON, nie można pominąć tych, których tu było najwięcej. Wiemy, że na wyspach więziono 80 arcybiskupów i biskupów oraz ponad 400 duchownych prawosławnych. Wielu z nich zaliczono już w poczet świętych.

Mnisi wrócili na Sołowki w 1990 r. Dzisiaj dawne miejsce pielgrzymkowe ponownie ożyło. Wmieszany w tłum pątników zadaję sobie pytania: „Co ich tutaj przyciąga?", „Czy ogrom dokonanych zbrodni nie powinien z tego miejsca uczynić pustyni?". Archimandryta January, odpowiedzialny w klasztorze sołowieckim za kontakty z mediami, odpowiada: „Ludzie przybywają na wyspy od 500 lat. Jaka siła tu działa, tego do końca nie wiemy, ale skoro dawniej się tak działo, dzieje się i teraz, to znaczy, że coś w tym jest. W tym miejscu Bóg jest blisko. Wielu ludzi właśnie tutaj odnajduje odpowiedzi na swoje życiowe i duchowe pytania. Na miejscu śmierci duchownych chcemy odbudować cerkiew, która będzie poświęcona nowym męczennikom. To dla chrześcijanina jest fundament, miejsce, gdzie może szukać i znajdować życie duchowe, to miejsce przeznaczone dla modlitwy, która dla nas jest najważniejsza."

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 87d60c29ab

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Straszny rok 1936

Pamięć narodów jest niezwykle selektywna. Nie inaczej jest z narodem polskim. Niektóre z masowych zbrodni dokonanych na naszych rodakach – w Auschwitz, Katyniu czy Wołyniu – znalazły się w centrum polskiej pamięci historycznej. Innymi interesują się tylko specjaliści, a przeciętny Polak nie słyszał o nich nigdy. Tak jest z wielką sowiecką deportacją z 1936 r. Szykując się do najazdu na Europę, Józef Stalin postanowił rozprawić się z potencjalną „piątą kolumną". Czyli Polakami zamieszkującymi przy granicy z II RP. Ofiarami zsyłki padło nawet 120 tys. naszych rodaków.

Wojska NKWD otoczyły polskie miejscowości i wtargnęły do domów. Ludziom kazano zabierać rzeczy i popędzono ich do pociągów. Jechali wiele dni w wagonach bydlęcych. Byli głodzeni, pozbawieni wody i pomocy medycznej. Wielu umarło już w drodze. Polacy zostali porzuceni na stepach Kazachstanu. W ekstremalnych warunkach musieli wykopać sobie ziemianki i rozpocząć „nowe, wspaniałe życie". Efekt był nietrudny do przewidzenia. Epidemie, straszliwa klęska głodu, powolne wymieranie.

Gdy później, w latach 1939–1941, Sowieci przeprowadzili wielkie deportacje Polaków z zajętych ziem wschodnich II Rzeczypospolitej wielu z nich trafiło do Kazachstanu. Tam, ku swojemu przerażeniu, spotkali niedobitki rodaków wysiedlonych w roku 1936. I bardzo wiele świeżych, polskich mogił. Ta sowiecka zbrodnia – będąca fazą wstępną do ludobójczej operacji polskiej NKWD – została niemal zupełnie zapomniana.

Miejmy nadzieję, że sytuacja ta wkrótce się zmieni. Jednym z kroków na drodze do tego celu ma być wydanie przez fundację Rodacy '37 wspomnień Stanisława Żywutskiego. W 1936 r., jako chłopiec, został on uprowadzony z rodzinnej Szepetówki na Podolu. A po latach w przejmujący sposób opisał swoją gehennę.

Jest to książka wstrząsająca. Jedno z najbardziej przerażających świadectw sowieckiego bestialstwa. A zarazem opowieść o polskim bohaterstwie i harcie ducha. ©℗

★★★★★★

STANISŁAW ŻYWUTSKI „DEPORTACJA '36" FUNDACJA RODACY '37/LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kapitulacja inaczej

Ostatnie dni września 1944 r. były w powstańczej Warszawie oczekiwaniem na kapitulację. Toczyły się wprawdzie cały czas zacięte walki, ale wszyscy wiedzieli, że powstanie już długo nie potrwa.

„Przez trzy dni trwało zawieszenie broni – wspominała sanitariuszka Barbara Bobrownicka-Fricze z batalionu »Bończa« stacjonującego w ruinach Poczty Głównej. – Przyszli wtedy do nas żołnierze niemieccy, to byli właściwie chłopcy. […] Jeden z nich opowiadał o sanitariuszce, czy też łączniczce, którą widział w czasie walk, biegła, z opaską na ramieniu, a on nie mógł, nie chciał do niej strzelić. Widziałam tę jego bezradną twarz i do dziś tego człowieka pamiętam. Pierwszy raz widziałam, że Niemiec to może być człowiek".

Relacje Niemców z powstańcami po kapitulacji mogły zaskoczyć nie tylko „Szczerbę"

Inne zdanie na temat kapitulacji miał dowódca batalionu, por. Zbigniew Blichewicz „Szczerba". Gdy na odprawie oficjalnie dowiedział się o rozmowach z Niemcami, po powrocie na kwaterę zażądał wódki i „pod papierosa wypił cały zapas", czyli prawie pół litra. A następnego dnia obserwował ze zgrozą, jak w odległości 150 metrów od polskich stanowisk spacerowali hitlerowscy żołnierze bez broni…

Na ostatnią odprawę „Szczerba" przyszedł kompletnie pijany, zapewne uznał, że dyscyplina nie ma już większego znaczenia, a może jego psychika nie wytrzymała świadomości klęski. Ten człowiek przeszedł wiele i nie zamierzał teraz trafić za druty obozu jenieckiego.

Wraz ze swoim batalionem złożył broń 4 października i opuścił Warszawę. Nie chciał widzieć, jak cieszyła się ludność cywilna po zakończeniu walk, nie chciał też oglądać przyjaznych gestów ze strony niedawnego wroga.

Inna sprawa, że relacje Niemców z powstańcami po kapitulacji mogły zaskoczyć nie tylko „Szczerbę". Były one co najmniej poprawne, tak jakby nie było dwóch miesięcy krwawych walk ani ponad 100 tys. ofiar.

„Nasze patrole chodziły normalnie z bronią – opowiadał Zbigniew Dębski z batalionu »Kiliński« – również po terenie zajętym przez Niemców. […] Nie spotykaliśmy się z oznakami wrogości. Niemcy byli raczej pełni uznania, że tyle czasu stawialiśmy im opór. Zachowywali się wobec nas zupełnie przyzwoicie.

Niektórzy koniecznie chcieli dokonać transakcji polegającej na wymianie lub kupnie naszej broni".

Inna sprawa, że powstańcze patrole nie napotykały esesmanów ani członków RONA Kamińskiego. Zapewne w innym przypadku nie byłoby tak spokojnie… ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

Jacek Przybylski

Zaskakująco dobry wynik wyborczy Alternatywy dla Niemiec będzie mieć ogromny wpływ na niemiecką politykę najbliższych lat. Czy Polska może na tym zyskać?

Niemiecka lekcja pokory

Nawet Frauke Petry, współzałożycielka AfD, uważa, że partia stała się zbyt radykalna FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

Wygrana Angeli Merkel – koalicja CDU/CSU zdobyła 33,2 proc. głosów – to dobra wiadomość dla Polski. Jej najważniejszy polityczny przeciwnik, szef socjalistów Martin Schulz, jest bowiem jawnym przeciwnikiem rządu w Warszawie. Porażka w wyborach – SPD zdobyła zaledwie 21,6 proc. głosów, uzyskując najgorszy wynik w historii – sprawiła, że socjaldemokraci zdecydowali, iż nie wejdą do rządu i staną w opozycji do pani kanclerz. Najbardziej prawdopodobna koalicja złożona z CDU/CSU, Zielonych oraz probiznesowych liberałów z Wolnej Partii Demokratycznej (FDP) powinna być Polsce stosunkowo przychylna. Utworzenie rządu na podstawie takiej koalicji będzie jednak wyjątkowo trudnym zadaniem i najprawdopodobniej nawet Angeli Merkel – znanej z wybitnych talentów politycznych – zajmie wiele tygodni.

Jednak choć po zwycięstwie we wrześniowych wyborach do Bundestagu niemiecka żelazna dama wyrównała rekord swego poprzednika Helmuta Kohla, który również funkcję kanclerza sprawował aż cztery kadencje, to podczas pierwszego powyborczego przemówienia wyglądała na wyraźnie spiętą i wyczerpaną. I to nie tylko dlatego, że chadecy tylko raz w powojennej historii uzyskali w wyborach parlamentarnych gorszy wynik. Największą porażką Angeli Merkel jest jednak doprowadzenie do tego, że Alternatywa dla Niemiec odniosła historyczne zwycięstwo.

Przedwyborcze sondaże dawały tej istniejącej od czterech lat partii ok. 8–10 proc., tymczasem AfD uzyskała niemal 13 proc. głosów i będzie miała w niemieckim parlamencie prawie 100 posłów.

SZANSE EKSTREMISTÓW

Nie jest to pierwszy przypadek od czasu zakończenia II wojny światowej, kiedy niemieccy ekstremiści nagle zaczęli zyskiwać na popularności wśród niemieckich wyborców. W 1949 r. sukcesy w wyborach do parlamentów krajów związkowych zachodnich Niemiec odnieśli politycy Socjalistycznej Partii Rzeszy (SRP), której zarząd tworzyły osoby z nazistowską przeszłością. Została ona jednak rozwiązana w 1952 r. przez Federalny Trybunał Konstytucyjny, który zakazał jej działalności.

W połowie lat 60. ekstremiści znów próbowali dostać się na polityczne salony, zakładając w Hanowerze Narodowodemokratyczną Partię Niemiec (NPD), będącą kontynuatorką Niemieckiej Partii Rzeszy. Politycy NPD zdobyli wówczas mandaty aż w siedmiu zachodnich krajach związkowych. W wyborach w 1969 r. o włos przegrali jednak walkę o miejsce w Bundestagu, a w kolejnych mało kto chciał już na nich głosować. Partia, która w swoim programie postuluje np. rewizje granic państwowych z Polską, renegocjacje traktatów międzynarodowych oraz przywrócenie niemieckiej marki, istnieje jednak nadal, chociaż jej delegalizacji domaga się m.in. Centralna Rada Żydów w Niemczech. W 2014 r. zdobyła 1 proc. głosów, dzięki czemu wprowadziła do Parlamentu Europejskiego jednego europosła. Jej przedstawicielom przez kilkadziesiąt lat nie udało się jednak dostać do Bundestagu. W latach 80. na niemieckiej scenie politycznej pojawiły się również nacjonalistyczna Niemiecka Unia Ludowa (DVU) oraz partia Republikanie (REP), której jednym z liderów był dawny plutonowy Waffen-SS.

Największą porażką Angeli Merkel jest doprowadzenie do tego, że Alternatywa dla Niemiec odniosła historyczne zwycięstwo

Nigdy w powojennej historii Niemiec przedstawiciele partii, która otwarcie głosi nacjonalistyczne, ksenofobiczne, antyeuropejskie i rewizjonistyczne postulaty, nie przekroczyli progu wyborczego do niemieckiego parlamentu. W 2013 r. AfD – partii, która jest jeszcze bardziej na prawo niż bawarscy chadecy – zabrakło do wymaganych 5 proc. zaledwie 0,3 punktu procentowego. W tym roku politycy Alternatywy stali się już istotną siłą polityczną, a wejście do Bundestagu niemieckich populistów i nacjonalistów jest dla tego ugrupowania historycznym zwycięstwem. Zwycięstwem, którego mało kto się spodziewał, gdy cztery lata temu, w kwietniu 2014 r., ekonomista Bernd Lucke, doktor chemii Frauke Petry oraz publicysta Konrad Adam zakładali Alternatywę dla Niemiec – ugrupowanie postulujące wyjście Niemiec ze strefy euro, domagające się zaprzestania pomocy finansowej dla Grecji oraz forsujące referenda jako instrument demokracji bezpośredniej.

Partia z roku na rok stawała się bardziej radykalna, a w końcu jej stery przejęli politycy ze skrzydła nacjonalistycznego. Wyborcy partii to ludzie, którzy mają dość nie tylko imigrantów, lecz także protestują przeciwko globalizacji.

Wyborcze zwycięstwo AfD przeraziło mnóstwo Niemców. „Faszyści, won!", „Precz z nazistami" – krzyczało 24 września kilkuset demonstrantów, którzy zebrali się wokół budynku, w którym AfD świętowała w Berlinie swój wyborczy triumf.

SZANSE DLA POLSKI?

W Polsce wyborczy rezultat AfD wzbudził skrajne reakcje: od zachwytu części prawicowych komentatorów do alarmujących tonów ze strony lewicowców, którzy w politykach tej partii widzą samo zło. Wydaje się, że z punktu widzenia interesów polskich władz główną zaletą wejścia do Bundestagu polityków Alternatywy dla Niemiec jest potencjalna korekta nieodpowiedzialnej polityki migracyjnej Angeli Merkel. Otwarcie drzwi dla ponad miliona przybyszów z Afryki i Bliskiego Wschodu – w sumie od 2015 r. do Niemiec przybyło 1,3 mln migrantów – mocno wpłynęło bowiem na nastroje wyborców i było główną przyczyną relatywnie słabego wyniku koalicji CDU/CSU, a także dobrego rezultatu AfD.

Wielu ciemnoskórych imigrantów ani myśli o tym, by od rana do wieczora pracować, wypełniając lukę na rynkach starzejących się społeczeństw: są oni bowiem niedostosowani zarówno do tempa pracy, jak i do panujących na Starym Kontynencie obyczajów. Widok młodych, silnych facetów, którym całe dnie nie chce się pracować, musi budzić frustrację i strach.

Można się więc spodziewać, że rząd w Berlinie naprawi błąd typowy dla wielu członków europejskich elit ignorujących opinie wyborców. Merkel, aby odbudować poparcie dla swojej partii, najprawdopodobniej uwzględni obawy głosujących, rozczarowanych polityką tradycyjnych partii, zaniepokojonych kryzysem tożsamości na Starym Kontynencie oraz wzrostem wpływów islamu.

Kanclerz zaostrzy więc wreszcie kurs wobec imigrantów. Wątpliwe, by niemiecka żelazna dama przyznała

eprasa.pl 87d60c29ab

się do błędu, ale jest niemal pewne, że Niemcy będą więcej uwagi poświęcać ochronie unijnych granic, a także tzw. polityce powrotów, czyli procesowi szybkiej deportacji do krajów pochodzenia dziesiątków, a być może nawet setek tysięcy uchodźców, których wnioski o udzielenie azylu politycznego zostały odrzucone.

Niewykluczone jest również wprowadzenie rocznych kwot imigracyjnych. W interesie polskich władz może również leżeć prawdopodobne zamrożenie unijnej dyskusji o obowiązkowej relokacji uchodźców. A także ograniczenie niezrozumiałej dla wielu wyborców rozdętej do groteskowych rozmiarów poprawności politycznej, która doprowadziła m.in. do tego, że główne media czy policja tak długo milczały w sprawie licznych gwałtów i przypadków molestowania seksualnego białych kobiet przez czarnoskórych napastników podczas sylwestrowej nocy w Kolonii w 2016 r.

POLACY NA CELOWNIKU?

Największym problemem z punktu widzenia Polski może być z kolei rewizjonistyczna postawa wielu polityków AfD. Jednym z liderów tej partii jest 76-letni Alexander Gauland – znany m.in. z publicznie wyrażanych pochwał pod adresem „dzielnych" żołnierzy Wehrmachtu, z których „Niemcy powinni być dumni" tak jak Francuzi są dumni z Napoleona, a Brytyjczycy z Churchilla.

Inny czołowy polityk tego ugrupowania, urlopowany nauczyciel gimnazjum Björn Höcke, na początku roku określił pomnik Holokaustu w Berlinie mianem „hańby" i ubolewał, że Niemcy pielęgnują „mentalność brutalnie pokonanego narodu". W zeszłym roku „Süddeutsche Zeitung" ujawnił też, że inny polityk AfD – Kay Nerstheimer – wielokrotnie chwalił na Facebooku czasy panowania nazistów, bagatelizował ich zbrodnie wojenne, a także umieścił link do filmu sugerującego, że odpowiedzialność za wywołanie II wojny światowej ponosi Polska, a nie Niemcy.

Politycy Alternatywy dla Niemiec krytykowali również liderów tradycyjnych partii za to, że zbyt mocno biją się w piersi za zbrodnie z czasów III Rzeszy. A część członków tego ugrupowania otwarcie kwestionuje obecną granicę na Odrze i Nysie. Kłopot w tym, że jako reprezentanci trzeciej siły w parlamencie nacjonalistyczni politycy Afd będą mogli chodzić po największych stacjach telewizyjnych i przedstawiać w nich swoją, mocno niezgodną z faktami, wizję historii II wojny światowej, promując socjalne osiągnięcia III Rzeszy, rozpamiętując ofiary alianckich bombardowań i powojennych wypędzeń, nawołując do likwidacji pomników poświęconych pomordowanym w Holokauście Żydom, żądając zwrotu majątków pozostawionych przez Niemców na ziemiach należących do Polski i zapominając o tym, kto był ofiarą, a kto katem odpowiedzialnym za największą wojenną tragedię XX w. Nie bez powodu w kampanię wyborczą AfD mocno zaangażowała się była szefowa Związku Wypędzonych Erika Steinbach, córka żołnierza Luftwaffe, która na świat przyszła w okupowanej przez Niemców Rumi i przez pierwsze miesiące życia wychowywana była przy ul. Sobieskiego (zwanej przez okupantów Adolf-Hitler--Strasse), a już jako dorosła kobieta stała się jedną z najbardziej aktywnych działaczek protestujących przeciw uznaniu przez niemieckie władze granicy na Odrze i Nysie.

Politycy AfD, typowej partii protestu, budzą kontrowersje nie tylko wówczas, gdy próbują wybielać brunatne karty niemieckiej historii, lecz także wtedy, gdy komentują współczesne stosunki międzynarodowe. Wspomniany lider tej partii Alexander Gauland tuż przed wyborami opowiedział się także m.in. za ostatecznym uznaniem Krymu za część Rosji.

Politycy AfD krytykują liderów tradycyjnych partii za to, że zbyt mocno biją się w piersi za zbrodnie z czasów III Rzeszy

Jedna z niedawnych liderek Alternatywy – Frauke Petry – spotkała się zaś kilka miesięcy temu w Moskwie m.in. z Wiaczesławem Wołodinem, przewodniczącym Dumy i byłym szefem gabinetu Władimira Putina.

W tym kontekście wiarygodne wydają się więc doniesienia dziennika „Washington Post", według którego przed wyborami do Bundestagu władze na Kremlu robiły, co mogły, aby zwiększyć szanse polityków Alternatywy dla Niemiec, wspierając przedstawicieli AfD m.in. w mediach społecznościowych.

Zaniepokojenia wynikiem Alternatywy dla Niemiec nie krył premier Czech. „Kto się cieszy z wyniku AfD, nie widzi dalej niż czubek swojego nosa" – napisał na Twitterze Bohuslav Sobotka, ostrzegając, że dziś celem dla polityków AfD są imigranci i Unia Europejska, „a jutro będą nim Czesi i Polacy". I chociaż można na tę wypowiedź spojrzeć jak na typową gadkę socjaldemokraty, to nie można wykluczyć, że Sobotka może mieć rację. Wielu eurosceptycznych polityków AfD ma bowiem skrajnie nacjonalistyczne poglądy i to właśnie one – po prawdopodobnym podebraniu przez pragmatyczną Merkel wyborców obawiających się imigrantów z Afryki czy z Azji – mogą stać się głównym argumentem w następnych wyborach.

ROZŁAM

42-letnia Frauke Petry, wiceszefowa AfD, tuż po wyborach niespodziewanie ogłosiła, że nie zamierza wejść do klubu parlamentarnego tego ugrupowania. Zarzuciła bowiem liderom z nacjonalistycznego skrzydła AfD, że zbyt radykalnymi wypowiedziami zrazili do partii wyborców centrowych. Wkrótce potem jej mąż Marcus Pretzell – również bardzo istotny polityk Alternatywy dla Niemiec – zapowiedział, że on też wystąpi z partii.

Po ogłoszeniu wyniku wyborów Alexander Gauland nie złagodził jednak ekstremistycznej retoryki. Przeciwnie: zapowiedział m.in., że będzie „polował na Merkel".

Do tak ostrych słów Niemcy będą więc musieli się przyzwyczaić. Sukces wyborczy oznacza, że przedstawiciele skrajnej prawicy będą mogli liczyć na finansowanie z pieniędzy podatników, a także zyskają dojście do wielu państwowych instytucji, w tym do publicznych mediów. O takich przywilejach partie nacjonalistyczne w powojennych Niemczech mogły wcześniej tylko pomarzyć. Można się więc spodziewać, że AfD – mimo groźby podziału – przetrwa dłużej i doprowadzi do radykalnych zmian na niemieckiej scenie politycznej, w tym do zmiany systemu partyjnego. Z tak mocną partią nacjonalistyczną w parlamencie kanclerz Angeli Merkel i jej ewentualnym następcom trudniej będzie bowiem zbudować stabilną koalicję rządzącą.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA G. MAJCHRZAKA „TAJNA HISTORIA FUTBOLU"

HISTORIA POLSKIEGO FUTBOLU TO NIE TYLKO ZŁOTY MEDAL OLIMPIJSKI I DWUKROTNIE TRZECIE MIEJSCE NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA – TO TAKŻE PODSŁUCHY, PROWOKACJE I AFERY OBYCZAJOWE.

W KSIĄŻCE GRZEGORZA MAJCHRZAKA OPARTEJ NA NIEZNANYCH MATERIAŁACH IPN SENSACJA GONI SENSACJĘ, A HISTORIE KAZIMIERZA DEYNY, „BANDY CZWORGA", JANA TOMASZEWSKIEGO, MARKA LEŚNIAKA CZY ROBERTA GADOCHY JASNO POKAZUJĄ KOMU BEZPIEKA „ZAŁOŻYŁA SIATKĘ", A KTO POTRAFIŁ JEJ STRZELIĆ W OKIENKO.

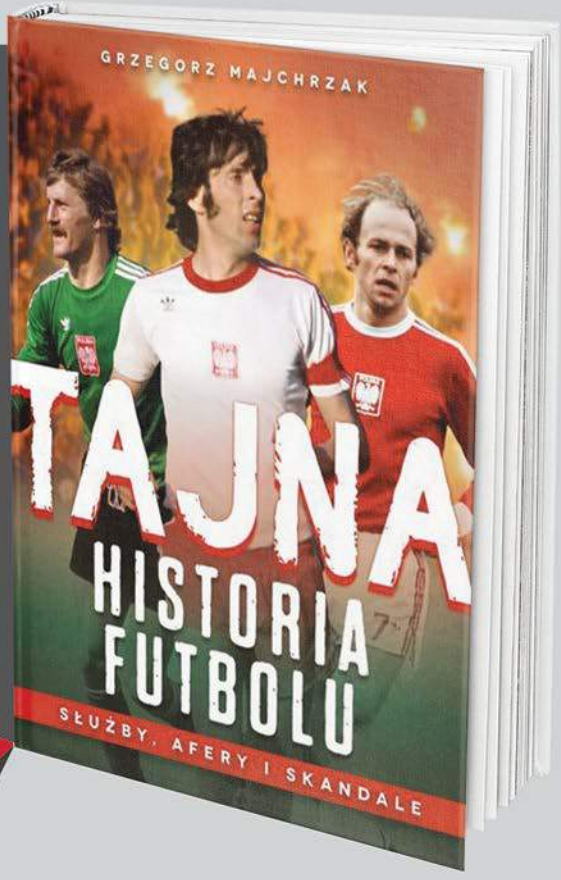

137 zł

oszczędność 82 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 87d60c29ab

Ratunek

Olivier Bault

Zniknięcie z wód terytorialnych Libii statków organizacji zajmujących się „ratowaniem" imigrantów spowodowało znaczny spadek utonięć osób próbujących nielegalnie przedostać się do Europy. W czyim interesie działały organizacje humanitarne?

Ponton pneumatyczny ze 137 migrantami na pokładzie, któremu skończyło się paliwo, przewrócił się 20 września po wypłynięciu z miejscowości Sabrata w zachodniej Libii. Uratowano tylko 40 osób, odnaleziono siedem ciał, ale 90 osób zaginęło, co oznacza, że musiały utonąć. Jednakże wbrew deklaracjom organizacji pozarządowych, którym na początku sierpnia libijska straż przybrzeżna mocno ograniczyła działalność w strefie 100 mil morskich od wybrzeża Libii, zatonięć w tym regionie jest teraz o wiele mniej. Od 1 do 20 września odnotowano tylko jedno utonięcie, a w sierpniu ofiar było 15. Dla porównania: w maju i czerwcu Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji (IOM), która publikuje dane na swojej stronie internetowej, zarejestrowała odpowiednio 611 i 537 utonięć.

TAJEMNICZE FINANSOWANIE

W tych najgorszych miesiącach w 2017 r. nieniepokojone przez nikogo statki NGO działały na tzw. środkowym szlaku śródziemnomorskim. Dopiero w lipcu rząd włoski – pod presją społeczeństwa i po sromotnej przegranej w czerwcowych wyborach samorządowych ze względu na podejście do kwestii imigracji – narzucił im kodeks postępowania, na mocy którego statki NGO miały zobowiązać się do niewpływania na wody terytorialne Libii, niewyłączania transponderów (w celu ukrywania swojej pozycji w pobliżu wybrzeża Libii), niezaznaczania swojej pozycji na morzu za pomocą reflektorów (widocznych z wybrzeża dla przemytników), nieporozumiewania się telefonicznie z przemytnikami, do wpuszczania na pokład przedstawicieli służb włoskich i ujawniania swoich źródeł finansowania. I to właśnie w lipcu liczba utonięć wśród kandydatów na nielegalnych emigrantów zaczęła mocno spadać.

Europejskie organizacje pozarządowe obsługujące szlak migracyjny między Libią a Włochami to Lekarze bez Granic (MSF), Migrant Offshore Aid Station (MOAS), Jugend Rettet, Stichting Bootvluchting, Save the Children, Proactiva Open Arms, Sea-Watch.org, Sea-Eye, Mission Lifeline oraz SOS-Méditerranée. Powstała we Francji w 1971 r. MSF ma dziś siedzibę w Genewie. Zarejestrowana na Malcie MOAS została założona w 2014 r. przez amerykańskiego miliardera Christophera Catrambone'a i jego włoską żonę. Hiszpańska (katalońska) Proactiva Open Arms została założona w 2015 r. Jugend Rettet to niemiecka organizacja pozarządowa z Berlina. Niemieckie są też Mission Lifeline, Sea-Watch.org i Sea-Eye. SOS-Méditerranée została utworzona w 2013 r. przez Niemca oraz Francuzkę i jest inicjatywą ogólnoeuropejską. Sea-Watch i Stichting Bootvluchting to organizacje holenderskie, a Save the Children to organizacja założona w 1919 r. w Londynie. Niektóre z nich dostawały na swoją działalność na Morzu Śródziemnym fundusze od fundacji Sorosa oraz z innych, w większości nieujawnionych, źródeł. A źródła te muszą być hojne. Przykładowo, według danych ujawnionych przez prokuraturę w Katanii, obsługa statku „Aquarius" należącego do SOS-Méditerranée kosztuje ok. 11 tys. euro dziennie, a statki „Phoenix" i „Topaz" organizacji MOAS kosztują ok. 400 tys. euro miesięcznie. Na Sycylii, dokąd dopływały statki NGO z nielegalnymi imigrantami, dwie prokuratury – w Katanii oraz w Trapani – objęły śledztwem większość tych organizacji za domniemaną współpracę z libijskimi przemytnikami ludzi. Zeznający 22 marca br. przed włoską parlamentarną komisją ds. kontroli egzekwowania układu z Schengen prokurator Katanii Carmelo Zuccaro zaznaczył, że w szczytowych momentach organizacje te operowały 30 statkami i nie wiadomo, skąd pochodzi ich finansowanie.

eprasa.pl 87d60c29ab

pozorowany

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Mordercze skutki obecności i działania statków europejskich organizacji pozarządowych opisuje już od kilku lat w swoich raportach Europejska Agencja Straży Granicznej i Przybrzeżnej „Frontex". Zaznacza ona, że zintensyfikowanie europejskich operacji ratunkowych coraz bliżej wybrzeża Libii powoduje, iż więcej migrantów wyrusza w bardzo niebezpieczną drogę z Afryki do Europy przez Libię i Włochy. Dodatkowo przemytnicy korzystają z łodzi nienadających się do żeglugi morskiej i tankują do nich minimalną ilość paliwa, gdyż liczą na interwencję jednostki ratunkowej krótko po ich wypłynięciu.
W efekcie imigracja środkowym szlakiem śródziemnomorskim zwiększyła się wielokrotnie na przestrzeni ostatnich lat – z 13 267 osób w 2012 r. do 181 436 w 2016 r., liczba zgonów odnotowanych wśród imigrantów także, nawet jeśli liczyć tylko tych, którzy zdołali pokonać bardzo niebezpieczną podróż przez Libię.

Dopiero od lipca, kiedy rząd w Trypolisie wspierany przez Włochy przejął ponownie kontrolę nad strefą przybrzeżną, liczba migrantów (i zgonów) zdecydowanie zmalała, nawet w stosunku do statystyk sprzed roku. W sierpniu 2017 r. do Włoch drogą morską dotarło 3235 nielegalnych imigrantów (w sierpniu 2016 r. było ich aż 21 295). W przeciwieństwie do europejskich organizacji pozarządowych, gdy libijska straż przybrzeżna przechwytuje łódź z emigrantami, zabiera ich z powrotem na libijski ląd. Dlatego też dużo mniej osób podejmuje teraz próby przedostania się do Europy przez Libię, bo to się w większości przypadków już nie opłaca. Wcześniej, w 2016 r., udział NGO w ratowaniu nielegalnych imigrantów na środkowym szlaku śródziemnomorskim wzrósł z 5 do 40 proc. Zanim Rzym i Trypolis zaczęły ściślej współpracować w celu zatrzymania strumienia nielegalnych imigrantów płynącego przez Morze Śródziemne, spodziewano się, że w tym roku, dzięki ich wsparciu, do Włoch może przypłynąć co najmniej 250 tys. imigrantów, w porównaniu do nieco ponad 180 tys. w 2016 r.

W SŁUŻBIE PRZEMYTNIKOM

Inny problem z europejskimi organizacjami pozarządowymi polega na tym, że większość z nich w sposób bierny lub czynny współpracowała z przemytnikami działającymi na terenie Libii. Wskazywał na to już w grudniu 2016 r. raport agencji Frontex, w którym czytamy, że nie ulega wątpliwości, iż niektórzy migranci dostają „przed wypłynięciem jasne wskazówki co do kierunku, w którym mają płynąć, aby dotrzeć do statków NGO". Agencja Frontex wspominała także o stwierdzonym przypadku, w którym przemytnicy sami dostarczali migrantów bezpośrednio na pokład statku NGO. Na dodatek, jak stwierdziła agencja Frontex, często zdarzało się, iż osoby wzięte na pokład nie chciały później odpowiadać na pytania włoskich czy europejskich służb, ponieważ działacze NGO doradzali im z nimi nie współpracować.

eprasa.pl 87d60c29ab

W swoim raporcie agencja Frontex mówiła także o wykorzystywaniu reflektorów statków NGO w celu zasygnalizowania swojej pozycji przemytnikom na lądzie. Podobne oskarżenia dotyczące wykorzystania reflektorów wysunął w marcu br. na łamach dziennika „Corriere della Serra" włoski admirał Enrico Credendino, dowodzący operacją „EUNAVFOR Med" Unii Europejskiej. W kwietniu w dzienniku „La Stampa" prokurator Katanii mówił nawet o bezpośrednich kontaktach telefonicznych między niektórymi organizacjami pozarządowymi a libijskimi przemytnikami. Potwierdził także fakt wyłączania transponderów w celu ukrywania pozycji statków NGO znajdujących się bardzo blisko libijskiego wybrzeża.

15 sierpnia, już po zastrzeżeniu przez rząd w Trypolisie strefy prowadzenia operacji ratunkowych zarezerwowanej dla libijskiej straży przybrzeżnej, statek „C-Star" organizacji europejskich patriotów Defend Europe obserwował jednostkę „Golfo Azzurro" hiszpańskiej organizacji Proactiva Open Arms. Prawicowi działacze, którzy wyruszyli z misją obserwacyjną, aby nagłaśniać procedery lewicowych, proimigranckich organizacji, napisali na Twitterze, że „Golfo Azzurro" płynie z wyłączonym transponderem i pytali ironicznie, czy może planuje on jakieś spotkanie. Na te informacje zareagowała libijska straż przybrzeżna, która interweniowała kilka godzin po nagłośnieniu faktu wyłączonego transpondera, nakazując „Golfo Azzurro" opuszczenie strefy 100 mil morskich i zakazując powrotu w przyszłości.

Wszystkie te świadectwa, wypowiedzi i raporty tylko potwierdzają ustalenia holenderskiej fundacji Gefira, która jesienią 2016 r. śledziła przez dwa miesiące w czasie rzeczywistym ruchy 15 statków należących do 10 organizacji pozarządowych. Monitorując okręty w serwisie Marine Traffic oraz materiały udostępniane na bieżąco w Internecie przez same załogi, fundacja Gefira ustaliła, że bardzo często operacje „ratunkowe" statków NGO rozpoczynają się jeszcze przed wypłynięciem „ratowanych" łodzi z libijskiego wybrzeża!

Po tym, jak uniemożliwiono im prowadzenie operacji w strefie 100 mil bez współpracy z libijską strażą przybrzeżną, niektóre organizacje – Lekarze bez Granic (MSF), Save the Children i Sea-Eye w połowie sierpnia oraz MOAS na początku września – w ogóle zrezygnowały ze swojej obecności w tym regionie Morza Śródziemnego. 9 września niemiecka organizacja Sea-Eye ogłosiła jednak, że jej dwa statki – „See Eye" i „Seefuchs" – wracają do akcji, ale że będą operować w odległości 70–90 mil morskich od libijskiego wybrzeża. Jednak 26 września libijska straż przybrzeżna weszła na pokład innego niemieckiego statku, należącego do NGO Mission Lifeline, ok. 19 mil od wybrzeża. Domagała się wydania 52 nielegalnych emigrantów znajdujących się na pokładzie. W końcu ustąpiła, ale rzecznik marynarki libijskiej oznajmił, że odtąd statki NGO, znajdujące się w libijskiej strefie zastrzeżonej, będą zatrzymywane. Inna niemiecka organizacja – Jugend Rettet – na razie tam nie wróci: 28 lipca prokuratura w Trapani kazała zatrzymać w Lampedusie statek „Iuventa" należący do tej organizacji. Prokuratura dysponuje m.in. świadectwem byłego policjanta zatrudnionego we wrześniu i październiku 2016 r. do ochrony statku „Iuventa" oraz materiałami zdjęciowymi dotyczącymi przerzucania imigrantów ze statku niemieckiej NGO na statek „Vos Hestia" brytyjskiej organizacji Save the Children w obecności przemytników i we współpracy z nimi. Inne materiały, które spowodowały zatrzymanie statku „Iuventa", pochodzą od włoskiego policjanta, agenta włoskich służb działającego pod przykryciem jako członek załogi w kwietniu i maju na pokładzie „Vos Hestia".

Agencja Frontex wspomina w raporcie o stwierdzonym przypadku, w którym przemytnicy sami dostarczali migrantów bezpośrednio na pokład statku NGO

POD LUPĄ

22 września sąd odrzucił zażalenie Jugend Rettet przeciwko zajęciu „Iuventy" przez prokuraturę w Trapani w ramach śledztwa w sprawie aktywnego udziału w procederze wspierania nielegalnej imigracji. Jednocześnie prokurator w Trapani potwierdził, że dowódca „Vos Hestia" – Marco Amata – także jest objęty śledztwem. 21 września włoski Canale 5 wyemitował filmik, na którym nagrano akcję przerzucania przez samych przemytników transportu imigrantów na pokład „Vos Hestia". Na filmiku widać, jak arabski przemytnik bije pałką czarnych imigrantów, aby przyspieszyć akcję, i to w obecności działaczy „organizacji humanitarnych". Na filmie nakręconym w czerwcu kamerą przymocowaną do kasku jednego z członków załogi „Vos Hestia" widać też, że morze jest spokojne i że afrykańscy imigranci nie są w sytuacji zagrożenia życia. Podobnie były policjant Lucio M., będący na pokładzie „Vos Hestii" przez 40 dni we wrześniu i październiku 2016 r., zaświadczył, że ze wszystkich akcji „ratunkowych", których był w tym okresie świadkiem, w żadnej „ratowani" imigranci nie byli w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

Nawet szanowana organizacja Lekarze bez Granic (MSF) jest obiektem zainteresowania włoskich prokuratorów, gdyż załoga ich statku „Dignity I" miała zalecać nielegalnym imigrantom zabieranym na pokład odmowę współpracy z policją po dotarciu do portu i nieodpowiadanie na pytania dotyczące ich podróży. Poza tym odnotowano przypadki zgłoszenia przez MSF „nieletnich" imigrantów, którzy w sposób ewidentny nieletnimi nie byli. Dużo mówią o postawie MSF oraz pozostałych lewackich organizacji „humanitarnych" na Morzu Śródziemnym wypowiedzi kapitana statku „Dignity I" w filmie udostępnionym na stronie internetowej Lekarzy bez Granic. Mająca pochodzenie egipskie Madeleine Habib tłumaczy, że migracje są dla niej ważną kwestią i że podjęła się dowodzenia statkiem MSF, gdyż uważa, iż każdy powinien mieć prawo bezpiecznie wyemigrować, dokąd tylko zechce. W prawie trzyminutowym filmiku, w którym pani kapitan Madeleine Habib objaśnia swoje motywacje i swoją misję, pada tylko jedno zdanie mówiące o ratowaniu życia.

Organizacje pozarządowe twierdzą, że imigranci są źle traktowani w Libii i że nie chcą brać udziału w procedurze odsyłania ich na afrykański ląd. Sama ich działalność tak blisko wybrzeża Libii przyczyniała się jednak do tego, że Afrykańczycy masowo próbowali przedostać się do Europy przez kraj ogarnięty wojną domową. Na początku września Giuseppe Loprete, szef misji IOM w Nigrze, potwierdził, że niecały miesiąc po przyjęciu przez władze w Trypolisie odpowiedzialności za akcje ratunkowe w strefie 100 mil morskich już widać na południu kraju zmniejszenie napływu nowych imigrantów do Libii.

Jednak lewackim organizacjom proimigracyjnym wcale nie o to chodziło, żeby mniej ludzi ginęło w drodze do lepszego świata, tylko o to, aby jak najliczniej docierali oni do Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

DZIECI NISZCZĄ KLIMAT

Szwedzcy badacze z Lund University opracowali badanie, w którym zastanawiali się, jak zmniejszyć wpływ ludzi na zmiany klimatyczne. Ich praca pozwoliła na przedstawienie rekomendacji nie tylko w sprawie tego, jak edukować ludzi czy jakie podejmować działania na poziomie rządów, lecz także zawiera wskazówki dla każdego człowieka, czyli to, co indywidualnie może on zrobić, by w jak najmniejszym stopniu szkodzić klimatowi. Co zatem Szwedzi zalecają ludziom? Przede wszystkim uznali, że w krajach rozwiniętych, o dużej emisji CO_2, każdy dobry obywatel (dobry dla klimatu) powinien ograniczyć się do posiadania najwyżej jednego dziecka. Ale rezygnacja z potomstwa to nie wszystko. Jak wskazują naukowcy – dla lepszego klimatu trzeba jeszcze zrezygnować z samochodu. W ogóle podróże nie są zbyt dobre dla klimatu, więc Szwedzi podpowiadają, iż dobrym pomysłem jest też nie wsiadanie do samolotów. A do tego trzeba przerzucić się na dietę wegetariańską. Zdaniem badaczy z Lund te sposoby mają znacznie większyć potencjał redukowania emisji CO_2 niż te do tej pory powszechnie promowane. I tak bycie wegetarianinem jest czterokrotnie skuteczniejsze niż kompleksowy recykling odpadów i ośmiokrotnie bardziej skuteczne niż wymiana w domu żarówek na energooszczędne. Przyszłość należy do bezdzietnych roślinożerców. Jest tylko jeden problem – nie wiadomo właściwie, po co (i dla kogo) wtedy ten klimat oszczędzać.

FOT. FOTOLIA

ŻEBRAĆ GODNIE

Szwedzi są bardzo nowocześni, ale też trochę zaściankowi. Albo w ogóle trochę rozdarci. Z jednej strony troszczą się o klimat, nie podają narodowości przestępców, żeby nikogo nie urazić, ale z drugiej mają już tak dość niektórych zachowań, że jedno z miast (Vellinge) zakazało oficjalnie żebrania na ulicach. Od stycznia przyszłego roku będzie to w miejscach publicznych tej miejscowości nielegalne. Obrońcy praw człowieka w Szwecji uważają, że ten zakaz jest dyskryminujący, bo uderza w mniejszość romską. Czyli z jednej strony Szwedzi uważają, że nikogo dyskryminować nie można, a potem od razu pokazują paluchem (niby w obronie), że żebracy to Romowie. No, czy nie są rozdarci?

SZKOŁA JUŻ NIE TYLKO DLA DZIEWCZĄT

Do brytyjskiego systemu oświaty nowoczesność wkracza w szybkim tempie. W tej rubryce przedstawialiśmy już przykład placówki, która ujednoliciła mundurki szkolne, rezygnując ze spódniczek, bo te za bardzo określały płeć (i mogło to być ciosem dla uczniów, którzy nie wiedzą, jaką płeć aktualnie reprezentują). Są już kolejne dokonania na polu równouprawnienia i gender. James Allen's Girls' School, czyli szkoła wyłącznie dla dziewcząt, wprowadza zmiany. Jej dyrektor, Sally-Anne Huang, wyznała „The Sunday Times", że nie będzie już do swoich uczennic mówiła „girls" ze względu na „coraz bardziej widoczne kwestie transgender". Pani dyrektor będzie więc do dziewcząt mówiła raczej „uczniowie" albo w ogóle bezosobowo. To się może pani dyrektor opłacić – podobno jeden z największych przewodników po szkołach w Wielkiej Brytanii ogłosił, że po raz pierwszy w rankingu szkół będzie przyznawał też oceny na podstawie tego, jak są „przyjazne dla osób transpłciowych". ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 87d60c29ab

Teresa Stylińska

Zapomniany testament Alfreda Nobla

Na liście laureatów Pokojowej Nagrody Nobla coraz mniej jest osób ściśle spełniających kryteria fundatora

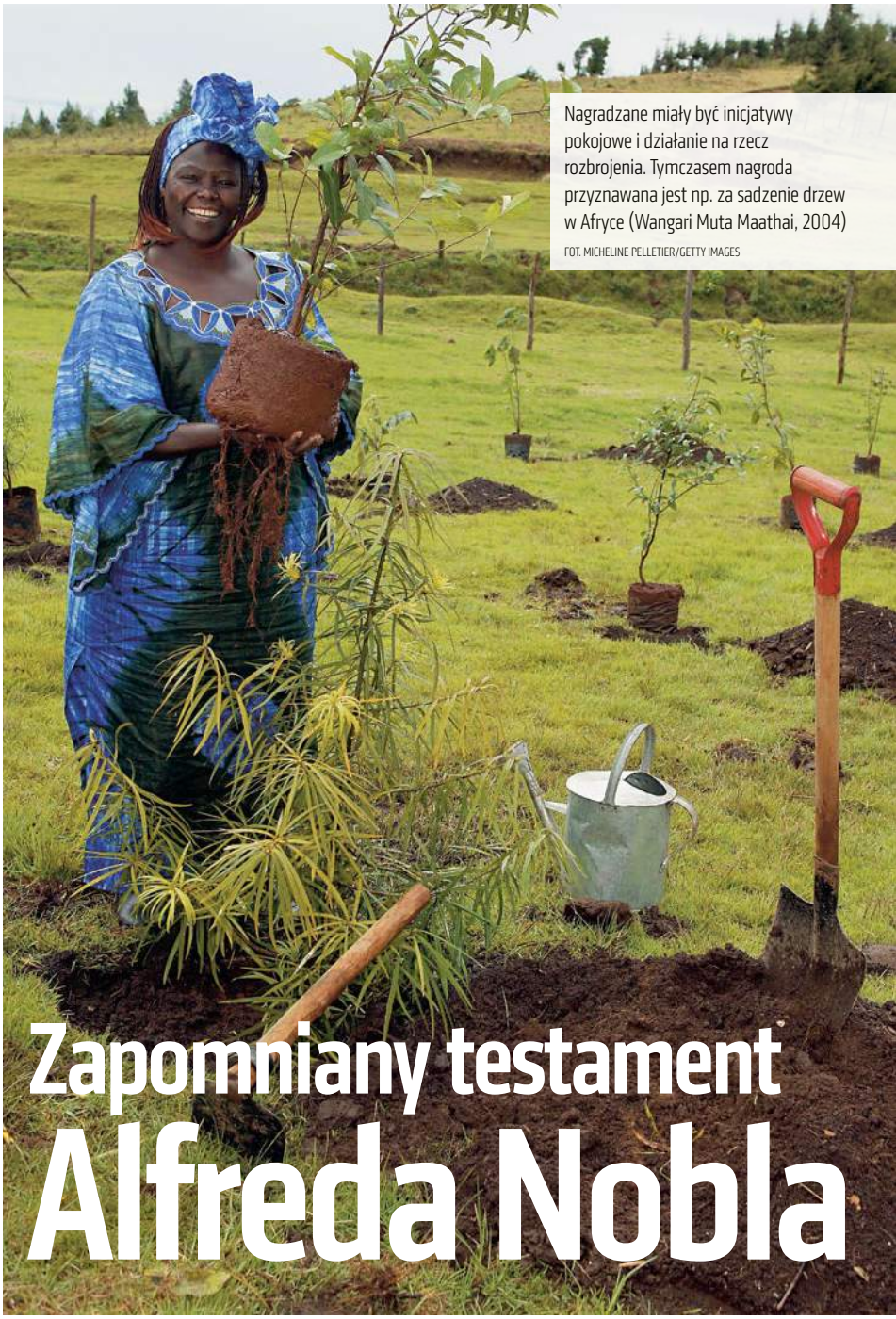

Nagradzane miały być inicjatywy pokojowe i działanie na rzecz rozbrojenia. Tymczasem nagroda przyznawana jest np. za sadzenie drzew w Afryce (Wangari Muta Maathai, 2004)

FOT. MICHELINE PELLETIER/GETTY IMAGES

Do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu trafił pozew, jakiego jeszcze nie było. Oto dwaj członkowie organizacji Nobel Peace Prize Watch – obserwatorium zajmującego się kwestiami związanymi z przyznawaniem Pokojowej Nagrody Nobla – wystąpili przeciwko Szwecji. Twierdzą, że Fundacja Nobla, powołana do zarządzania majątkiem fundatora, marnotrawi pozostawione środki, ponieważ dopuszcza do tego, by komitet nagrody pokojowej w wyborze laureatów rozmijał się z wolą Alfreda Nobla, jasno i jednoznacznie wyrażoną w jego testamencie.

Ponieważ fundacja ma siedzibę w Sztokholmie, Szwed Jan Oberg i Amerykanin David Swanson pierwotnie skierowali sprawę do szwedzkiego sądu, ale ich skarga została oddalona. Skarżący przypominają, że Alfred Nobel pragnął świata bez wojen, dlatego nagradzane miały być inicjatywy pokojowe i działanie na rzecz rozbrojenia. Tymczasem komitet noblowski w Oslo nagradza ostatnio wszystko, tylko nie to, co powinien.

Nie są to zarzuty bezzasadne. Wybór wielu laureatów nagrody pokojowej od pewnego czasu rodzi wątpliwości. Czy sadzenie drzew w Afryce (Wangari Muta Maathai, 2004), obrona prawa do nauki (Malala Yousafzai i Kailash Satyarthi, 2014) lub walka ze zmianami klimatycznymi (Al Gore, 2007) to działania na rzecz pokoju? Czy można nagradzać na wyrost kogoś, kto niczego jeszcze nie dokonał, tak jak było z Barackiem Obamą (2009)? W kategorii kandydatów nieprzystających do zamysłów fundatora mieści się też bez wątpienia tegoroczna kandydatura Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, zgłoszona przez Adama Grzegorczyka, rektora warszawskiej Wyższej Szkoły Promocji.

W dodatku, choć w historii nagrody pokojowej nie brakowało laureatów kontestowanych i oprotestowywanych, nigdy jeszcze nie postulowano, by komuś nagrodę odebrać. Tą pierwszą jest pani Aung San Suu Kyi, nagrodzona w 1991 r. jako niezłomna obrończyni demokracji, stawiająca cichy opór wojskowym władzom Birmy. Dzisiaj pani Aung, która po latach wygrała wybory i formalnie, choć niekoniecznie faktycznie, jest u steru rządów, nie czyni najmniejszego gestu w obronie ludu Rohindżów, swych prześladowanych współobywateli.

KAŻDEGO WOLNO ZGŁOSIĆ

W tym roku do nagrody, której laureat zostanie ogłoszony 6 października, zgłoszono 318 kandydatur – 215 osób i 103 organizacje. To jest wszystko, co może teraz zdradzić przyznający ją komitet, wyłaniany przez Storting, norweski parlament. Nazwiska kandydatów i przebieg dyskusji nad wyłanianiem laureata wolno mu ujawnić dopiero po 50 latach. Ograniczenia nie dotyczą jednak osób zgłaszających, dlatego to i owo zawsze przedostaje się do wiadomości publicznej.

Na początku roku, gdy rozeszła się informacja o WOŚP, część polskich mediów popadła w euforię. Pokojowy Nobel dla orkiestry? Tylko znak zapytania łagodził

eprasa.pl 87d60c29ab

entuzjazm, który poza przesadą świadczył też o niewiedzy. Sam fakt, że ktoś został zgłoszony, jest bowiem bez znaczenia. Komitet noblowski przyjmuje wszystkie kandydatury i nie ma prawa dokonywać żadnych ocen ani wstępnej selekcji. Wymogi formalne dotyczą wyłącznie osób zgłaszających oraz terminu – do 1 lutego. A grono uprawnionych jest ogromne. Poza laureatami są w nim deputowani do parlamentów i członkowie rządów, a także rektorzy uczelni i profesorowie, m.in. prawa, filozofii, religii i nauk politycznych z całego świata.

Każdy z nich ma prawdziwe pole do popisu. Może zgłaszać krewnych i znajomych, jak mu się podoba, a także wysuwać najdziwaczniejsze kandydatury. Do zgoła cudacznych pomysłów należy zaliczyć zgłoszoną w połowie ubiegłej dekady enigmatyczną, zbiorową kandydaturę „1000 kobiet na rzecz pokoju". Entuzjastów samej nominacji powinna otrzeźwić świadomość, że w latach 30. na liście kandydatów do nagrody pokojowej znalazł się sam Adolf Hitler.

Decyzje komitetu, zwłaszcza z ostatnich lat, też zresztą budzą niemałe kontrowersje. Nawet jeśli nagradzani bywają ludzie, którzy zamiast konfliktu budują pokój, to nie są to przypadki częste. Odnotujmy nagrodę dla twórców porozumień pokojowych w Afryce Południowej (1993), na Bliskim Wschodzie (1994), w Irlandii Północnej (1998) i w Kolumbii (2016).

LAUR ZA CAŁOKSZTAŁT

W równej mierze chodzi też o pominiętych. Za wielki błąd komitetu uważa się nienagrodzenie Mahatmy Gandhiego, symbolu pokojowego oporu. Pominięty został Richard Holbrooke, zwany „królem negocjatorów", współautor porozumienia z Dayton, które zakończyło wojnę w Bośni. Podobnie papież Jan Paweł II, choć jak mało kto zasługiwał na noblowski laur, a przez parę lat z rzędu uchodził nawet za murowanego laureata. Jednak czy komitet mógł nagrodzić kandydata tak bardzo konserwatywnego? Gdyby Jan Paweł II popierał zniesienie celibatu, kapłaństwo kobiet i aborcję, z pewnością w postępowej Norwegii miałby większe szanse.

Nagroda pokojowa, ostatnia ogłaszana w noblowskim tygodniu w październiku, obok nagrody literackiej, budzi najwięcej zainteresowania i emocji. To zrozumiałe: nagrody naukowe – za dokonania w dziedzinie chemii, fizyki oraz medycyny i fizjologii – są zbyt hermetyczne dla szerokiej publiczności, która nie jest w stanie ocenić, czy laureat słusznie został wyróżniony. Co innego laureaci nagrody pokojowej – przywódcy polityczni, działacze społeczni, obrońcy praw człowieka. Nawet jeśli nazwisko laureata niewiele ludziom mówi, to pole jego działania na ogół tak. Łatwo jest formułować oceny i spierać się, czy komitet dokonał najwłaściwszego wyboru.

Tylko nagrodę pokojową Alfred Nobel – wynalazca dynamitu i przedsiębiorca, który zgromadził ogromny majątek, a nie mając nikogo, komu chciałby go zostawić, przeznaczył go na nagrody dla ludzi zasłużonych dla ludzkości – oddał w ręce Norwegów. Dlaczego? Nie wiadomo. Nobel nigdy tego nie wyjaśnił – ani w testamencie, ani wobec przyjaciół. Pozostają zatem spekulacje. Bardzo możliwe, że gest pod adresem Norwegii miał służyć wzmocnieniu jej więzów ze Szwecją. W 1895 r., gdy Nobel pisał swój testament, Norwegia pozostawała przecież pod rządami Szwecji. Jeśli rzeczywiście takie miał Nobel intencje, to celu nie osiągnął, bo już 10 lat później ta unia się rozpadła.

Po raz pierwszy nagrody przyznano w 1901 r. Pokojową podzielono wówczas między dwóch laureatów: Frédérica Passy'ego, organizatora pierwszego kongresu pokojowego, i Henri Dunanta, twórcę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, i nie wydaje się, by był to wybór nietrafny. Zapewne uradowałby samego Nobla, skoro – jak to sformułował w testamencie – nagroda pokojowa miała trafić do tych, którzy „w minionym roku najwięcej zasłużyli się dla sprawy pokoju na świecie".

Faktem jest, że pod tym względem wszystkie instytucje przyznające nagrody dawno odeszły od woli fundatora. Nagroda Nobla ma dziś charakter lauru za całokształt, zwieńczającego dzieła sprzed lat. Nagroda pokojowa stosunkowo najczęściej jest wierna założeniom, bo wynika to z jej charakteru. Wygaszanie konfliktów jest dobrze widoczne, a czekanie na całokształt – nazbyt ryzykowne.

POKÓJ „STARY" I „NOWY"

Nagrodą pokojową wyróżniono do tej pory 127 laureatów, w tym 23 organizacje. O wielu z nich mało kto dzisiaj pamięta. Wiele się zresztą zmieniło. Uderzające jest, jak bardzo w początkowym okresie doceniano organizatorów kongresów i organizacji pokojowych, a także instytucji arbitrażowych. W miarę upływu lat w obrębie zainteresowania komitetu noblowskiego zaczęli się pojawiać działacze społeczni (w tej kategorii należy umieścić Fridtjofa Nansena, inicjatora stworzenia paszportów dla bezpaństwowców, 1922), przeciwnicy reżimów (antyhitlerowiec Carl von Ossietzky, 1935), ale także politycy firmujący układy, które – jak wówczas sądzono – zapewnią światu pokój (Aristide Briand i Gustav Stresemann, za traktat z Locarno, 1926).

Jeśli przejrzeć listę laureatów pod kątem zgodności z testamentem Nobla, to okaże się, że nagrodzonych ściśle spełniających kryteria fundatora z biegiem czasu jest coraz mniej. Na plan pierwszy wysunęły się aspekty inne niż walka o pokój, coś, co należałoby nazwać „troską o ludzi w potrzebie". W 1952 r. nagrodzony został Albert Schweitzer, francuski lekarz, społecznik działający w Afryce, w 1968 r. – Norman Borlaug, twórca „zielonej rewolucji", która miała zapewnić dostatek żywności mieszkańcom Trzeciego Świata. Komitet noblowski, uzasadniając swe decyzje, coraz częściej sięgał po takie określenia jak „obrona praw człowieka", „walka o demokrację", „sprawiedliwość". Masowo pojawili się laureaci nowego typu, tacy jak Andriej Sacharow (1975), południowoafrykański biskup Desmond Tutu (1984), Dalajlama (1989), gwatemalska obrończyni Indian Rigoberta Menchú Tum (1992) czy wreszcie Lech Wałęsa (1983).

Za takim podejściem kryło się wyraźne redefiniowanie rozumienia pokoju. W tym nowym wydaniu pokój ma nowe odcienie, oznacza już nie tylko brak wojny czy podejmowanie działań, które mają jej zapobiec, lecz także zapewnienie ludziom życia w godności i na przyzwoitym poziomie. Nie przypadkiem w 2006 r. nagrodę otrzymał Muhammad Yunus z Bangladeszu, pomysłodawca udzielanych kobietom minikredytów.

Kto zatem ma największe szanse w tym roku? Zakłady bukmacherskie rzadko się sprawdzają, ale wobec braku przecieków z komitetu (zasłona otaczająca jego obrady jest zawsze bardzo szczelna) to jedyny sygnał, kto w powszechnym mniemaniu zasługuje na nagrodę. Okazuje się, że w czołówce są m.in. „białe hełmy", czyli ochotnicze oddziały samoobrony w Syrii, papież Franciszek (zrozumienie dla zmian klimatycznych z pewnością służy jego opinii w oczach komitetu), American Civil Liberties Union, Angela Merkel i Edward Snowden. Na dalszych miejscach są Władimir Putin i Kim Dzong Un. Co z tego wynika? Uczciwie mówiąc: nic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

Gigant nad Wisłą

Łukasz Zboralski

JP Morgan w przeszłości ratował USA przed kryzysem, stworzył pierwszą korporację wartą miliardy i był właścicielem „Titanica". Teraz światowy lider bankowości inwestycyjnej otwiera siedzibę w Polsce

FOT. MIKE SEGAR/FORUM

Najpierw były tylko zapowiedzi. Wicepremier Mateusz Morawiecki ujawnił w radiu, że swój oddział ma otworzyć w Polsce największy na świecie pod względem kapitalizacji bank inwestycyjny. W ubiegłym tygodniu potwierdzono to już oficjalnie. Na konferencji prasowej z Morawieckim wystąpił Steve Cohen, dyrektor zarządzający i szef Centrum Korporacyjnego JP Morgan. Wspólnie poinformowali, że amerykański bank już w przyszłym roku otworzy w Warszawie polską siedzibę. Oznacza to ok. 3 tys. miejsc pracy, ale też wskazuje pozycję naszego kraju.

– Polski rząd potrafi napędzać zrównoważony rozwój. Polska popiera przedsiębiorczość, ale również utrzymuje polityczną stabilność i dyscyplinę fiskalną. Jednocześnie Polska zachęca do innowacji. JP Morgan widzi w Polsce silny kapitał ludzki, przygotowany do wyzwań przyszłości. Widzimy również strukturę ekonomiczną, która jest doskonała dla naszej firmy – mówił Cohen.

Zdaniem wicepremiera Morawieckiego wkroczenie JP Morgan może nawet wpłynąć na polską giełdę i przynieść jej kilkumiesięczną hossę. Dlaczego inwestycja bankowa może mieć aż tak duży wpływ na gospodarkę? Dlatego że to właśnie JP Morgan. Ponieważ w rzeczywistości pośrednio amerykański bank przez spółkę zależną JP Morgan Chase jest już obecny w stolicy od lat 90. Jednak główny szyld to co innego. To nie tylko światowa potęga, lecz także cała legenda.

Mateusz Morawiecki przypominał na konferencji, że gdy kondukt pogrzebowy z ciałem Johna Pierponta Morgana przemierzał Nowy Jork (bankier zmarł w 1913 r. w hotelu w Rzymie), nowojorska giełda stanęła na dwie godziny – a był to wcześniej zwyczaj zarezerwowany jedynie dla prezydentów USA. Nowojorska finansjera okazała taki sam szacunek bankierowi, który zbudował imperium.

John Pierpont miał łatwy start. Urodził się już we wpływowej w Ameryce rodzinie Morganów. Jego ojciec – Junius Spencer Morgan – najpierw rozwinął jeden z wielkich sklepów w Bostonie. Potem, gdy spotkał George'a Peabody'ego, znanego londyńskiego bankiera, założył z nim przedsiębiorstwo finansowe. Pan Junius zadbał o dobre wykształcenie syna – wysyłał go m.in. do angielskiej szkoły specjalizującej się w nauczaniu matematyki, potem do Szwajcarii (gdzie ten nauczył się płynnie francuskiego) oraz umożliwił potomkowi szlifowanie języka niemieckiego w Getyndze. Inwestowanie w potomka dość szybko mu się zwracało. Młody J.P. Morgan podczas wojny secesyjnej przydał się ojcowskiej firmie, która handlowała amerykańskimi obligacjami wojennymi w Anglii. Junior, który używał telegrafu, dowiadywał się bardzo szybko o wynikach bitew, zanim te wieści docierały poza kontynent. Dzięki czemu ojciec mógł kupować instrumenty finansowe taniej i sprzedawać je drożej. Pieniądze – a dokładnie 300 dol. – pozwoliły się też wykpić Johnowi Pierpontowi od założenia munduru i wzięcia osobistego udziału w wojnie.

Był też i inny epizod z czasów wojny – nazwany „aferą karabinową". J.P. Morgan kupił z arsenału armii 5 tys. karabinów po 3,5 dol. za sztukę, by je potem sprzedać za cenę 22 dol. od sztuki.

Młody Morgan tak jak ojciec miał żyłkę do inwestycji. Działał w firmie ojca, ale też założył własną firmę – Drexel Morgan & Company, przemianowaną po śmierci wspólnika na JP Morgan & Company. Przed 1900 r. był to już jeden z najpotężniejszych banków na świecie, specjalizujący się w reorganizacji i konsolidacji.

Morgan wkraczał wszędzie tam, gdzie widział potencjał do zysków. Czasem pożyczał pieniądze na inwestycje – tak jak w przypadku właściciela gazety „Chattanooga Times", który dzięki wsparciu mógł kupić „The New York Times" – a często lokował kapitał w rozwijające się dziedziny lub wspierał projekty przynoszące rozgłos (finansował np. budowę mostu Brooklińskiego czy budowę Kanału Panamskiego).

W 1901 r. łącząc firmy z branży stalowej, węglowej, wydobywczej i żeglugowej, stworzył kolosa, czyli U.S. Steel Corporation. Była to pierwsza na świecie firma warta miliardy dolarów. Dysponując takim

eprasa.pl 87d60c29ab

potencjałem finansowym, przekraczała możliwości każdej innej firmy przemysłowej i dorównywała największym liniom kolejowym. Dzięki U.S. Steel Morgan miał wkrótce w ręku dwie trzecie amerykańskiego rynku stali.

Gdy w 1907 r. wybuchła bankowa panika, a kryzys finansowy zagrażał amerykańskiej gospodarce, to właśnie JP Morgan zmusił liderów finansjery do opracowania planu zapobiegnięcia kryzysowi. To się udało, a Amerykanie pomyśleli o przyszłości i opracowali plan, który doprowadził do stworzenia Systemu Rezerwy Federalnej.

Morgan postawił m.in. na szybko rozwijającą się branżę motoryzacyjną i to jego firma wyłożyła większość kapitału w Briscon Motor Corporation, która dała później podstawę znanemu koncernowi samochodowemu – Chrysler.

W 1902 r. sfinansował stworzenie międzynarodowej morskiej firmy handlowej IMMC. Wchłonęła ona główne linie morskie brytyjskie i amerykańskie. Na przeszkodzie do przejęcia pełnej kontroli na wodach stanęły jednak przepisy antymonopolowe. A tuż przed śmiercią Morgan oglądał upadek tego holdingu. Ponieważ jedną z jego filii była linia White Star, właścicielka statku RMS „Titanic". Zatonięcie okrętu było katastrofą finansową dla IMMC. Sam Morgan jako prezes holdingu powinien być na „Titanicu", ale nie popłynął w ten rejs.

„Titanic" i linie oceaniczne to nie jedyny nieudany interes, bo wielcy inwestorzy też potrafią się mylić. Morganowi nie udało się wkroczenie w inwestowanie w londyńskie metro. Wydaje się, że zaprzepaścił też projekt systemu łączności bezprzewodowej, do którego przekonał go początkowo genialny wynalazca Nikola Tesla. Morgan wycofał się z finansowania, gdy miał dołożyć pieniądze na zmianę projektu (zamiast łączności transatlantyckiej Tesla chciał rozszerzyć projekt o pomysł naziemnej transmisji bezprzewodowej).

Częściej jednak intuicja Morgana – i zapewne wielkiego grona jego doradców – go nie myliła. Tą drogą poszli też jego następcy. To do holdingu JP Morgan Chase należy bank, który ustawił w USA pierwszy prototyp bankomatu – maszyna zaczęła działać w 1969 r. na Long Island.

Dzisiaj JP Morgan to światowy lider w świadczeniu usług finansowych. To największy bank w Stanach Zjednoczonych i – mierząc pod względem wielkości aktywów, które wynoszą 2 bln dol. – trzeci bank na całym globie.

Firma obecna jest w ponad 50 krajach świata, a jej klientów liczy się w setkach milionów. W samych Stanach ma krajowy bank z kilkudziesięcioma oddziałami. Przedsiębiorstwo zajmuje się w finansach prawie wszystkim – od detalicznych usług, kart kredytowych i płatniczych, do bankowości inwestycyjnej, specjalistycznych usług dla samego sektora bankowego oraz firm inwestycyjnych. Z usług konglomeratu JP Morgan Chase korzystają firmy, rządy i instytucje w ponad 100 krajach.

Teraz część usług świadczona będzie także przez polskich pracowników w Warszawie. Gigant docenił nasz rynek i potencjał Polaków – to oni w centrum, które ma zatrudnić blisko 3 tys. osób, będą zarządzać danymi, ryzykiem kredytowym oraz łańcuchami dostaw. Tutaj potrzebne będą zdolności nie tylko związane ze statystyką, lecz także z inżynierią i zarządzaniem.

My, Polacy, wiemy to od dawna, że nasz potencjał wykracza daleko poza tanich pracowników do prostych prac w zachodnich montowniach. JP Morgan na tym przekonaniu stawia potwierdzającą pieczątkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NARODOWE CENTRUM BADAŃ I ROZWOJU

zaprasza do udziału w konkursie BRIdgeAlfa na dofinansowanie projektów grantowych w ramach Działania 1.3. „Prace B+R finansowane z udziałem funduszy kapitałowych" Poddziałanie 1.3.1: „Wsparcie Projektów badawczo-rozwojowych w fazie preseed przez fundusze typu proof of concept - BRIdge Alfa" Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014-2020

Zgłoś się do nowego programu **NCBR – BRIdgeAlfa**

KONKURS PRZEZNACZONY JEST DLA SZEROKIEGO GRONA PRZEDSIĘBIORCÓW
Do udziału zapraszamy wszystkie podmioty, które nie podlegają ustawie o funduszach inwestycyjnych i zarządzaniu alternatywnymi funduszami inwestycyjnymi jak i te, które mogą prowadzić zgodnie z nią działalność inwestycyjną.

Wspieramy podmioty spełniające kryteria mikro lub małego przedsiębiorcy, nienotowane na giełdzie w okresie do pięciu lat po ich rejestracji, które nie dokonały podziału zysków i nie zostały utworzone w wyniku połączenia.
Dofinansowanie udzielane jest funduszom (przedsiębiorcom innowacyjnym) na wsparcie projektów badawczo-rozwojowych w fazie Proof of Principle i Proof of Concept.

Na wsparcie przeznaczyliśmy **1 mld zł**

Na wnioski czekamy **do 16 października 2017 r.**

Chcesz wiedzieć więcej? Zajrzyj na naszą stronę **ncbr.gov.pl** do zakładki „Fundusze Europejskie – PO IR" lub **poir.gov.pl**
Jeśli masz pytania - zadzwoń, by porozmawiać z ekspertem NCBR tel. (22) 39 07 223

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 87d60c29ab

Elżbieta Glapiak

Innowacyjność, dochodowość i nakierowanie na globalne rynki – to atuty, dzięki którym sektor farmaceutyczny może być jednym z filarów gospodarki. Stawia na to także Polpharma. Na badania i rozwój wydaje w Polsce rocznie ponad 260 mln zł

Pigułka rozwoju

Branża farmaceutyczna, zgodnie z klasyfikacją OECD, jest jednym z trzech najbardziej innowacyjnych sektorów gospodarki. – Innowacyjność, ciągłe doskonalenie i rozwój wiedzy są jedyną drogą do osiągnięcia sukcesu w tym dynamicznie rozwijającym się sektorze – uważa Markus Sieger, prezes Grupy Polpharma. – Przykładem takiego podejścia jest właśnie nasza firma. Przyjęta przez nas strategia zakłada reinwestycję zysków ze sprzedaży leków w Polsce – w nowoczesne technologie i rozwój potrzebnych pacjentom produktów. Jesteśmy liderem wydatków w tej dziedzinie w polskim przemyśle farmaceutycznym. Od 2000 r. nasze nakłady na B+R w Polsce wyniosły ok. 1,5 mld zł.

JEDNA PIĄTA NA ROZWÓJ

Jak wynika z pierwszego raportu poświęconego branży zdrowia, przygotowanego przez Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika, Polpharma jest numerem jeden wśród firm farmaceutycznych w Polsce pod względem inwestycji. W ubiegłym roku producenci leków wydali na inwestycje blisko 714 mln zł, nakłady samej tylko Grupy Polpharma w Polsce sięgnęły ok. 201 mln zł. Dla porównania – jak wynika z zestawienia CGMK – rok wcześniej wydatki branży stanowiły 702,6 mln zł, a lidera rynku w tym segmencie ponad 186 mln zł. Druga firma w rankingu – Instytut Biotechnologii Surowic i Szczepionek Biomed z Krakowa – przeznaczyła na inwestycje w 2016 r. 160 mln zł, a rok wcześniej – 109,5 mln zł.

Oprócz tego Polpharma aktywnie wspiera badania i rozwój, nakłady na ten cel przekraczają nawet wydatki inwestycyjne. W 2016 r. wyniosły 267,4 mln zł, rok wcześniej zaś – 207,4 mln zł. W sumie więc firma przeznacza ok. jedną piątą swoich przychodów ze sprzedaży na inwestycje, badania i rozwój.

Szczególną wagę Polpharma przywiązuje do innowacji. – Określenia „leki innowacyjne" potocznie stosuje się do leków wprowadzanych po raz pierwszy na rynek przez określoną firmę pod zastrzeżoną nazwą i chronionych patentami. Jednak niezwykle rzadko pojawiają się produkty, które stanowią istotny przełom w medycynie – zaznacza Sieger. – Z tego powodu nie powinniśmy bagatelizować postępu i innowacji związanych z postaciami leków czy ze sposobem ich wytwarzania, które przynoszą realne korzyści pacjentom i w których istotne osiągnięcia mają producenci leków generycznych, wdrażanych po wygaśnięciu patentu – dodaje.

PRZEMYSŁ GENERYCZNY

Od momentu zaistnienia produktu po raz pierwszy do czasu pojawienia się produktu generycznego mija przynajmniej 10 lat. W tym czasie w większości dziedzin nauki dokonuje się postęp technologiczny, który stawia przemysł generyczny w uprzywilejowanej pozycji. Rozwijając produkt generyczny, naukowcy mają często do dyspozycji bardziej zaawansowane możliwości poznawcze, a także nowocześniejsze materiały i technologie.

Aby skuteczniej leczyć coraz większą grupę pacjentów i wykorzystać ogromny postęp w dziedzinie technologii farmaceutycznej, konieczne jest udoskonalanie dostępnych postaci leków oraz dostosowanie ich do potrzeb osób chorych. Ten rodzaj innowacyjności przejawia się m.in. w stałym ulepszaniu procesów produkcji, nowych metodach syntezy substancji leczniczych czy poprawie form podania leków służących zwiększeniu komfortu pacjentów. Takie innowacje dotyczą właśnie leków generycznych i nazywane są inkrementalnymi.

Prezes Polpharmy wyjaśnia, że jest wiele obszarów, w których grupa wprowadza innowacyjne rozwiązania. Mogą one polegać na opracowaniu nowych form podania leków lub nowoczesnego składu substancji pomocniczych. Zamiast tradycyjnej, dużej i trudnej do połknięcia tabletki zaoferować można lek w postaci nadającej się do żucia lub preparat szybko rozpuszczający się

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. POLPHARMA BIOLOGICS

w jamie ustnej. Dzięki rozwojowi technologii farmaceutycznej możliwe jest też poprawianie smaku leków. Ta pozornie niewielka zmiana ma ogromne znaczenie np. w przypadku leków pediatrycznych. Niesmacznego leku dziecko po prostu nie przyjmie, jednak maskowanie przykrego smaku wymaga specjalistycznej wiedzy.

INNOWACYJNY LEK, SKUTECZNA TERAPIA

– Takie innowacje, choć pozornie niewielkie, mają znaczący wpływ na efektywność leczenia. Nowoczesne formy leków zawierające dobrze znane substancje aktywne wiążą się z większą skutecznością i bezpieczeństwem terapii, a także zwiększają komfort pacjenta – zapewnia Markus Sieger. – Przede wszystkim pacjentom łatwiej jest z takich leków korzystać. Dobrym przykładem jest modyfikowanie czasu uwalniania leków. Pacjent może wówczas przyjmować lek dużo rzadziej, np. zastrzyk raz na trzy miesiące, a nie trzy razy w miesiącu.

Dlaczego jest to kluczowe? Nieprzestrzeganie zaleceń lekarza przy farmakoterapii jest bowiem jednym z większych problemów, z jakimi mierzyć się musi ochrona zdrowia. Nie biorąc leków regularnie, przyjmując niepełne dawki lub rezygnując z terapii z uwagi na działania niepożądane, pacjenci nie tylko nie poprawiają swojego stanu zdrowia, lecz także często doprowadzają do jego pogorszenia. A to generuje ogromne koszty społeczne i ekonomiczne.

– Obecnie naukowcy Polpharmy pracują nad nowymi technologiami leków podawanych drogą iniekcyjną. Zajmujemy się również rozwojem leków z zastosowaniem substancji aktywnej w postaci nano- i mikrokryształów – zdradza prezes. – Technologia ta poprawia przyswajalność, tolerancję, bezpieczeństwo i szybkość działania leków stosowanych m.in. w leczeniu chorób onkologicznych, psychiatrycznych oraz endokrynologicznych.

Nowe możliwości leczenia stwarzają leki biologiczne – wytwarzane przez żywe komórki i naśladujące funkcje prawidłowych białek ludzkich (np. insuliny czy hormonu wzrostu). Są one nadzieją dla wielu pacjentów cierpiących na ciężkie schorzenia (m.in. wybrane choroby nowotworowe, białaczkę, astmę, mukowiscydozę, łuszczycę czy reumatoidalne zapalenie stawów). Są jednak również bardzo kosztowne, a tym samym dostępne dla wąskiej grupy chorych.

Inwestycja w biotechnologię jest warunkiem koniecznym, by polski przemysł mógł zapewniać pacjentom najnowocześniejsze terapie i konkurować z międzynarodowymi korporacjami. Polpharma zdecydowała się na rozwój biologicznych leków bionastępczych, czyli leków wprowadzonych na rynek po wygaśnięciu patentu na ich oryginalne odpowiedniki. Są one równie bezpieczne i równie skuteczne, a przy tym z uwagi na konkurencję rynkową – również tańsze. Właśnie takie leki rozwijamy, przybliżając Polakom perspektywę nowoczesnego leczenia. Dzięki niższej cenie umożliwią one skorzystanie z terapii większej grupie pacjentów. Jednak również i one wymagają olbrzymich inwestycji, głównie ze względu na kosztowne badania kliniczne, jak też nakładu czasu oraz wiedzy eksperckiej. Szacuje się, że rozwój jednego leku bionastępczego trwa ok. siedmiu lat i pochłania nakłady finansowe w wysokości od 300 do 450 mln zł.

ROŚNIE ZNACZENIE ZA GRANICĄ

Tomasz Starzyk z Bisnode Polska wylicza, że tylko w pierwszych czterech miesiącach tego roku polski eksport produktów farmaceutycznych przekroczył miliard euro, czyli ponad 4 mld zł. – W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego stanowi to wzrost o ponad 10 proc. Wynik, mający szansę okazać się lepszy niż ubiegłoroczny – przekonuje Starzyk. – Wówczas polskie firmy za granicą sprzedały produkty warte prawie 2,7 mld euro, czyli ok. 12 mld zł. Małe to zaskoczenie, biorąc pod uwagę fakt, że polski przemysł farmaceutyczny od lat należy do tych najbardziej dynamicznie się rozwijających. Potwierdzają to twarde dane liczbowe. W porównaniu z 2010 r. wartość sprzedaży zagranicznej wzrosła o miliard euro, a polski rynek farmaceutyczny odnotowuje stały wzrost, generując obecnie wartość odpowiadającą ok. 1 proc. naszego PKB. Oznacza to, że jest największym rynkiem w Europie Środkowej i szóstym co do wielkości w Unii Europejskiej.

Eksport leków Polpharmy w ubiegłym roku miał wartość 672 mln zł, rok wcześniej zaś – 616,2 mln zł.

Polpharma to absolutny lider raportu Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika pod względem nakładów na inwestycje. Ujęto w nim jednak także inne firmy z branży zdrowia. – W sumie odnotowały one łączny przychód wynoszący nieco ponad 75 mld zł oraz zysku netto ponad 1,5 mld zł, a więc średnio 2,07 proc., w 2016 r. Wzrost przychodów w 2016 r. wobec 2015 r. to 5,6 proc. – wylicza Maciej Bogucki, prezes Europejskiego Centrum Strategii i Polityk w Ochronie Zdrowia. – Firmy, które przyniosły największy zysk netto w 2016 r., to kolejno: Grupa TZMO, GlaxoSmithKline Pharmaceuticals oraz Farmacol. Te same firmy to również dwaj naprawdę duzi eksporterzy, o wartości eksportu powyżej 1 mld zł każdy.

– Jeśli myślimy o ekspansji z Polski na rynki zagraniczne, to oczywiście eksport jest naszą główną siłą – przyznaje Krzysztof Kępiński, członek zarządu i dyrektor relacji zewnętrznych GSK. – A wynika ona z innowacyjności portfela leków, które ratują zdrowie i życie pacjentom na całym świecie. Nie zapominajmy także, że z poziomu Polski zarządzamy dostawami leków i szczepionek do 12 krajów europejskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertką Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika.

eprasa.pl 87d60c29ab

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

No i masz babo placek

Dlaczego PiS-owi nie spada?" – zamartwia się w okładkowym artykule tygodnik „Polityka". I na tej samej okładce, a jakże, z nieukrywaną troską dodaje: „I kiedy zacznie?". Zacznie spadać, rzecz jasna. A w podtytule (ze smutkiem?) uzupełnia: „Mimo błędów i wpadek władzy poparcie dla niej rośnie".

I na dodatek – masz babo placek – nawet ślimaczące się do niedawna inwestycje (ostatnia nadzieja rozproszonej opozycji totalnej i jej sojuszników) przestały się ślimaczyć. No, po prostu jak pech, to pech. A inwestycje ostatnio rzeczywiście nawet nie tylko, że lekko się odbiły od dna, na którym legły w fatalnym pod tym względem roku 2016, co wręcz podskoczyły. Nie da się w tym miejscu uniknąć kilku liczb. Oto one: „Dynamika produkcji po wyeliminowaniu wpływu czynników kalendarzowych i sezonowych wyniosła 8,1 proc. rok do roku, po 6,7 proc. przed miesiącem. To najlepszy rezultat od grudnia 2011 r." – orzekł na łamach „Rzeczpospolitej" Grzegorz Maliszewski, główny ekonomista Banku Millennium. Produkcja wzrosła w sierpniu w 30 spośród 34 branż, i to wzrosła niemało, bo np. w produkcji budowlano-montażowej o 23,5 proc. (po wzroście o 18,8 proc. w lipcu). Wszystko to razem zapowiada, że w III kwartale inwestycje będą wyższe o 5 proc., licząc rok do roku (w II kwartale wzrosły o niewiele, bo zaledwie o 0,8 proc.).

Na dodatek stopa rejestrowanego bezrobocia spadła do 7 proc. – poziomu najniższego od 1991 r., a w kasie państwa po sierpniu jest rekordowa nadwyżka – 4,9 mld zł. Coś takiego – należy na tym głęboko ubolewać – budżetowi III RP przytrafiło się chyba po raz pierwszy, bo zwykle o tej porze roku tonął on już po uszy w deficycie, czyli długach.

Tym razem jednak wicepremier Mateusz Morawiecki – nie kryjąc dumy oraz radości z tego powodu, jak to ma w zwyczaju – temperuje oczekiwania i studzi emocje, zapowiadając, że ta nadwyżka „przekształci się w deficyt w końcówce roku, ale ten deficyt będzie dużo niższy niż planowany" i „wyniesie maksimum 50 mld zł, a może nawet będzie znacząco niższy".

Bo też – to fakt – wynik ten, choć robi wrażenie, zważywszy na wzrost wydatków państwa, choćby na program „Rodzina 500+", pozostawia spory niedosyt. W końcu w tym samym czasie, gdy my się cieszymy nadwyżką w ciągu roku, nawet po ośmiu miesiącach od jego początku, a także zapewne niższym od planowanego deficytem na koniec grudnia, w niejednym państwie Europy dobrą tradycją staje się nadwyżka w kasie państwa na koniec roku. Kiedy my, Polacy, się jej doczekamy? Czyli kiedy zaczniemy spłacać swoje zadłużenie, zamiast je ustawicznie powiększać? W czym swój walny udział miały rządy Donalda Tuska i Ewy Kopacz, które w ciągu ośmiu lat swego urzędowania podwoiły dług Polski. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

A ty, zając, znowu bez czapki

W starym kawale o niedźwiedziu i zającu miś prosi zająca o papierosa, ten go nim częstuje, a na to miś: „Co to jest?! Bez filtra?!" i zająca w łeb. Następnego dnia to samo, na co zając wyjmuje papierosy z filtrem, a miś: „A co?! Nie masz bez filtra?!" i zająca w łeb. Trzeciego dnia zając pyta, z filtrem czy bez filtra, a miś na to: „A ty, zając, bez czapki?!" i zająca w łeb.

W sondażach PiS deklasuje opozycję i zmierza w kierunku większości konstytucyjnej

Ten kawał dobrze oddaje dzisiejszą narrację opozycji w mediach i próbę znalezienia argumentów na rzecz krytyki działań rządu. Gospodarka rozwija się szybko, bezrobocie jest rekordowo niskie, płace rosną, innowacyjność też, po eksterminacji demograficznej Polski za czasów PO rodzi się więcej dzieci, mimo kosztów polityki „500+" budżet jest w zaskakująco dobrym stanie, nastroje konsumentów są rekordowo dobre.

Co więcej, w odróżnieniu od rządu Tuska, który – jak kiedyś policzył Instytut Jagielloński – złożył ponad 100 obietnic wyborczych i prawie żadnej nie spełnił, obecny rząd realizuje to, co obiecał Polakom w wygranych wyborach. Jak w takiej sytuacji znaleźć argumenty, by móc krytykować rząd? „A ty, zając, bez czapki?!" – krzyczą codziennie opozycja i jej tuby medialne. W odróżnieniu jednak od lat 2005–2007 tym razem Polacy już nie dają się nabrać na narrację zająca bez czapki. W sondażach PiS deklasuje opozycję i zmierza w kierunku większości konstytucyjnej w 2019 r.

Opozycja prędzej czy później zorientuje się, że strategia bicia zająca za to, że nie ma czegoś wydumanego, codziennie innego, prowadzi donikąd. Ciekawe, jakie zajdą zmiany w narracji medialnej w czasach, gdy sukcesy polityki gospodarczej i społecznej rządu są niepodważalne. Czy na sile przybiorą ataki opozycji na własny kraj na arenie międzynarodowej? Czy opozycja zmobilizuje nielicznych w wymiarze politycznym, ale ciągle wpływowych, którzy stracili na dobrej zmianie, do działań zakulisowych? I czy oficjalne struktury państwowe będą w stanie temu zapobiec? To oczywiście spekulacje, ale przecież opozycja to ludzie kierujący się wyrachowanym rachunkiem politycznych zysków i strat, to nie są szaleńcy. Przypomnijmy, że według Einsteina szaleniec to człowiek, który robi ciągle to samo, ale za każdym razem oczekuje innych rezultatów. Zatem opozycja przed wyborami 2019 r. przestanie robić to co do tej pory i zacznie coś nowego. Tylko nie wiadomo co. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 87d60c29ab

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki
oraz
Wydawnictwo Fronda

zapraszają na

DEBATĘ WOKÓŁ KSIĄŻKI PAWŁA LISICKIEGO

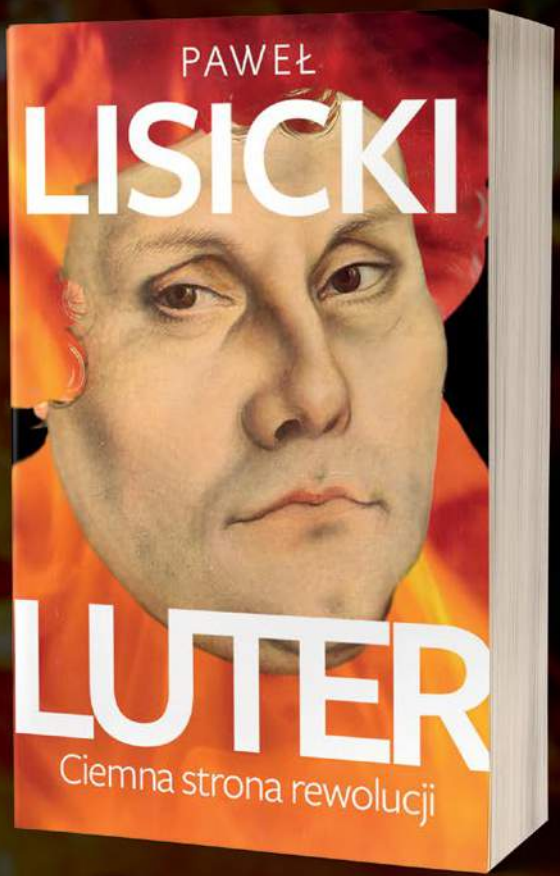

W DYSKUSJI UDZIAŁ WEZMĄ:

dr hab. Sławomir Cenckiewicz – historyk, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, członek Kolegium IPN;

Cezary Gmyz – teatrolog, dziennikarz, publicysta, obecnie korespondent TVP w Niemczech;

Paweł Lisicki – dziennikarz, publicysta, eseista i tłumacz, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy", autor książki.

Spotkanie poprowadzi **Jacek Ożóg,** redaktor naczelny portalu Lux24.pl.

ŚRODA 4 PAŹDZIERNIKA, 17.30-19.00
PRZYSTANEK HISTORIA
UL. MARSZAŁKOWSKA 21/25
WARSZAWA

wydawnictwo FRONDA · DO RZECZY · POLSKIE RADIO · PRZYSTANEK HISTORIA Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

eprasa.pl 87d60c29ab

Łukasz Majchrzyk

Ta prawda jest brutalna jak faul: bez dużych pieniędzy nie da się przebić do grona najlepszych zespołów. A te bogate stale zwiększają finansową przewagę

Piłką rządzi pieniądz

FOT. BARTŁOMIEJ ZBORKOWSKI/PAP

Kiedy Legia Warszawa awansowała do Ligi Mistrzów i potrafiła się postawić Realowi Madryt oraz portugalskiemu Sportingowi, wydawało się, że wreszcie fatalna passa na dobre się skończyła. Po 20 latach polski klub trafił do piłkarskiej i finansowej elity. Od tej chwili miało „być z górki".

Ciąg wydarzeń miał być taki: dzięki pieniądzom wypłacanym przez UEFA Legia zbuduje u siebie finansową potęgę, następnie kupi jeszcze lepszych piłkarzy, a potem znów awansuje do Ligi Mistrzów (w najgorszym wypadku do Ligi Europy, która oferuje mniejsze, ale wciąż znaczące pieniądze), zagra kilka meczów i znów dobrze zarobi. Miała wsiąść do pociągu ku lepszej przyszłości i przemierzać kolejne stacje, a przy okazji podnosić prestiż całej ligi.

Nie udało się i trzeba było wysiąść już na drugim przystanku. Najpierw zbyt silny dla mistrza Polski okazał się mistrz Kazachstanu, a następnie z resztek złudzeń odarł Legię i jej fanów mołdawski Sheriff Tyraspol. Jak to możliwe, że drużyny z tych krajów, które kiedyś były futbolowym Trzecim Światem, nagle okazują się lepsze od najlepszego polskiego zespołu?

Przecież kibice dobrze pamiętają jeszcze mecze, w których drużyny z tamtego regionu przyjeżdżały nad Wisłę po naukę i cieszyły się, jeśli straciły mniej niż pięć bramek. To były czasy, kiedy futbol w dawnych republikach sowieckich był niedoinwestowany i odcięty od najnowszej wiedzy. To się zmieniło i to już nie wróci.

MISTRZ JEST BOGATY

Polscy piłkarze po niezbyt udanych meczach, w których byli faworytami, lubili powtarzać, że „dzisiaj poziom piłki nożnej w różnych krajach się wyrównał" oraz „nie ma już słabych drużyn". To prawda, a właściwie jej część, wszystko zaś za sprawą ogromnych pieniędzy. Ci, którzy byli słabi, zaczęli grać na dobrym

eprasa.pl 87d60c29ab

poziomie. Ci, którzy byli znakomici, poszybowali w przestrzeń kosmiczną.

Jeśli nie masz budżetu na odpowiednim poziomie, to zapomnij o wielkich sukcesach, o byciu na szczycie, a nawet sam awans do Ligi Mistrzów staje wtedy pod znakiem zapytania, bo chętnych i bogatych jest w Europie bardzo wielu. Musisz liczyć na łut szczęścia w losowaniu albo słabszy dzień przeciwnika.

Sumy, którymi operuje się w dzisiejszym futbolu, są szokujące, a najbogatsi wydają co roku dziesiątki, a nawet setki milionów euro na transfery. Najnowszy doroczny raport firmy Deloitte „Money League" pokazuje, jakimi kwotami się dzisiaj operuje. Manchester United, który wrócił na pierwsze miejsce w zestawieniu najbogatszych klubów, ma budżet na poziomie 515 mln funtów.

Kiedy ówczesny prezes Legii Bogusław Leśnodorski ogłosił, że budżet mistrza Polski może wynieść w 2017 r. ponad 280 mln zł (dzięki m.in. wpływom z Ligi Mistrzów), wydawało się, że ścigamy Europę, a tymczasem udało się wyprzedzić ledwie najbiedniejsze kluby niemieckiej Bundesligi. Warto porównać te liczby z wynikami europejskiej czołówki.

Kiedy dokonywano pierwszego zestawienia za sezon 1996/1997, budżet klubu z Manchesteru (wtedy też lidera rankingu) wynosił 88 mln funtów.

Bardzo trudno jest się dostać do finansowej elity, a w konsekwencji przebić szklany sufit, który wisi nad głowami tych aspirujących. Na przestrzeni 20 lat na liście pojawiły się jedynie 42 kluby z 11 europejskich lig (ani razu nie było drużyny z Polski), a w klubie najbogatszych dominują organizacje z pięciu najsilniejszych lig: angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej, niemieckiej i włoskiej. To nie dziwi, jeśli weźmie się pod uwagę, że składnikami budżetu są: dochody z transmisji (tam się płaci najwięcej), dochody z reklam (silne gospodarki), wpływy z dnia meczowego (bilety, kiełbaski, napoje).

Karuzela kręci się coraz szybciej. W tym roku po raz pierwszy suma dochodów najbogatszej europejskiej dwudziestki przekroczyła 7 mld funtów, co stanowiło wzrost aż o 12 proc. (ok. 800 mln funtów). Nie ma Robin Hooda, który cokolwiek uszczknąłby krezusom.

ZAMOŻNI MAJĄ CORAZ WIĘCEJ

Najbogatsi kupują najlepszych piłkarzy, których kibice chcą oglądać, więc telewizje płacą więcej za możliwość pokazywania ich meczów (niemal połowa ostatniego wzrostu przychodów to kontrakty telewizyjne), kibice kupują więcej koszulek z nazwiskami gwiazd, sponsorzy garną się na wyścigi. Pieniędzy jest więcej, więc ściąga się jeszcze więcej świetnych zawodników z biedniejszych drużyn, które przez to mają jeszcze mniej argumentów w starciu z gigantami. Pogłębiają się różnice nawet w gronie najbogatszych.

Niedawno głównym sponsorem angielskiej Premier League został czekoladowy gigant Cadbury, a oprócz tego jest jeszcze oficjalny bank ligi, oficjalne piwo czy zegarki. W Polsce tytularnym sponsorem ekstraklasy jest spółka Lotto, która za poprzedni sezon wypłaciła 10 mln zł. Pieniądze, które telewizje płacą za prawo do pokazywania rozgrywek ligi angielskiej, trzeba zaś liczyć na miliardy funtów za kilkuletnie umowy.

Nic dziwnego, że polskie kluby przegrywają finansowo z Europą i nie oferują kontraktów na poziomie miliona euro netto, co dzisiaj nie jest już sumą zbyt wygórowaną. Nikt nawet nie mówi o ściąganiu do polskiej ekstraklasy zawodników za 5–10 mln euro, a takie sumy już dzisiaj w najbogatszych ligach nie szokują. Co z tego, że najbogatsi w Europie mieli i mają tendencję do życia na kredyt, skoro im to nie szkodzi i zawsze mogą wziąć kredyt na poczet przyszłych dochodów, które na pewno do nich spłyną?

Sumy, którymi operuje się w dzisiejszym futbolu, są szokujące, a najbogatsi wydają co roku nawet setki milionów euro na transfery

Sytuację tych biedniejszych miało poprawić tzw. finansowe fair play, czyli zasada, według której klub może wydać rocznie jedynie 30 mln euro więcej, niż wygeneruje dochodów, i to tylko w przypadku, gdy różnicę z własnej kieszeni pokryje właściciel. To jest furtka, która pozwala w dalszym ciągu żyć ponad stan. Jeśli ktoś ma szczęście i przyciągnie do siebie szejków (patrz: Manchester City i Paris Saint-Germain), to o księgi rachunkowe nie musi się martwić. W polskiej piłce takich bogaczy nie ma i nie zanosi się na to, by prędko się pojawili.

ZASILENI PRZEZ PAŃSTWO

Ktoś powie, że takie kluby jak Real, Barcelona, PSG oraz Manchester United i tak były lata świetlne przed polskimi zespołami i nie ma się co do nich porównywać. Owszem, ale w Kazachstanie czy Nadniestrzu też pojawiły się ogromne pieniądze, chociaż model finansowania jest inny. FK Astana, z którym Legia przegrała walkę o Ligę Mistrzów, to klub, który ma rozsławiać kraj wykreowany sztucznie, trochę jak nowa stolica Kazachstanu, gdzie ma swoją siedzibę.

W FK Astana wszystko jest państwowe, skoro właścicielem jest państwowy holding Samruk-Kazyna, skupiający kazachstańskie przedsiębiorstwa naftowe, kolej, a nawet linie lotnicze Air Astana. Klub jest częścią dziwnego tworu pod nazwą Astana Presidential Sports Club, który zrzesza kilka najlepszych kazachstańskich drużyn, w tym m.in. ekipę kolarską, która kiedyś zatrudniała nawet Lance'a Armstronga. Cel jest jeden: uczynić azjatyckiego giganta sportową potęgą, która zadziwi świat. Klub FK Astana dostał za państwowe pieniądze piękny stadion, próbuje pozyskiwać kibiców, których przecież kupić się nie da, i zagrał w Lidze Mistrzów już w 2015 r. (zanim trafiła tam Legia).

Podobnie jest w przypadku Sheriff Tyraspol, który został założony przez biznesmena Wiktora Guszana, a nazwę wziął od jednej z jego firm. Mistrz Mołdawii może się choćby pochwalić ośrodkiem treningowym, w którym ma osiem boisk, basen, budynek akademii piłkarskiej i ekskluzywny hotel. Takimi obiektami można się chwalić w Europie i budować na nich przyszłość.

Tutaj także polska piłka nie ma przewagi nad rywalami. Do drużyny Sheriff Tyraspol dołączają coraz lepsi piłkarze, bo można w Tyraspolu godnie zarobić i, jeśli ma się też sportowe ambicje, pokazać się na szerszej, europejskiej arenie – mistrzostwo kraju co sezon niemal gwarantowane, bo godnych rywali nie widać, a dodatkowo klub kilka razy przebił się do Ligi Europy.

Co z tego, że pieniądze mogą nawet pochodzić z kieszeni postsowieckiego oligarchy i że w klubie wszystko owiane jest tajemnicą, a już na pewno nikt nie zechce rozmawiać z prasą o finansach. Klub z Mołdawii na razie jest dużo dalej niż mistrz Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

NASZ TEST: NISSAN NAVARA TREK-1°

Możesz otrzymać samochód w każdym kolorze pod warunkiem, że będzie to kolor czarny – mawiał Henry Ford. Twórcy specjalnej, limitowanej wersji pick-upa dali klientom tylko minimalnie większy wybór: Navara Trek-1° jest dostępna albo w kolorze czarnym metalizowanym, albo w białym perłowym. Nieco charakteru testowanemu modelowi dodają 18-calowe czarne felgi, czarne rury stylizujące oraz mocne, LED-owe reflektory punktowe. Dzięki tym dodatkom auto, które teoretycznie zostało stworzone jako wół roboczy, wygląda bardziej elegancko i lepiej prezentuje się na korporacyjnym parkingu jako samochód prezesa. Zwłaszcza jeśli prezes ciągnie takim autem za sobą kilkumetrową łódkę (Navara może bowiem ciągnąć przyczepę z ładunkiem o wadze do 3,5 t).

W KABINIE

Navara Trek-1° jest dostępna tylko w pięcioosobowej wersji z podwójną kabiną (tzw. double-cab). Pokryte skórą przednie fotele są bardzo wygodne. Nieźle sprawdza się też dwustrefowa klimatyzacja. Z tyłu jest już jednak zdecydowanie mniej komfortowo. Miejsca na nogi jest niewiele. Wysocy pasażerowie mogą też narzekać na zbyt małą ilość miejsca nad głową.

Deska rozdzielcza z 7-calowym dotykowym wyświetlaczem wygląda niemal jak żywcem przeniesiona z Qashqaia. Wewnątrz dwutonowego pick-upa można więc poczuć się jak w całkiem nieźle wykończonym SUV-ie. Same mapy na ekranie jak na auto za ok. 180 tys. zł wyglądają jednak kiepsko i mało wyraźnie.

JAZDA

Silnik Diesla o pojemności 2,3 l i mocy 190 KM sprawia, że mierzące 5,3 m długości auto sprawdza się nie tylko w terenie, lecz także na autostradach. Limitowana wersja półciężarówki jest też całkiem nieźle wyciszona, dzięki czemu spokojnie można rozmawiać nawet przy wyższych prędkościach.

Automatyczna skrzynia zazwyczaj radzi sobie dobrze, choć czasem, gdy nagle trzeba wyprzedzić jakiegoś zawalidrogę, nieco zbyt długo zwleka z redukcją biegu. Wielodrążkowe tylne zawieszenie na tyle dobrze tłumi nierówności, że komfort jazdy limitowaną wersją Navary jest porównywalny z jazdą SUV-em.

Zaletą tego modelu jest również stosunkowo niskie zużycie paliwa: podczas naszego testu Navara spalał w cyklu mieszanym średnio 9,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Navara zdobyła cztery gwiazdki na pięć. Specjalna wersja pick-up Nissana jest też wyposażona w system awaryjnego hamowania przed przeszkodą. Bardzo użyteczny – zarówno na zatłoczonych parkingach, jak i w terenie – jest także system kamer 360 stopni, który pokazuje widok z lotu ptaka.

W trudnych warunkach przydają się również dołączany napęd 4 x 4, a także asystent zjazdu, który pomaga przy zjazdach po stromych zboczach.

CENA

Za limitowaną wersję pick-upa Nissana z manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić co najmniej 178,6 tys. zł, czyli ok. 20 tys. zł więcej niż za najwygodniejszą standardową wersję Navary (Tekna) z podwójną kabiną. Wersja z przekładnią automatyczną to już wydatek przekraczający 183 tys. zł. Za to można się cieszyć, że jest się właścicielem auta, którym w całej Europie nie jeździ więcej niż 1,5 tys. egzemplarzy.

KONKURENCI

Ford Ranger, Mercedes klasy X, Mitsubishi L200, Toyota Hilux, VW Amarok ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 87d60c29ab

NAPISZ SWOJĄ DROGĘ

Shodō. To po japońsku kaligrafia. Sztuka pięknego pisania, która w Japonii jest też szkołą kształtowania charakteru. Uczy koncentracji, dbałości o detale oraz pozwala odkrywać piękno. Zainspirowani japońskimi mistrzami, stworzyliśmy program personalizacji o nazwie Calligraphy. Pozwala on dostosować Mitsubishi Outlander do Twojego stylu, gustu i potrzeb.

Wybierz Mitsubishi Outlander Calligraphy i napisz swoją drogę.

Szczegóły oferty dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Mitsubishi i na stronie **www.calligraphy.mitsubishi.pl**.

OUTLANDER
CALLIGRAPHY

書道

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl.

Emisja CO_2: 149–155 g/km; zużycie paliwa 5,8–6,7 l/100 km.

Pacjenci zakładnikami przepisów

Katarzyna Pinkosz

Chorzy w Polsce często nawet kilka lat czekają na dostęp do nowoczesnych leków. Po raz pierwszy chyba jednak doszło do dziwnej sytuacji, kiedy to Ministerstwo Zdrowia chce refundować lek, a nie zgadza się... konkurencyjny producent

Sprawa jest bardzo poważna, bo dotyczy raka prostaty, który jest drugim pod względem częstotliwości występowania nowotworem u mężczyzn. Co roku w Polsce odnotowuje się ok. 16 tys. nowych przypadków zachorowania na raka prostaty, a ok. 5 tys. mężczyzn z tego powodu umiera. To, że tak wielu przegrywa walkę, jest po pierwsze spowodowane późnym rozpoznaniem: panowie za rzadko chodzą do lekarza i za rzadko się badają, a faktem jest, że przez wiele lat rak prostaty rozwija się, nie dając żadnych objawów. Po drugie nie mają możliwości leczenia nowoczesnymi lekami, które w większości krajów, a szczególnie w UE, są już standardem.

– Jeśli rak prostaty jest rozpoznany wcześnie i nie ma przerzutów, to wystarcza leczenie miejscowe: usunięcie gruczołu krokowego lub alternatywnie radioterapia u pacjentów, u których nie można przeprowadzić operacji. Jeżeli wystąpiły przerzuty, to stosuje się leki hormonalne, które obniżają stężenie androgenów w surowicy krwi. Po pewnym czasie jednak rak staje się oporny na leczenie hormonalne (w nomenklaturze medycznej mówi się: rak gruczołu krokowego oporny na kastrację) – tłumaczy prof. Piotr Chłosta, prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego, kierownik Katedry i Kliniki Urologii UJ.

PRZEŁAMAĆ OPORNOŚĆ

Gdy leki hormonalne przestają działać i pojawiają się kolejne przerzuty nowotworu, jedynym wyjściem są kolejne linie leczenia. Zwykle jednak po pewnym czasie choroba przełamuje działanie leków i dochodzi do kolejnego nawrotu.

Przełomem w leczeniu zaawansowanego raka prostaty z przerzutami stały się tzw. leki hormonalne nowej generacji. Działają one inaczej niż starsze leki i w wielu przypadkach hamują postęp choroby lub nawet ją cofają. W Polsce od 2014 r. jest dostępny jeden z nich – octan abirateronu – w ramach tzw. programu lekowego „Leczenie opornego na kastrację raka gruczołu krokowego z przerzutami".

Nie każdy chory na przerzutowego raka prostaty reaguje jednak na leczenie tym lekiem. W przypadku części osób, którym początkowo pomagał, po pewnym czasie przestaje działać: dochodzi do wznowy procesu nowotworowego. Dlatego im większy wachlarz dostępnych leków, tym lepiej. Od trzech lat lekarze i pacjenci starają się o możliwość stosowania kolejnego leku hormonalnego nowej generacji: enzalutamidu. – Ma podobną skuteczność jak octan abirateronu, nieco odmienny profil toksyczności. Te leki nawzajem się uzupełniają, jeśli jeden z nich przestanie działać, to można próbować zastosować drugi, a tym

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. FOTOLIA

samym wydłużać życie – mówi dr med. Wojciech Rogowski, onkolog ze Szpitala Onkologicznego Magodent.

Paweł z Gdańska (66 lat, prosi o nieujawnianie nazwiska) z nowotworem prostaty zmaga się już od 15 lat. Po 11 latach od rozpoznania choroby pojawiły się przerzuty do kości. Chemioterapia okazała się nieskuteczna. Od 2014 r. przyjmował octan abirateronu, jednak po dwóch latach choroba powróciła. Kolejna chemioterapia nie powstrzymała rozwoju choroby. Od czerwca bierze enzalutamid, który jest dla niego lekiem ostatniej szansy. Sam musi za niego płacić. – Mój zakład pracy stanął na wysokości zadania i otrzymałem bezzwrotną pożyczkę na zakup jednego opakowania leku. Teraz jestem jednak u progu możliwości finansowych. Nie wiem, jak podołam dalszym wydatkom, a nie wyobrażam sobie, że mógłbym przerwać leczenie, które mi pomaga – mówi.

Mimo tak zaawansowanej choroby czuje się świetnie. – Chodzę na spacery brzegiem morza, jeżdżę na rowerze, pływam kajakiem – wylicza. Pracuje też zawodowo. – Gdybym był na emeryturze, nie mógłbym kupić nawet tych kilku opakowań leku, które już zastosowałem. Cztery pastylki, które biorę dziennie, to przecież 280 zł – dodaje.

BITWA O LEK

Agencja Oceny Technologii Medycznych pozytywnie zarekomendowała objęcie refundacją enzalutamidu w ramach programu lekowego „Leczenie opornego na kastrację raka gruczołu krokowego z przerzutami". Pozytywną decyzję wydał też minister zdrowia. Pacjenci spodziewali się, że zobaczą nowy lek na wrześniowej liście leków refundowanych. Tak się nie stało: nie zgodził się na to producent leku, który już się znajduje w tym właśnie programie. „Podmiot odpowiedzialny posiadający pozwolenie na dopuszczenie do obrotu leku nie wyraził zgody na zaproponowany przez Ministerstwo Zdrowia kształt programu lekowego" – tłumaczy wiceminister Marcin Czech w odpowiedzi na zapytanie w tej sprawie posła Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Producent działa zgodnie z prawem: jeśli program lekowy, w którym znajduje się lek X, ma być rozszerzany o lek Y, to musi się na to zgodzić firma produkująca lek X. Do tej pory nie było jednak precedensu, by producent nie wyraził zgody na rozszerzenie programu.

Pacjenci nie kryją oburzenia. – Na początku myślałem, że źle rozumiałem, iż firma farmaceutyczna, która już ma lek w programie, nie zgadza się na wejście innych, nowszych, skutecznych leków! Jak to możliwe, że szansę na leczenie blokuje nam koncern farmaceutyczny, którego działania powinny mieć na celu głównie dobro pacjentów?! – oburza się Bogusław Olawski, przewodniczący sekcji prostaty stowarzyszenia UroConti.

Producent wysłał do Ministerstwa Zdrowia wiele zastrzeżeń i pytań o rozszerzany program. Muszą na nie odpowiedzieć eksperci, a na to trzeba czasu. Dlatego nie wiadomo, czy uda się wypracować kompromis i czy lek znajdzie się na listopadowej, kolejnej liście refundacyjnej.

Zapytany przez „Do Rzeczy" przedstawiciel producenta odpowiedział, że firma „ma przede wszystkim na uwadze wypracowanie rozwiązania umożliwiającego dostęp do opcji terapeutycznych, które przyniosą pacjentom największe korzyści poprzez zapewnienie leczenia raka prostaty na wcześniejszych jego etapach, a nie tylko poprzez wprowadzanie innych leków w tej samej linii leczenia".

– Proponuję, żeby ministerstwo zorganizowało spotkanie, na które zaprosi przedstawicieli obu firm farmaceutycznych oraz nas, pacjentów. Wierzę, że uda się wynegocjować dobre rozwiązanie. Pacjenci czekają na leki, które skutecznie działają. Dla wielu z nas liczy się każdy miesiąc. To dla nas walka o życie – podkreśla Olawski.

Zdaniem ekspertów oba leki powinny być dostępne. – U wielu chorych, manipulując tymi dwoma lekami, jesteśmy w stanie tak przedłużyć życie, że nowotwór prostaty stanie się chorobą przewlekłą – przekonuje prof. Chłosta.

LEPIEJ WCZEŚNIEJ

Wprowadzenie drugiego leku do programu jest koniecznością i im szybciej to się stanie, tym lepiej dla pacjentów. Jeśli jednak polscy chorzy na raka prostaty mają żyć tak samo długo jak pacjenci z innych krajów UE, to trzeba zmienić znacznie więcej.

Eksperci zaznaczają, że leki hormonalne nowej generacji należałoby stosować już wcześniej, przed chemioterapią, zaraz po tym, jak nowotwór staje się oporny na leczenie. – Takie postępowanie opóźnia wystąpienie przerzutów nowotworowych, a przy tym pozwala na dobre funkcjonowanie pacjenta, który może normalnie żyć. Dzięki wcześniejszemu zastosowaniu tych leków można opóźnić agresywne sposoby leczenia nawet o 60 miesięcy – dodaje prof. Chłosta. Jego zdaniem nowe leki powinni móc ordynować pacjentom nie tylko onkolodzy (tak jak jest teraz), lecz także urolodzy. Dzięki temu można by je było szybciej wdrożyć. A im leczenie podejmie się wcześniej, tym większe szanse na dłuższe życie pacjenta.

– Każdy dzień życia jest ważny, niezależnie od tego, czy chory ma 40 czy 80 lat. Człowiek w każdym wieku jest istotny. Jako polski urolog nie chciałbym, by mój polski pacjent miał gorszy dostęp do leczenia niż pacjent w innym kraju – przekonuje prof. Chłosta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 87d60c29ab

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Ruchanki z fjutem na słodko

Odmienności lokalnych gwar i rozwój języka sprawiły, że wiele nazw potraw regionalnych brzmi dziś wręcz obscenicznie dla przeciętnego Polaka. Królują wśród nich popularne „ruchanki z fjutem" (spokojnie, nie pomyliłem się, ostatnie słowo naprawdę pisze się przez „j"). Cóż kryje się pod tą nazwą? Produkt regionalny charakterystyczny zarówno dla kuchni kaszubskiej z Pomorza, jak i dawnych Kujaw. To po prostu placki drożdżowe z melasą z buraków cukrowych. Skąd nazwa? Ano stąd, jak powiadają stare gospodynie, że ciasto na owe racuchy musi być „dobrze wyruchane", to znaczy wyrobione. Druga wersja etymologii podaje, że do przygotowania używa się drożdży, które sprawiają, iż placki rosną. Trzecia mówi, że nazwa wzięła się stąd, iż należy poruszać je podczas smażenia na głębokim oleju. Potrawa owa występuje zresztą pod kilkoma podobnymi nazwami – a to jako „ruchańce", a to jako „placki ruchane". Ów skandaliczny fjut przygotowywany jest z buraków cukrowych – jest to po prostu rodzaj słodkiej melasy, którą zalewało się placki, choć oczywiście podawano je także posypane cukrem pudrem lub z marmoladą. Od zwykłych racuchów odróżnia je to, że są bardzo duże – kiedyś jeden zajmował całą patelnię, dziś zwykle mają ok. 10–12 cm średnicy. Nie zawsze też są podawane na słodko. Ostatnio, obchodząc knajpy toruńskie dla zacnego biboszu w dobrej kompanii, znalazłem i takie na słono, podawane jako przydatek do dań mięsnych.

Przy owych plackach ruchanych zgoła niewinnie wygląda wielkopolska ciupka z grochem, czyli po prostu kapusta, danie wigilijne i postne, podawane także z grzybami. Z kolei – jak informują mnie znajomi, będąc w Gruzji, napotkać można… cipuszki. Czyli małe buteleczki, w których sprzedaje się ćwiartki wódeczki – np. 260 g swojskiego Niemiroffa.

Staropolskie „paszteciki w kąchach z mózgu" to z kolei potrawka przygotowywana z mózgów cielęcych, podduszonych we wrzątku z dodatkiem octu, a następnie smażonych na maśle w drobnych kawałkach z dodatkiem siekanej cebulki, bułki, żółtek i kwaśnej śmietany. Później pieczone są one w foremkach i podawane na ciepło, polane dodatkowo roztopionym masłem. Groźnie dziś brzmiący „koks ze śliwek" to niewinna pianka z węgierek pomieszanych z pianą ubitą z jajecznych białek, pieczona w piecu, podawana z cukrem i ze śmietanką.

Z regionalnych ciekawostek wymienić można jeszcze „golasy" z okolic Biłgoraja, czyli pierogi bez skórki (znaczy się gołe), a więc właściwie pieczone w formie zapiekanki wykonanej z gryczanej kaszy zmieszanej z serem i tłuczonymi ziemniakami. Wszystko to wyrabia się, dodając jajka i cebulę przesmażaną na oleju. Następnie piecze się w formie przez jakąś godzinę. Owe golasy można podawać na ciepło ze śmietaną albo zsiadłym mlekiem. Nieźle nadają się jako podkład pod lokalny bimberek, byle był dobrze oczyszczony.

Z okolic Lublina znana jest też „psiocha". Czyli grube kluski z ugotowanych ziemniaków, które z kolei gotujemy z mąką, potem ugniatamy, łącząc owe dwa składniki, dodajemy podsmażoną, posiekaną cebulkę. Podawana jest z roztopionym smalcem albo ze skwarkami i z cebulką, nieźle nadaje się na obiady dla drwala albo jako solidny podkład do roboty w polu. ©℗

Duże grube racuchy polewamy melasą

FOT. FOTOLIA

Ruchańce kujawsko-pomorskie

Bierzemy mniej niż połowę kostki drożdży, rozpuszczamy je w połowie szklanki ciepłej wody, dosypujemy pszennej mąki i czekamy, aż zaczną się „ruchać". Kiedy pojawią się pęcherzyki, dolewamy drugie pół szklanki wody, wsypujemy dwie i pół szklanki mąki oraz wyrabiamy ciasto na racuchy. Odstawiamy je w ciepłe miejsce i czekamy, aż urośnie. Gdy to się stanie, po prostu odrywamy lub odcinamy z niego spore kawałki, wrzucamy na patelnię, smażąc na rozgrzanym głębokim oleju. Podajemy na ciepło polane fjutem albo z cukrem pudrem, względnie z marmoladą.

Fjut do ruchańców

Bierzemy dużego buraka cukrowego, ucieramy go na tarce, wrzucamy do garnka i gotujemy. Kiedy mieszanina stanie się miękka, odlewamy wodę do osobnego garnka i dodatkowo wyciskamy do niej pozostałe wiórki przez gazę. Następnie stawiamy garnek na gorącym piecu i czekamy, aż fjut zgęstnieje. Polewamy nim ruchańce.

eprasa.pl 87d60c29ab

CZOSNKOWY RARYTAS WŁODZIMIERZA ZIENTARSKIEGO

Pierwszy raz spróbowałem tego dania w jednej z wrocławskich restauracji i po prostu zachwyciłem się nim. Od tamtej pory przyrządzam je sobie, gdy moja żona gdzieś wyjeżdża, a ja zostaję słomianym wdowcem.

Jest to pieczony w całości czosnek z serem i grzankami. Proszę się nie obawiać, czosnek po upieczeniu traci swoją ostrość, staje się słodziutki. Z roztopionym serem i grzankami stanowi przepyszne połączenie. Polecam na przyjęcie ze znajomymi, jeśli wcześniej nie próbowali, to z pewnością będą miło zaskoczeni. Danie idealnie nadaje się również na kolację, można się wtedy nasycić grzankami z chleba lub bułek i roztopionym serkiem.

Jest to niezwykle prosta potrawa do zrobienia, nie potrzebuje praktycznie żadnych przypraw, a przyrządzamy ją z trzech składników.

FOT. R. NAWROCKI/FORUM

Składniki:

- główki czosnku w całości
- łatwo roztapialny żółty ser
- chleb lub bułki na grzanki

Przygotowanie:

Nie podaję proporcji składników, bo wszystko zależy od tego, ile główek czosnku zamierzamy przygotować. Polecam planować z lekkim zapasem, bo znikają ze stołu bardzo szybko.

Główkę czosnku obcinamy od góry tak, aby odsłonić jego ząbki. Zawijamy w folię do pieczenia i wstawiamy do piekarnika nastawionego na 200 st. C. Pieczemy ok. 30 min. Ja nie pilnuję dokładnie czasu pieczenia, czosnek jest gotowy, gdy z zewnątrz ładnie się przypiecze, a główki w środku się rozpuszczą.

Gdy czosnek zaczyna dochodzić, do piekarnika w osobnym naczyniu wstawiamy żółty ser do rozpuszczenia. Nie musi to być jakiś konkretny gatunek sera, ale musi się łatwo rozpuszczać. Możemy wybrać gatunki używane do fondue.

Główki czosnku podajemy w całości. Jemy małą łyżeczką, wyjmując ze środka roztopiony ząbek czosnku, maczamy to w serze i przegryzamy grzankami. Jeśli ktoś woli, to może użyć sera do smarowania grzanek. ©℗

oprac. raw

Włodzimierz Zientarski jest dziennikarzem motoryzacyjnym.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Oszukują nas

Pogłoski o tym, że zachodnie koncerny upychają do krajów Europy Wschodniej gorsze produkty, krążą od dawna. Teraz pisze o nich brytyjski „Guardian" i wydaje się, że sprawa wyjdzie wreszcie z zakresu „pogłosek". Problem na obradach Komisji Europejskiej przedstawiły: Bułgaria, Słowenia, Czechy i Węgry. Podały twarde dowody, czyli wyniki badań porównawczych produktów.

FOT. FOTOLIA

Coca-Cola w słoweńskich sklepach zawierała więcej cukru i więcej syropu glukozowo-fruktozowego niż ta sprzedawana w Austrii. Jogurt z supermarketu Spar w Słowenii zawierał o 40 proc. truskawek mniej niż jego wersja austriacka. Producent przekonywał, że Słoweńcy taki wolą. Skontrolowano również artykuły sprzedawane w Lidlu, marki Pepsi i Birds Eye – ich produkty również miały niższą jakość niż analogiczne sprzedawane na Zachodzie. Sprawa dotyczy również napojów owocowych, konserw mięsnych, przetworów rybnych, detergentów – wszystkie te produkty sprzedawane w Europie Wschodniej mają gorszą jakość. I tu również producenci pokrętnie tłumaczyli, że dostosowują się tylko do miejscowych upodobań.

Przedstawicielka komisji, Czeszka Věra Jourová, która podniosła problem tzw. dual food, powiedziała, że jest on dowodem na pogardę międzynarodowych koncernów dla krajów naszego regionu. Oczywiście jest to powodowane przemożną chęcią zysku. Obiecała, że na razie nie będzie podawać nazw poszczególnych producentów ani produktów.

– Jeśli jednak sytuacja się nie zmieni, nie zawaham się tego zrobić – oznajmiła.

Jean-Claude Juncker, szef Komisji Europejskiej, zapewnił, że odpowiednie organy zajmą się problemem, i zaproponował nowe, ostrzejsze przepisy. Na to Jourová odpowiedziała, że przepisy są, problem w tym, że są nagminnie łamane, i to bezkarnie.

Zdarza nam się dopasować nasze napoje do smaków lokalnych. Naszą misją są wysoka jakość, niska cena i dobry smak. Nasze produkty cieszą się uznaniem w 200 krajach – wykręcał się rzecznik Coca-Coli, któremu wtórował rzecznik Pepsi. Podobną retorykę stosowali przedstawiciele innych koncernów, którym zarzucano praktyki „dual food".

Teraz wiemy, że „chemia z Niemiec" niekoniecznie jest lokalną obsesją i wykwitem naszego kompleksu niższości. Szkoda tylko, że nasi przedstawiciele w KE nie wykazują zainteresowania problemem. Widocznie zaopatrują się w supermarketach w Brukseli i sprawa ich nie dotyczy. ©℗

eprasa.pl 87d60c29ab

FOT. FOTOLIA

Polski flagowy produkt drób

Polska słynie z produkcji wysokiej jakości drobiu. Najwięksi rodzimi producenci są dla całej Europy synonimem jakości i bezpieczeństwa produkcji. Czy mniejsi producenci lub pośrednicy w handlu drobiem nieodpowiedzialnymi praktykami mogą zagrozić renomie polskich produktów, które dzięki produkcji w tzw. cyklu zamkniętym od „ziarna do stołu" słyną ze swojej wysokiej jakości?

O fipronilu, substancji zwalczającej pasożyty zwierząt domowych, zrobiło się głośno, gdy kilka tygodni temu urzędnicy Unii Europejskiej ze zgrozą odkryli, że pomysłowi farmerzy dezynfekowali nim kurze fermy. Dzięki temu szybko pozbywali się kłopotliwego ektopasożyta – ptaszyńca kurzego. Skandal rozpoczął się w Holandii i Belgii, ale swoim zasięgiem szybko objął 15 krajów UE (w tym Polskę) i dwa spoza niej. Do Polski, oprócz jaj, trafiły też brojlery pochodzące z ferm podejrzewanych o stosowanie fipronilu. Na szczęście Główny Inspektorat Sanitarny poinformował, że skażone fipronilem mięso nie zagraża zdrowiu – jego stężenie było bardzo niewielkie. W większych dawkach substancja może jednak uszkadzać wątrobę, tarczycę i nerki. Gdy o sprawie zaczęły pisać media, pod lupę państwowych inspekcji i instytutów badawczych trafiły także krajowe fermy. W trzech próbkach jaj z trzech ferm z Mazowsza i Wielkopolski wykryto przekroczenie norm dla tej substancji. Tamtejsze jaja wycofano. Na kolejne fermy weszli przedstawiciele instytucji nadzorujących. Jednak bez względu na to, ile fipronilu wykryto w mięsie i jajach, nasuwa się pytanie: Dlaczego w ogóle producenci stosowali zakazaną w hodowli zwierząt przeznaczonych na żywność substancję?

– Fipronil łatwo zwalcza ptaszyńca, pasożyta żerującego na drobiu. Inne metody są droższe i mniej skuteczne. Na przykład metoda termiczna wymaga zamknięcia i uszczelnienia kurników. W związku z tym, w ramach oszczędności, część producentów stosowała nielegalnie ten preparat – klaruje Tadeusz Wojciechowski, prezes Biura Promocji Jakości oraz przewodniczący zespołu ds. Bezpieczeństwa i Jakości Żywności Rady Dialogu Społecznego.

To jeden ze sposobów przetrwania na bardzo konkurencyjnym rynku drobiarskim. Inny przykład to reklamowanie się hasłami: drób bez antybiotyków, bez hormonów, bez GMO itp. Co sugeruje, że produkty konkurencji je mają. To złości branżę, bo – jak twierdzą niektórzy jej przedstawiciele – szkodzi jej wizerunkowi.

– Kwestia stosowania GMO przy produkcji zwierzęcej jest moim zdaniem próbą zaklęcia rzeczywistości. Tymczasem dostępność surowca pochodzącego z rośliny GMO nie jest kreowana przez producentów pasz dla zwierząt, ale przez producentów zbóż, np. soi, którzy wybierają ten materiał jako gwarancję udanych zbiorów – tłumaczy Katarzyna Lasiecka, pełnomocnik zarządu ds. weterynarii w Cedrob SA.

Przypomnijmy, że stosowanie śruty sojowej jako podstawowego źródła białka w paszy to konsekwencja wycofania na terenie Unii przed 15 laty mączki mięsno-kostnej z bazy surowcowej producentów pasz dla zwierząt. Przyczynił się do tego kryzys BSE, z jakim zmagała się Unia na początku tego stulecia.

Wyjaśnienia wymagają też kwestia i cel stosowania antybiotyków.

– Zwierzęta hodowlane chorują tak jak ludzie. Stosowanie leków o działaniu bakteriobójczym czy bakteriostatycznym z zachowaniem okresu karencji jest całkowicie bezpieczne i nie ma żadnego wpływu na zdrowie konsumentów – dodaje Lasiecka.

Szczególnie że w hodowli drobiu podanie antybiotyku kurczakom możliwe jest jedynie podczas leczenia (nie daje się ich profilaktycznie!) prowadzonego pod ścisłym nadzorem lekarza weterynarii. Dla Lasieckiej powodem do zmartwienia jest raczej nielegalne używanie antybiotyków przez nieuczciwych hodowców i nabywa-

eprasa.pl 87d60c29ab

nie takiego mięsa przez konsumentów.

Mitem jest też teza o podawaniu kurczakom hormonów wzrostu. Warto wiedzieć, że zakaz stosowania substancji o charakterze hormonalnym u zwierząt, z których pozyskuje się mięso i inne produkty pochodzenia zwierzęcego, został wprowadzony już w 1996 r. A za jego nieprzestrzeganie grożą sankcje karne, do pozbawienia wolności włącznie.

ROZDROBNIONA KONTROLA

Według obowiązującego w Polsce prawa za bezpieczeństwo żywności odpowiadają producenci, nad którymi nadzór mają takie instytucje jak: Państwowa Inspekcja Sanitarna, Inspekcja Weterynaryjna, Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, Inspekcja Handlowa, Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa oraz Inspekcja Ochrony Środowiska. Mają różne właściwości, np. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, która odpowiada za zgodność etykiety z zawartością produktu, nie może kontrolować produktów w sklepie. Może to robić Inspekcja Handlowa, ale nie u producenta. Nie do końca jasny podział kompetencji instytucji nadzoru powoduje, że z luk w przepisach skwapliwie korzystają niektórzy producenci. Przy takim stanie rzeczy nietrudno zrozumieć, dlaczego dochodzi do nadużyć, tak jak przy wspomnianej dezynsekcji kurników.

– Są w Polsce firmy drobiarskie, które tylko handlują drobiem, a nie są jego producentem. Korzystają z zakładów produkcyjnych, gdzie drób i jaja są sygnowane ich marką. Na przykład Farmio nie ma swoich ferm, a jaja kupuje. Żeby więc sprawdzić, czy kury, które je zniosły, faktycznie były karmione paszą bez GMO, trzeba by przeprowadzić inspekcję w zakładzie produkcyjnym. Jednak jaja pod marką Farmio są dostępne w sklepie, gdzie mogłaby je zbadać Inspekcja Handlowa. I niczego nie odkryje, bo po jajku nie sposób wnioskować, czym była karmiona kura – opowiada Tadeusz Wojciechowski.

Rząd Beaty Szydło chce to zmienić, zastępując wiele instytucji jednym organem – Państwową Inspekcją Bezpieczeństwa Żywności.

Za powołaniem PIBŻ są także sami producenci.

– To będzie miało znaczący wpływ na wzrost skuteczności urzędowych kontroli oraz ich prawidłowości. Brak scentralizowanej bazy danych zawierającej wyniki dotychczasowej kontroli oraz wyniki badań monitoringowych (żywności, odzwierzęcych czynników zakaźnych, np. salmonelli) doprowadzą do niepotrzebnego dublowania czynności przez zaangażowane instytucje – twierdzi Katarzyna Lasiecka, pełnomocnik zarządu ds. weterynarii w Cedrob SA.

A Barbara Wojciechowska, pełnomocnik zarządu ds. systemów zarządzania jakością w Cedrobie SA, dodaje:

– Sukces reformy zależeć będzie przede wszystkim od osób zaangażowanych w budowanie nowej inspekcji. Wymiana ich doświadczeń i umiejętności są w stanie zagwarantować bezpieczeństwo i jakość na każdym etapie procesu produkcyjnego. Wskazane jest również, aby zmiany w przepisach prawnych były konsultowane z użytkownikami tego prawa, czyli z producentami, którzy swoim doświadczaniem i zaangażowaniem mogą wnieść naprawdę dużo dobrego – przekonuje Wojciechowska.

Znawcy branży drobiarskiej nie mają wątpliwości, że już dziś przy zachowaniu przez producentów obowiązujących przepisów i standardów jakości konsumenci nie mają się czego obawiać. Jednak aby zminimalizować ryzyko, nierzadko decydują się na tzw. obieg zamknięty, możliwy dzięki przestrzeganiu wdrożonych wymagań na każdym etapie procesu produkcyjnego – od pozyskania surowca, poprzez produkcję, magazynowanie, transport, aż do konsumenta finalnego. Rolnicy nazywają ten cykl: „od pola do stołu".

– Wszyscy doskonale wiemy, że tylko wyroby powtarzalne mogą zagwarantować zachowanie szeroko rozumianej jakości. Najważniejsze jest zawsze zadowolenie klienta, dlatego też pamiętamy o ciągłym doskonaleniu, które stanowi część zarządzania jakością – uważa Barbara Wojciechowska z Cedrobu.

POŻĄDANY KOMPROMIS

Projekt stworzenia Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności dotarł już do parlamentu i tam utknął. Z nieoficjalnych informacji wiadomo, że wynikł spór między resortem zdrowia a rolnictwa o Państwową Inspekcję Sanitarną. Najbliższe miesiące pokażą, czy ministrom uda się wypracować kompromis. Dobra wiadomość jest taka, że jeśli nie, to najdalej za dwa lata wejdzie w życie rozporządzenie unijne regulujące sprawy urzędowej kontroli żywności.

– Będą musiały zajść poważne zmiany, bo Komisja Europejska widzi, że jest problem z żywnością w całej Europie. W kraju potrzebna jest silna instytucja na wzór amerykańskiej agencji FDA, która będzie dobrze finansowana, uposażona i szkolona – tłumaczy Wojciechowski.

Polskie służby zajmujące się nadzorem są wciąż zbyt słabo wynagradzane, choć ciąży na nich ogromna odpowiedzialność za nasze zdrowie. Sytuacja, w której to producent żywności ma po swojej stronie know-how, prawników i ekspertów, a państwowa instytucja nadzoru słabo wyszkolonych pracowników, jest skrajnie niebezpieczna dla konsumentów.

Dopóki tak się nie stanie, dopóty konsumentom pozostaje kupowanie drobiu i jaj z zatwierdzonych zakładów, będących pod stałym nadzorem Inspekcji Weterynaryjnej oraz Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

Magdalena Gryn

Polska żywność jest bezpieczna

Pomimo pojawiających się sporadycznie, incydentalnych przypadków nieprawidłowości w produkcji drobiu, spowodowanych świadomą lub nieświadomą działalnością człowieka, z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że polska żywność jest bezpieczna i jest pod stałą kontrolą. Kontrola ta, a w zasadzie stworzony system i wdrożona nieuchronność kar, eliminuje już w zasadzie przed wprowadzeniem na rynek towar o niewłaściwej jakości. Wspomniany system weryfikacji żywności jest tak opracowany, że w wyniku wykrycia jakiejkolwiek substancji obcej w stężeniu wyższym od administracyjnie dozwolonej następuje niedopuszczenie lub eliminacja produktu z rynku, mimo że stężenie to nie zagraża bezpośrednio zdrowiu konsumenta.

dr hab. Krzysztof Niemczuk, prof. nadzw., dyrektor PIWet-PIB w Puławach

Polska liderem drobiarstwa

Drobiarstwo jest aktualnie jedną z najsilniejszych polskich branż rolno-spożywczych. Jego produkcja w 2016 r. przekroczyła 2,5 mln ton (12,6 proc. więcej niż rok wcześniej), co powoduje, że branża drobiarska jest liderem pod względem wielkości eksportu wśród wszystkich gałęzi przemysłu rolno-spożywczego w Polsce. Jednocześnie Polska znajduje się na pierwszym miejscu w produkcji drobiarskiej w Europie i trzecim na świecie.

eprasa.pl 87d60c29ab

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GEAR VR Z KONTROLEREM

Najpierw przejażdżka na szybkim rollercoasterze wokół pięknych wodospadów, potem nurkowanie z rekinami ludojadami, następnie podróż w kosmos na pokładzie statku Sojuz 30, a na koniec relaks na jednej z egzotycznych plaż. Tak może wyglądać wieczór użytkownika gogli wirtualnej rzeczywistości. Można też oglądać filmy, mając wrażenie, że siedzimy w sali kinowej z olbrzymim ekranem, lub bawić się niezwykłymi grami. Do wyboru jest już ponad 700 aplikacji.

Gogle pozwalają też na oglądanie własnych nagrań na gigantycznym wirtualnym ekranie. Kąt widzenia wynosi zaś aż 101 stopni, chociaż ostrość w rogach ekranu mogłaby być lepsza.

Zestaw – smartfon Samsunga plus testowane gogle – wykorzystując system firmy Oculus, pozwala oglądać zdjęcia i filmy 360 stopni w świetnej kinowej jakości. Obrazy bardzo wysokiej rozdzielczości wyświetlane są bez żadnych przycięć. Wysoka rozdzielczość w połączeniu ze sprawnie działającymi czujnikami żyroskopowymi oraz dzięki akcelerometrowi ułatwia oszukanie mózgu, który błyskawicznie po włączeniu aplikacji VR zapomina o otaczającym go „realu".

Zaletami udoskonalonych gogli południowokoreańskiego producenta są łatwa konfiguracja, prosta regulacja soczewek oraz bezprzewodowy kontroler. Niewielki pilot przeznaczony do obsługi jedną ręką znacząco ułatwia sterowanie aplikacjami w wirtualnej rzeczywistości lub rozgrywanie potyczek w grach VR.

Wadą nowych gogli Samsunga jest to, że nie można z nich korzystać w okularach. Minusem jest również stosunkowo duża waga (345 g), która sprawia, że po dłuższym czasie gogle zaczynają nieco ciążyć. Najpoważniejszą wadą gogli Samsunga jest jednak to, że współpracują one tylko ze smartfonami południowokoreańskiego producenta, i to tylko tymi najdroższymi: Samsung Galaxy Note 5, Samsung Galaxy S7, Samsung Galaxy S7 Edge, Samsung Galaxy S8 czy Samsung Galaxy S8 Plus.

Nowe gogle kosztują 529 zł i chociaż oferują dużo słabsze możliwości niż o wiele droższe gogle typu Oculus Rift czy HTV Vive, to w tej cenie są najlepszym zestawem do poznawania wirtualnej rzeczywistości. ©℗

Jacek Przybylski

ZAŁÓŻ SOBIE BRZUCH

The Dadbag jest tak niesmaczne, tak obleśne, a przy tym ponoć tak funkcjonalne, w dodatku budzi już takie emocje w Internecie, że dla tego gadżecika robię pewien wyjątek. Ba, dwa wyjątki. Po pierwsze, prezentuję go, mimo że nic tu nie łączy się z siecią, nie jest „e-inteligentne", nie zapamiętuje, nie rozwija ani nie ma nic wspólnego z elektronicznymi nowościami. Po drugie, mimo że uważam noszone przez mężczyzn saszetki „nerki" za straszliwy obciach, dopuszczalny (o ile w ogóle) wyłącznie u parkingowych i kontrolerów biletów. Właśnie tym jest bowiem The Dadbag – saszetką „nerką" zaprojektowaną w taki sposób, że niemal doskonale imituje owłosiony (albo i nie – zależnie od wzoru), wydęty od piwa i kebabu męski, tłusty „bebzol" z rozdętym pępkiem. Paskudne, prawda? The Dadbag przygotowany w sześciu brzuchatych wzorcach, zapinany na zamek błyskawiczny, noszony na koszulce trudno odróżnić od prawdziwego brzucha, a schowane w takiej saszetce pieniądze i przedmioty tylko wypychają go, potęgując wrażenie realizmu. Widok „brzucha" jest tak prawdziwie niesmaczny, że można założyć, iż mało który złodziej będzie chciał po nim „smyrać", sprawdzając, czy przypadkiem nie ukrywają się w nim pieniądze. Projektant The Dadbag Albert Pukies zbiera właśnie pieniądze i partnerów do uruchomienia produkcji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SIOSTRO, PIGUŁKI POPROSZĘ

Przychodzi taki moment, najczęściej po czterdziestce, gdy bez pigułek ani rusz. I nie, nie mam tu na myśli słynnej „niebieskiej tabletki" czy nieco tańszych jej zamienników, ale niezbędne już w pewnym wieku codzienne wspomagacze: na nadciśnienie, serce, krążenie, no i magnez, który łykają niemal wszyscy uzależnieni od kawy, energetyków oraz stresującej pracy. Sęk w tym, że wraz z zapotrzebowaniem na pigułki przychodzą też problemy z pamięcią: „Czy ja już zażyłem lecytynkę?". Lifeina Box to naprawdę miniaturowa, kieszonkowa wręcz lodóweczka do przechowywania i przygotowywania porcji leków na kilka dni. W dodatku dzięki połączeniu ze specjalną aplikacją pozwala na monitorowanie temperatury wnętrza, informuje, gdy jakiegoś medykamentu zaczyna brakować, i wreszcie – co ważniejsze – uruchamia głośny alarm, gdy któregoś z leków zapomnimy zażyć. Urządzenie można zamawiać na portalu Indiegogo, gdzie jego twórca Uwe Diegel szuka środków na uruchomienie produkcji. Cena za sztukę to ok. 800 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 87d60c29ab

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Sprawdzian prezydencki

MARCIN MAKOWSKI: Andrzej Duda wrócił z Ameryki. Czy twoje przewidywania i nadzieje się spełniły?

MATTHEW TYRMAND: Zacznę od przemówienia w ONZ. Uważam, że było przemyślane i stanowiło echo słów Donalda Trumpa, z akcentem położonym na suwerenność, tożsamość kulturową i religijną narodów. Jeśli chodzi o Polonię, to nie było zaskoczenia. W tym towarzystwie prezydent zawsze przyjmowany jest jak gwiazda. Oprócz tego Andrzej Duda spotkał się z grupą inwestorów z Wall Street oraz prezesów amerykańskich firm, „sprzedając" im polską historię sukcesu ekonomicznego oraz stabilności gospodarczej. Uczestniczył w dyskusji z polskimi naukowcami pracującymi w USA, sondując możliwości transferów technologii oraz wymian naukowych. Chyba najlepiej z perspektywy mediów wypadła wizyta w West Point, gdzie wiwatujący kadeci witali Dudę, zgodnie z tradycją ułaskawiającego studentów, którzy złamali regulamin. Oni zresztą dobrze wiedzieli, z kim mają do czynienia. W końcu to patron West Point – Kościuszko – kładł podwaliny pod amerykańską armię. Z każdą wizytą prezydent zachowuje się coraz swobodniej i to procentuje. Czego z kolei nie można powiedzieć o Witoldzie Waszczykowskim, który w aurze sukcesu przedstawiał swoją rozmowę z Rexem Tillersonem. Nie sądzę, aby sekretarz stanu przyleciał w najbliższym czasie do Polski, to zresztą on był osobą namawiającą Trumpa, aby nie wybierał się do Warszawy.

Mówisz, że prezydent w Ameryce wypadł nieźle, ale prawdziwy sprawdzian polityczny w Polsce przed nim. Reforma wymiaru sprawiedliwości w toku. Tutaj nie było już tak wesoło jak na bankiecie z Polonią.

Trudno, żeby tak daleko idące reformy były przyjemne. Ciężko w tej chwili powiedzieć, w jakim kierunku pójdzie prezydent, ale to, że proponuje własne projekty, mówi o konieczności zmiany konstytucji i chce mieć wpływ na mianowanie przedstawicieli KRS, raczej dobrze o nim świadczy. Głowa państwa nie może bezrefleksyjnie wykonywać instrukcji płynących z Ministerstwa Sprawiedliwości czy siedziby partii. Jednakże Andrzej Duda powinien mieć – i myślę, że ma – świadomość konieczności przeprowadzenia gruntownego przeprojektowania polskiego wymiaru sprawiedliwości. Jeśli uda mu się to zrobić w zgodzie z oczekiwaniami większości społeczeństwa i nie pójść przy tym na wojnę z PiS, to będzie test dojrzałości politycznej.

Tymczasem w Niemczech wyborczy test zdała Angela Merkel. Była jednak niespodzianka – wysoki wynik AfD. Alternatywa dla Niemiec może być czymś więcej niż żółtą kartką za politykę migracyjną?

Moim zdaniem to potwierdza tezę, że marsz populistyczno-nacjonalistycznej kohorty nie zwalnia tempa ani w Europie, ani na świecie. To, że jedna ósma Niemców chciała zagłosować na nowe ugrupowanie, które mówi o zaostrzeniu kontroli granicznych i jest nastawione wrogo wobec imigrantów, pokazuje, że nawet w tak „poukładanym" politycznie kraju możliwe są przetasowania. Z polskiej perspektywy cieszyć może przede wszystkim osłabienie Martina Schulza, który nawet nie ukrywa, że nie znosi „dobrej zmiany". Zwycięstwo Merkel nie jest zaskoczeniem, podobnie jak uzyskanie go przy niższym poparciu. To wyjątkowo niski wymiar kary za szerokie otwarcie drzwi do Europy.

Nie obawiasz się jednak, że prorosyjska AfD to więcej kłopotu niż pożytku dla Polski?

Niemcy historycznie nigdy nie były dobrym sojusznikiem Polski. Dlaczego teraz miałyby być? Na pewno AfD będzie kłopotliwym ugrupowaniem dla Unii i dla Merkel przynajmniej w jednym względzie – tj. ograniczenia nieracjonalnej polityki imigracyjnej, mówiąc podobnym głosem jak PiS. Jak dla mnie to wystarczy. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 87d60c29ab

OKIEM BLOGERKI

Rozjednoczona Prawica

KATARYNA

Szanowny Panie Prezesie! Apeluję do Pana o uspokojenie sytuacji w Prawie i Sprawiedliwości. Personalne ataki na mnie nie mogą zastąpić rzetelnej dyskusji o tym, jak powinniśmy się zmieniać, aby zwyciężać. Z tymi, którzy obwołują mnie wrogiem, wciąż jestem gotów współpracować. Zachowanie jedności, ale i pozytywne zmiany w partii są warunkiem wyborczego zwycięstwa. Tylko w ten sposób będziemy mogli skutecznie rozwiązywać prawdziwe problemy Polski. W obliczu tego wyzwania nieważne są różnice zdań liderów partyjnych. Istotna jest Polska i oczekiwania naszych wyborców. Nie kryję, że ze zdziwieniem odbieram publiczne wypowiedzi niektórych członków partii, którzy sugerują, że wyrażanie troski o PiS może być powodem do wyciągania partyjnych konsekwencji. Proszę, aby powstrzymał Pan prominentnych polityków PiS, atakujących mnie i innych kolegów za wyrażenie przekonania, że Prawo i Sprawiedliwość może zmieniać się i wygrywać. Brutalne ataki z tego powodu postrzegam jako próbę wewnętrznego podzielenia partii, a tym samym rozbijanie jedności prawicy.

Nie, to nie list prezydenta do prezesa apelujący o zaprzestanie haniebnych ataków partyjnych cyngli na głowę państwa. To obszerne fragmenty listu, który sześć lat temu wystosował do prezesa Kaczyńskiego… Zbigniew Ziobro. Tak, tak, ten sam Ziobro, który dzisiaj – i nie ma w tym najmniejszej przesady – w pojedynkę rozbija obóz „dobrej zmiany", bo nie może znieść, że inni politycy z tego samego obozu mogą mieć odmienne wizje kluczowej reformy. „To jednak ludzie, którzy niczym larwy chcą się rozwijać w politycznym ciele prezydenckiego zaplecza, by później – o czym marzą – przeistoczyć się w motyle, stając się ważnymi postaciami na scenie politycznej. Najczęściej jednak tacy ludzie nie zostają nawet ćmami. Ufam, że pan prezydent, choć nie ma wielkiego doświadczenia politycznego, poszuka mądrej rady". Czy można było bardziej obrazić prezydenta, a wraz z nim jego otoczenie, wywodzące się przecież z tego samego obozu? Nie wydaje mi się. Więc skoro sam minister i inni politycy partii rządzącej mogą tak mówić o prezydencie, to dlaczego miałby się hamować internetowy troll. Twitterowi hejterzy nie oszczędzają już nikogo, ostatnio linczują kolejną zidentyfikowaną „zdrajczynię" – Zofię Romaszewską, która nie tylko doradziła prezydentowi zawetowanie dwóch ustaw Ziobry, ale jeszcze ma czelność go publicznie krytykować. Pani Romaszewska została więc szybko zlustrowana, okazało się, że jest resortowym dzieckiem, a i pochodzenie ma mocno niepewne. Szambo wybiło.

Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą, więc i Magdalena Ogórek dołożyła swoje. „Nie może być tak, że na antenie jednej ze stacji radiowych pani Romaszewska odwołuje ministra Ziobrę. Tyle, ile zrobił resort sprawiedliwości w ciągu dwóch lat, poprzednicy mogą patrzeć i się uczyć". Gdyby mi ktoś powiedział przed wyborami, że wkrótce kandydatka postkomunistów na prezydenta będzie mnie rozliczać z prawicowości, a samą Zofię Romaszewską pouczać, co jej wolno i dlaczego nie wszystko, postukałbym się w głowę. Dzisiaj mogę już tylko – z coraz mniejszą nadzieją – liczyć na opamiętanie na prawicy, bo niedługo nikt tam już nie zostanie, po wypchnięciu z niej za zdradę polegającą na samodzielności myślenia i odwadze podzielenia się tym.

Może więc jednak czas, by sam prezydent napisał podobny list do prezesa, zanim chore ambicje jednego człowieka z przerośniętym ego rozjednoczą mu prawicę do reszty. ©℗

PODSŁUCHANE

Alkohol nasz wróg!

Witam, panie Konstanty. Jak tam idą prace nad zakazem?
Zakazem czego, panie prezesie?
No, a nad jakim tam pan teraz pracuje? Bo już pan paru rzeczy zakazał, prawda?
Tak! Mamy już zakaz otwierania aptek prowadzonych nie przez aptekarzy i zakaz sprzedaży tytoniu na odległość. Bierzemy teraz na cel trzeźwość narodu, panie prezesie!
Więc jak?
Znakomicie! Skrócimy czas na reklamę piwa, potem zakażemy jej całkowicie. Zakażemy też całkowicie picia poza domem, a w perspektywie picia w ogóle.
Zaraz, ale pan pamięta, jak się prohibicja skończyła w USA?
Oczywiście, ale to był słaby rząd. My jesteśmy mocnym rządem, prawda?
No, niby tak…
Właśnie! Więc my się nie ugniemy i, jak to pięknie pan prezes powiedział niedawno w wywiadzie, przetrzymamy. No, może się jakiś monopol państwowy na sprzedaż alkoholu zrobi, żeby tam ci wstrętni alkoholicy poili się przez cztery godziny w tygodniu.
A co pan się tak jakoś chwieje?
Ja? A… bo wiatr jest silny. Od wentylatora. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ustawy prezydenckie usprawniają tak samo wymiar sprawiedliwości, jak wojska rosyjskie od dwóch lat wyzwalają wschodnią Ukrainę".

KAMILA GASIUK-PIHOWICZ,
posłanka Nowoczesnej

eprasa.pl 87d60c29ab

Kościuszko

Mija akurat (5 października) 200 lat od śmierci Tadeusza Kościuszki, Sejm ogłosił więc bieżący rok *„Rokiem Tadeusza Kościuszki”*. To jeden ze sławniejszych na świecie Polaków; w XIX stuleciu globalnym nimbem dorównywali mu tylko Chopin i książę Józef Poniatowski. Byron pisał wtedy: *„Kościuszko — to dźwięk, który trwoży ucho tyrana”*, a Verne zawiesił portret Kościuszki w gabinecie kapitana Nemo na jego łodzi podwodnej. Nie wiem jak jest dzisiaj między Bałtykiem i Tatrami: ilu młodych Polaków kojarzy nazwisko *„Naczelnika”*? Wiem, że młody uczestnik teleturnieju „Jeden z dziesięciu” (grudzień 2016) na pytanie: *„ — Kto dowodził dywizją imienia Tadeusza Kościuszki w bitwie pod Lenino?”* odparł: *„ — Tadeusz Kościuszko”*.

W związku z *„Rokiem Kościuszki”* salonowo–lewacka **„Angora”** zażądała *„listem od czytelnika”* (oni wiele spraw załatwiają tą metodą), by ci wredni Amerykanie oddali Polsce gotówkę, którą są winni, bo nie uiścili walczącemu dla nich generałowi Kościuszce żołdu. To prawda, że całkowicie nie uiścili, chociaż *„Naczelnik”* walczył o swoje wypłaty jak lew. Notabene: kwestia pt. *„sprawy ekonomiczne Kościuszki”* stanowi ostatnią już chyba *„białą plamę”* zupełną w historiografii tyczącej Kościuszki, przebijającą nawet takie zaniedbania dziejopisów jak działalność seksualna czy fortyfikacyjna bohatera. Swą seksualność pielęgnował bez przerwy (w Ameryce smażył m.in. listy do zaprzyjaźnionego lekarza wojskowego z prośbą o skuteczny środek na potencję, który uczyni go *„silnym i sławnym niby Priapus”*), a fortyfikację uprawiał profesjonalnie (West Point etc.), czemu Stefan Bratkowski poświęcił co prawda całą książkę (1977), jednak okropnie dyletancką, pełną żenujących błędów, więc bezzwłocznie skrytykowaną moim piórem (akurat obroniłem doktorat z fortyfikacji tamtej epoki) w **„Kulturze”** i nie tylko. Lecz Kościuszko i *„kasa”*? Motorem poniższego dywagowania przeze mnie na ów temat jest okoliczność, że w moich zbiorach leży odręczny list Kościuszki do Jeffersona zawierający prośbę o wypłaty spóźniających się pieniędzy.

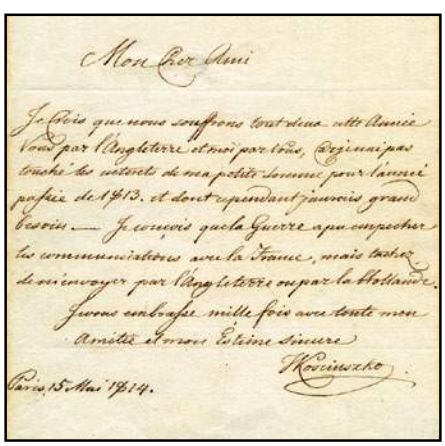

Mon Cher Ami

Je sais que nous souffrons tout deux cette Amie
Vous par l'Angleterre et moi par vous, Je n'ai pas
touché le interêt de ma petite somme pour l'année
passée de 1813. et dont cependant j'ai reçu grand
besoin — Je conçois que la Guerre a pu empêcher
la communication avec la France, mais tâchez
de m'envoyer par l'Angleterre ou par la Hollande.
Je vous embrasse mille fois avec toute mon
amitié et mon Estime sincère

T. Kościuszko

Paris 15 Mai 1814.

Pan Tadeusz przedmickiewiczowski dwukrotnie sforsował ocean, żeby wylądować u Amerykanów. Za pierwszym razem (1776) jako rycerz, za drugim (1797) jako petent. Konstruował im umocnienia, walczył liniowo i partyzancko, śmierć musnęła go żelazem (podczas oblężenia fortu Ninety–Six ścigający Kościuszkę piechurzy angielscy prawie dopadli czmychającego — prawie, bo nie zdołali skłuć go na śmierć, a tylko wbili mu po bagnecie w każdy półdupek, co stanowiło później temat drwin jego wrogów). Żołd wypłacano polskiemu generałowi Armii Kontynentalnej zrazu bardzo nieregularnie, wreszcie wcale, więc roku 1783 nazbierała się duża suma długu. Drugi raz wybrał się Kościuszko do Ameryki po kilkunastu latach, żeby odebrać ten dług. Aczkolwiek składano mu tam wówczas każdego dnia gromkie hołdy (jako wodzowi Insurekcji polskiej), *„uiszczenie”* nie było sprawą prostą. Cały miesiąc Kongres USA toczył boje à propos tej kwestii, na koniec (po obliczeniu procentów) uzgodniono wypłatę niespełna 19 tys. dolarów (trzeba było dla przeforsowania takiej kwoty trzech głosowań). Jednak akt prawny okazał się tylko papierem, ponieważ skarb państwa świecił pustką. Utworzono tedy Kościuszce *„fundusz amerykański”*, z którego miał pobierać półroczne wypłaty aż do całkowitej likwidacji długu. Pilnował tych wypłat najserdeczniejszy ze wszystkich amerykańskich przyjaciół Kościuszki, wielki Thomas Jefferson.

Portret Jeffersona według rysunku Kościuszki

Jefferson — *„ojciec założyciel”* Stanów tudzież autor Deklaracji Niepodległości (1776) — to kolos historii amerykańskiej, czołowy obok Waszyngtona, Lincolna i Reagana. Jako *„budowniczy demokracji USA”* — był czczony przez prawie ćwierć tysiąclecia, póki Salon nie ukrzyżował go za niewolnictwo. Zresztą druga strona (prawica ekstremalna) też ma do niego pretensje za *„typowo oświeceniowy deizm”* (negowanie boskości Chrystusa, Świętej Trójcy itp.), co jest prawdą, choć nie stuprocentową (oscylował między deizmem i chrześcijaństwem), a już religijności odmówić mu nie sposób (pisał: *„Czyż można zagwarantować wolność i swobody pozbawiając naród jedynego trwałego fundamentu, religijnego, czyli przeświadczenia, że ta wolność jest darem Boga?”*). Religijność wszakże nie uchroniła go od ciężkich razów gdy kandydował w wyborach prezydenckich (1800) — przeciwnicy polityczni informowali publikę za pomocą gazet, że pragnął rewolucji *„by móc gwałcić kobiety i nadziewać na piki niemowlęta”*. Sprawował urząd przez dwie kadencje (do 1809; trzeciej nominacji nie przyjął), a Kościuszko publicznie gratulował amerykańskiemu narodowi *„tak wspaniałego prezydenta”*. Jefferson miał o przyjacielu zdanie równie górnolotne: *„Jest on najczystszym synem wolności spomiędzy wszystkich, jakich znałem kiedykolwiek, i to takiej wolności, która rozciąga się na każdego, nie zaś jedynie na niektórych, uprzywilejowanych”*. Przemilczał, że *„każdego”* prócz niewolników, bo to by Kościuszkę zraziło.

Dla Jeffersona Stany Zjednoczone były *„ostatnią nadzieją ludzkości”* (tak się wyraził), a dla Kościuszki Jefferson był ostatnią nadzieją wypłat finansowych. Jako zarządca amerykańskich funduszy *„Naczelnika”* spisywał się solidnie, dopiero kryzys bankowy lat 1812–14 (wskutek wojny USA z Anglią) spowodował zakłócenia przesyłek, stąd prośba listowna Kościuszki, by to udrożnić (list ma też, na rewersie, odręczną kontrasygnatę Jeffersona, potwierdzającą otrzymanie go). Jeden i drugi zrobili sobie wzajemnie duże finansowe nadania. Jefferson zapisał Kościuszce pokaźną część swego majątku, a Kościuszko przekazał Jeffersonowi testamentem wszystkie swoje fundusze amerykańskie, z przeznaczeniem na wykupienie możliwie dużej liczby niewolników, przede wszystkim tych należących do Jeffersona. Tu eksprezydent skrewił — zaprzątnięty ukrywaniem swego długotrwałego dzieciorodnego związku z pokuśliwą czarnoskórą niewolnicą Sally Heming, sparał sprawę; po śmierci Jeffersona jego setka niewolników została sprzedana z licytacji, a fundusze Kościuszki zdefraudowała szajka prawników. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 87d60c29ab

C-LINE CERAMIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl 87d60c29ab